TENIS NA FALI
Czar Wimbledonu na polskich kortach

WSCHÓD ZACHODU
Europa i NATO wreszcie poznały się na Rosji

ZAKAZ ABORCJI
Wojtyła zasiał, Ameryka zbiera

UROK WIESZCZA
Być jak Miron Białoszewski

SENS BRYKANIA
Tak się bawią zwierzęta

Kraków 10 lipca 2022 nr 28 (3809) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Harari objaśnia świat

JAK SIĘ ZOSTAJE ZAWODOWYM PROROKIEM

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
28

REKLAMA

„Moja codzienność była związana z ulicą.
Trzymały mnie tam dwie rzeczy – pieniądze i klej.

W 2018 roku trafiłem do Ciloto.

Poczułem się znów potrzebny, a plan dnia
pozwolił mi zapomnieć o uzależnieniu".

Davies, z domu dla chłopców ulicy w Zambii,
to jeden z 80 chłopców, których wspieramy.

W Ciloto powstaje też **dom dla uzależnionych dzieci ulicy.**
Pomóż nam pomagać.

Poznaj chłopców z zambijskich ulic. Spełnijmy marzenia o domu i szkole.

fundacjadonbosco.org

SALEZJAŃSKA
FUNDACJA MISYJNA
Don Bosco

TYGODNIK POWSZECHNY

LATO Z „TYGODNIKIEM"

~~50 zł~~ **35 zł** za dostęp do TygodnikPowszechny.pl*:

- 8 wakacyjnych numerów „Tygodnika Powszechnego" prosto na Twój ekran
- co tydzień nowy tekst w autorskim cyklu Wojciecha Jagielskiego
- ogromne archiwum i wersja PDF wydania papierowego

27 nagród, wyróżnień i nominacji dla dziennikarek i dziennikarzy „Tygodnika" od 2021 roku. **Wspieraj nagradzane dziennikarstwo**, skorzystaj z okazji i do końca wakacji ciesz się dostępem do serwisu swojego ulubionego pisma.

Kup na **tygodnikpowszechny.pl/sklep**

**oferta promocyjna ważna do 12 lipca (włącznie)*

PSSST! Bądź na bieżąco, zapisz się na newsletter ze wstępniakami redaktorek i redaktorów „TP": **tygodnikpowszechny.pl/newsletter**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Izera bez prądu
KRZYSZTOF STORY
Mieliśmy być potęgą na rynku elektrycznych aut. Dziś wiadomo, że nie wyszliśmy poza propagandę, a flagowy produkt jest w zasadzie atrapą.

24 Tenisowe fale
ROZMOWA Z MIROSŁAWEM ŻUKOWSKIM, ZNAWCĄ TENISA:
Czy Polacy rzucą się do rakiet, bo Iga Świątek zdobywa kolejne tytuły? Ważne jest, by takie sukcesy wpływały na warunki rozwoju uzdolnionej młodzieży.

32 Pęknięte Stany
EDWARD AUGUSTYN
Watykan powściągliwie odniósł się do zniesienia konstytucyjnego prawa do aborcji, które podzieliło Amerykanów. To dziwne tym bardziej, że akt ten jest dziełem katolickich prawników.

46 Jedyny syn
WOJCIECH PIĘCIAK Z ZIEMI LWOWSKIEJ
Ukraina się broni, ale za coraz wyższą cenę. Ludzie na tyłach drżą o bliskich na froncie. Oto kilka historii: o śmierci i życiu, smutku i przetrwaniu, gdy emocje szaleją.

64 Szaman w beczce
ELIZA KĄCKA
Przez jego styl bycia i pisania prześwieca niesformatowana mądrość. Ale Miron nie był typem intelektualisty. Lepiej powiedzieć, że wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny.

78 Braterstwo liny
ART DAVIDSON OPOWIADA ADAMOWI ROBIŃSKIEMU:
Na szczycie było całkiem ciemno, jedynie w oddali dało się zobaczyć łunę znad miasta Anchorage. Kiedy księżyc w pełni wędrował przez szczyty i doliny, miałem wrażenie, że całe pasmo oddycha.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // ANTOINE COUVERCELLE / PANORAMIC / PAP // WOJCIECH PIĘCIAK // ANCHORAGE DAILY NEWS / GETTY IMAGES // NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE // BRYAN OLIN DOZIER / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

6 Migracje: kontekst i detal
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

31 Tygodnik Czytelników

KRAJ

20 Izera bez prądu
KRZYSZTOF STORY

24 Tenisowe fale
ROZMOWA Z MIROSŁAWEM ŻUKOWSKIM

27 Oddech spoza ciała
BARTEK DOBROCH: *Gdyby nie ECMO, już by ich nie było. Jedni czuli, jak ich płuca się gotują, inni myśleli, że toną. Powracali do życia po dziesiątkach dni nieustannego przetaczania krwi, z niesamowitymi snami w pamięci*

WIARA

32 Pęknięte Stany
EDWARD AUGUSTYN

35 Walka na śmierć i życie
MARTA ZDZIEBORSKA: *W USA role się odwróciły: zwolennicy prawa do aborcji mogą teraz sięgać po równie drastyczne środki, jak niegdyś ruch pro-life*

38 Zbiorczy akt oskarżenia
TOMASZ P. TERLIKOWSKI: *Za mało Jezusa w Kościele – mówią diecezjalne syntezy synodalne*

ŚWIAT

42 Punkt zwrotny Europy
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Rosyjska agresja na Ukrainę sprawia, że Zachód zmienia się radykalnie*

JULIEN DE FONTENAY / JDD / SIPA / EAST NEWS

TEMAT TYGODNIKA

12 Zawód: prorok
ŁUKASZ LAMŻA
Mówi, jak będzie. Występuje obok Angeli Merkel, kawkę z nim popija Mateusz Morawiecki. Skąd się wziął Juwal Noach Harari?

FELIETONY

30 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK
59 TOMASZ STAWISZYŃSKI
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
JUWAL NOAH HARARI
FOTOGRAFIA: OLAF BLECKER

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

46 Jedyny syn
WOJCIECH PIĘCIAK Z ZIEMI LWOWSKIEJ

50 Drogo, coraz drożej
PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI: *Brytyjskie lato nie będzie niefrasobliwe*

52 Niemcy na rosyjskiej kroplówce
ŁUKASZ GRAJEWSKI: *Fetysz niskich cen upada. Kraj szykuje się na zimowe racjonowanie gazu*

54 Od partyzanta do prezydenta
DOMA MATEJKO: *Kolumbia chciała zmiany. Ma rewolucję*

HISTORIA

56 Telefon z Watykanu
DAMIAN NOWICKI: *Ponad 40 lat temu Jan Paweł II spróbował zapobiec wojnie między dwoma krajami*

NAUKA

60 Zabawić się jak zwierzę
MARTA ALICJA TRZECIAK: *Dlaczego tak wiele zwierząt oddaje się zabawie?*

KULTURA

64 Szaman w beczce
ELIZA KĄCKA

68 Trzy owacje
DARIUSZ KOSIŃSKI *o trzech spektaklach na koniec sezonu teatralnego*

72 Grupa tej ziemi
JAN BŁASZCZAK: *Nagrana w trawionym wojną Bejrucie kultowa płyta zespołu Ferkat Al Ard doczekała się wydania*

74 Dowody na istnienie geniuszu
ANITA PIOTROWSKA *o filmowym portrecie Ennio Morricone*

WAKACJE

78 Braterstwo liny
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Uciszyć pokojowych noblistów [Strona świata]
Ich gazety zostały zamknięte, a oni zakneblowani przez rządy, którym wytykali tyranię – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Punkt zwrotny: Miłość to droga
Moment, w którym rodzice się rozstali, był dobrym wydarzeniem. Uznałem, że to słuszna decyzja – opowiada **MAKS WOLSKI** w rozmowie z **KATARZYNĄ KUBISIOWSKĄ** | tygodnikpowszechny.pl/podkast

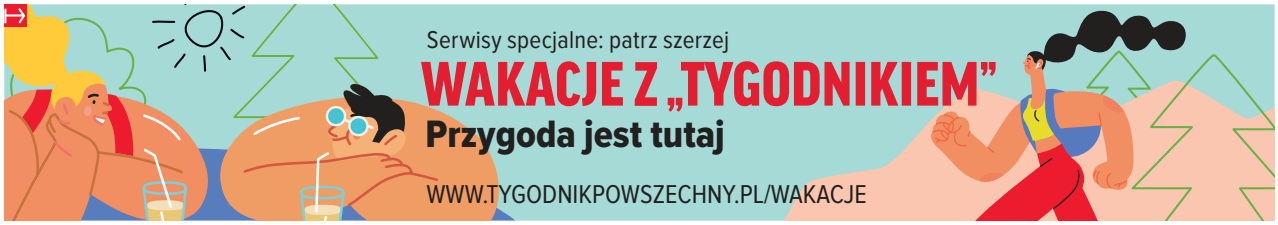

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

MIGRACJE: KONTEKST I DETAL

Po wydarzeniach w Melilli, San Antonio i na Morzu Śródziemnym bardziej niż kiedykolwiek – oraz bez emocji – potrzebujemy zrozumienia, czym w praktyce jest presja migracyjna.

MARCIN ŻYŁA

Melilla. Hiszpania, 24 czerwca 2022 r.

Działacze praw człowieka rzadko używają takich słów. Ich zdaniem są one zbyt techniczne i niewystarczająco oddają fakt, że za masową migracją kryje się dramat pojedynczych ludzi. Niesłusznie: pojęcie „presja migracyjna" – opisujące napięcia na granicach zamożnych i ubogich regionów świata (np. Europy i Afryki Północnej czy emiratów Zatoki Perskiej i Rogu Afryki) – jest przecież neutralne. I jeszcze nigdy tak nie potrzebowaliśmy jego zrozumienia, jak po trzech ostatnich tragediach.

Najpierw, 24 czerwca, co najmniej 35 osób zginęło na granicy Maroka i Melilli, usiłując przedostać się do tej hiszpańskiej enklawy w północnej Afryce. Wielu straciło życie po upadku z 6-metrowego ogrodzenia; niektórzy, mając przed sobą barierę, za sobą zaś kordon brutalnych służb marokańskich, stratowali się nawzajem. Już po wszystkim zrobiono zdjęcia. Widać na nich ułożone jedno na drugim ciała migrantów i strzępki ubrań. Oprócz wstrząsających detali, komentowano szeroki kontekst: zawarte w marcu hiszpańsko-marokańskie porozumienie w sprawie Sahary Zachodniej, które miało zapobiec inspirowanym przez Rabat próbom przekraczania hiszpańskiej granicy.

Uwadze umknęła trzecia perspektywa. Ta między detalem a kontekstami: dziesiątków tysięcy ludzi obozujących na wzgórzach wokół Melilli, organizujących się czasem w grupy, wyposażone w metalowe pręty do niszczenia ogrodzenia, oraz stanowiących

– w dosłownym znaczeniu – lokalne zagrożenie. Hiszpańskiego premiera, który podziękował marokańskim służbom za interwencję, można oskarżać o cynizm (narrację o bezpieczeństwie wykorzystują wszak politycy od Melilli po Podlasie i od La Manche po Lampedusę, mimo różnic dzielących te kryzysy z udziałem migrantów); tej trzeciej perspektywy nie da się jednak ignorować.

Trzy dni później na przedmieściach San Antonio w Teksasie dobiegający z wnętrza porzuconej ciężarówki krzyk zwrócił uwagę przechodzącego obok człowieka. Tak odkryto ciała 53 migrantów, głównie z Meksyku, którzy udusili się, gdy w samochodzie przestała działać klimatyzacja; nieliczni z transportowanych przeżyli. Kierowcę i jego wspólnika aresztowano. W Stanach Zjednoczonych na nowo wybuchła dyskusja o ochronie granicy południowej i słynnym „murze" – projekcie Donalda Trumpa, kontynuowanym jednak przez jego następcę.

Jeśli trzy dekady temu, wypełniając proroctwo pieśni, mury runęły i pogrzebały stary świat, dziś są symbolem nowego. Na świecie jest już prawie 80 nowych ogrodzeń granicznych, kilkanaście kolejnych właśnie powstaje (czasem „kaskadowo", np. Grecja odgradza się od Turcji, która odgradza się od Iranu, który z kolei odgradza się od Pakistanu). Daje to obraz „Fortecy Zachód" – częściowo jednak zafałszowany, gdyż pomimo murów świat jest dziś dużo bardziej otwarty niż przed stuleciem – a to za sprawą tanich, w praktyce dostępnych (niemal) dla każdego środków komunikacji. Także tego wymiaru masowych migracji często nie dostrzegamy.

Trzeźwy ogląd sytuacji nie powinien jednak stępić naszej wrażliwości. Kiedy w 2015 r. z uczuciem szoku śledziliśmy eksodus migrantów i uchodźców przez Morze Śródziemne i Bałkany, nie odwracaliśmy wzroku od tragedii ludzi. Siedem lat później grozi nam zjawisko odwrotne: tłumaczenie wszystkiego poprzez szeroki kontekst. To grozi ślepotą, której objawy już widać. W dniu, kiedy w San Antonio przewożono ciała migrantów do kostnicy, ponad 30 osób, w tym dzieci i ciężarna kobieta, utonęło w środkowej części Morza Śródziemnego, gdy zatonął gumowy ponton. Wiadomość ta nie przebiła się specjalnie do opinii publicznej. ©℗

JAVIER BERNARDO / AP / EAST NEWS

To najchłodniejsze lato reszty naszego życia

MOŻNA POWIEDZIEĆ: jest lato, to musi być gorąco. Tyle że latem nigdy dotąd tak nie było. Nie aż tak. Fala upałów ogarnęła Polskę, zanim zaczęło się kalendarzowe lato. Według IMGW historyczne rekordy z temperaturą przekraczającą 36 st. C padły m.in. w Krakowie, Rzeszowie i Sandomierzu, a tegoroczny czerwiec był najcieplejszy od 30 lat.

Podobne rekordy notowane są jednak wszędzie. Czerwcowa fala upałów we Francji była najwcześniejszą, jaką kiedykolwiek odnotowano w tym kraju, a temperatury były o 10-14 st. C wyższe od normy dla tego miesiąca. Rekordy padły też w Niemczech i Czechach. W hiszpańskim San Sebastian było 43,5 st., a w norweskim Tromsø za kołem podbiegunowym termometry wskazały 29,9 st.

Oczywiście, możemy się oszukiwać, że skoro jest lato, to może być aż tak gorąco, a zmiany klimatyczne traktować – zgodnie z popularnym ostatnio na Twitterze hasztagiem – jak ideologię. Tyle że nasz stosunek do problemu nie ma wpływu na wyniki badań naukowych. Według danych IMGW w latach 1961--1990 w Polsce notowano rocznie średnio trzy do pięciu dni z temperaturą przekraczającą 30 st. C. W drugiej dekadzie XXI w. mieliśmy ich rocznie 14-15. Rządowy program Klimada 2 prognozuje, że według scenariusza umiarkowanych emisji (RCP4.5) liczba takich dni podwoi się do końca XXI w. I to jest optymistyczny scenariusz, bo jeśli emisje gazów cieplarnianych będą nadal rosły (scenariusz RCP 8.5), będzie ich trzy razy więcej.

„Pojawianie się fali upałów jest dziś co najmniej dziesięciokrotnie bardziej prawdopodobne niż stulecie temu" – ostrzegają naukowcy z World Weather Attribution, a ich ustalenia pokrywają się z setkami, jeśli nie tysiącami innych prac na ten temat. Konsekwencje? Już tego lata wody może brakować nie tylko w kilkudziesięciu gminach w Polsce, tak jak to było w ostatnich latach – ale w dużo większej ich liczbie. A jeśli w tym roku będą jeszcze dwie-trzy fale upałów, to może jej zabraknąć także w Warszawie. A to i tak dopiero przygrywka. Wzrost temperatury o każdy stopień Celsjusza ponad optymalne 20 st. C prowadzi w Polsce do wzrostu liczby zgonów o 1,6 proc.

Świat już jest średnio cieplejszy o 1,1 st. C niż w epoce przedprzemysłowej. Brytyjskie Met Office wskazuje, że prawdopodobieństwo, iż jedno z pięciu najbliższych lat osiągnie temperatury wyższe od przedprzemysłowych o 1,5 st., wynosi już 50 proc. (w 2015 r. to samo prawdopodobieństwo oceniano na 0 proc.). Z kolei prawdopodobieństwo, że w ciągu najbliższych pięciu lat padnie rekord globalnej średniej temperatury, Brytyjczycy szacują na 93 proc.

„Dopóki będziemy emitować gazy cieplarniane, temperatury będą rosły. Jednocześnie nasze oceany będą stawały się cieplejsze i bardziej zakwaszone, lodowce i kra będą topnieć, poziom mórz będzie rósł, a nasza pogoda będzie stawała się coraz bardziej ekstremalna" – mówił podczas oficjalnej prezentacji raportu prof. Petteri Taalas, szef Światowej Organizacji Meteorologicznej. Na to nie ma wpływu żadna ideologia. Ideologia wpływa jedynie na to, jak na te ostrzeżenia zareagujemy.

© AGATA KAŹMIERSKA i WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wodny plac zabaw dla dzieci nad nad Jeziorem Paprocańskim. Tychy, 26 czerwca 2022 r.

TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

30 groszy, tylko nie płacz, proszę

DO KOŃCA SIERPNIA członkowie programu lojalnościowego Orlenu mogą tankować o 30 groszy taniej za litr. W promocji możemy kupić 300 litrów paliwa. Podobny krok rozważa BP.

Litr benzyny 95 kosztuje obecnie średnio 7,74-7,86 zł. Ceny przestały więc rosnąć, ale nie z powodu promocji. Kluczowym składnikiem jest cena samej ropy, która ostro podrożała po wybuchu wojny w Ukrainie. W połowie czerwca baryłka (159 litrów) ropy Brent kosztowała ponad 124 dolary. Dziś jej cena spadła poniżej 112 dolarów, co pozwala obniżyć ceny detaliczne – pod warunkiem, że jednocześnie nie podrożeje dolar, waluta rozliczeniowa przemysłu naftowego. W ostatnim miesiącu złoty doświadczył lekkiego osłabienia i dolar kosztuje ok. 10 groszy więcej, a zatem ten element nie wpływa dziś na zmiany cen u nas.

W ramach tarczy antyinflacyjnej rząd objął zerową stawką VAT sprzedaż paliw na stacjach i obniżył symbolicznie akcyzę, ale daniny publiczne nadal składają się na ponad 25 proc. ceny w detalu. Jeszcze ciekawiej jest z marżami rafinerii, które po wybuchu wojny poszły w górę nawet o 700 proc. Producenci twierdzą, że nie wykorzystują sytuacji, a wzrost marży wynika z ogromnego wzrostu kosztów, głównie prądu.

©℗ MAREK RABIJ

Jak plaża, to w Polsce

MOGĄ BYĆ ROMANTYCZNE I DZIKIE, mogą być pełne ludzi i atrakcji, a nawet sztuczne jak w Emiratach. Każdy znajdzie coś dla siebie, bo chociaż Bałtyk bywa zimny, a z paragonów wieje grozą, to jednak z naszych piaszczystych, szerokich plaż możemy być dumni.

Nowy ranking „Magazynu Travelist" udowadnia, że duże miasto, jakim jest Świnoujście, może przygotować plażę wyjątkowo czystą, ekologiczną, bezpieczną, i w efekcie zająć pierwsze miejsce przed Kołobrzegiem oraz plażą na cyplu Helu. W nadmorskiej elicie znalazły się też: Sopot, Trzęsacz, Stogi, Dębki, Krynica Morska, Ustka oraz sztuczna plaża „Dubaj" w Jarosławcu.

Równocześnie Fundacja Machina Zmian przyznała certyfikaty dla ośrodków przyjaznych dla osób starszych i niepełnosprawnych. Na wyróżnienie zasłużył Sopot oraz plaże w Gdyni i Jastarni. ©℗ KĘS

KRAJ W SKRÓCIE

ŻRYJ MNIEJ

„To jest też olbrzymia praca – uświadomienie ludziom, żeby tyle nie żarli. Tymczasem jak idę do swojego okolicznego sklepu pod Krakowem, to widzę, jak ludzie wynoszą siaty pełne mięsa" – jeden z najbogatszych Polaków Janusz Filipiak podał w podkaście Forum IBRiS sposób na zatrzymanie kryzysu klimatycznego.

ZMIEŃ WŁADZĘ

Sposobem na zatrzymanie kryzysu inflacyjnego jest z kolei, zdaniem Jarosława Kaczyńskiego, powierzenie władzy jego partii. „Jeżeli będziemy rządzili, to dobre czasy nadejdą" – powiedział objeżdżający Polskę prezes PiS.

UWAŻAJ NA SŁOWA

„Kaczyński: »Wczoraj byłem Władysławem, dzisiaj jestem Zosią. Budujemy w Kruszwicy most na Wiśle. Mejza jest prezydentem Inowrocławia, a euro jest warte 3 złote«. Urobek tygodnia. To w sumie wiele wyjaśnia" – podsumował na Twitterze Donald Tusk inne wpadki swojego rywala.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

PIŁEŚ, NIE JEDŹ

Ale opozycja również nie jest wolna od kłopotów: poseł Franciszek Sterczewski (na zdjęciu), jedna z jej gwiazd, został zatrzymany do policyjnej kontroli za nocną jazdę na rowerze zygzakiem i bez wymaganego przepisami oświetlenia. W trakcie kontroli odmówił badania alkomatem, wyjaśniając, że chroni go immunitet.

Oferta nieaktualna

MAREK KĘSKRAWIEC

Kiedy przed laty w sondażu prezydenckim redakcja „Newsweeka", trochę dla żartu, umieściła wśród kandydatów Tomasza Lisa, skończyło się to konfliktem szefów TVN z ówczesną gwiazdą tej stacji i jej odejściem. Lis ostatecznie ochłonął i politykiem nie został, ale kiedy pod koniec maja sam opuszczał fotel szefa „Newsweeka", spekulacje od razu odżyły. Na listach PO widział go Paweł Kowal, gotowość do rozmów deklarował też Grzegorz Schetyna. Minęło zaledwie kilka tygodni, a nikt już takich ofert nie składa.

Zarzuty o mobbing, poniżanie podwładnych, wulgarne i seksistowskie odzywki są zbyt dobrze udokumentowane, by ktoś jeszcze widział Lisa w polityce. Jako człowiek, który nieustannie oskarżał obecną władzę o łamanie prawa i pogardę dla społeczeństwa, a dziś sam jest zwalniany z pracy za brak szacunku wobec osób od niego zależnych – byłby zbyt wielkim balastem dla partii, która odmienia na wszystkie sposoby hasło „nowoczesność". Choć faktem jest też, że pojawiają się po opozycyjnej stronie głosy usprawiedliwiające Lisa, jako kombatanta walki z rządami PiS. Symetryzm w akceptacji mobbingu i seksistowskich zachowań bywa więc po obu stronach politycznego sporu uderzający.

Trudno sobie dziś wyobrazić funkcję publiczną, jaką mógłby pełnić Tomasz Lis. W ostatnim liście do kolegów publicystów z TOK FM pisze, że zawiesza działalność dziennikarską, gdyż lekarze kazali mu się oszczędzać (jest po trzech udarach). Nie pada ani jedno słowo na temat zarzutów o mobbing. Ten brak refleksji może być przesądzający. ©℗

Polski Ład. Część trzecia

1 LIPCA WESZŁA W ŻYCIE kolejna zmiana ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych, którą rząd nazywał Polskim Ładem – kiedy jeszcze przyznawał się do jej autorstwa. Po sześciu miesiącach od poprzedniej możemy ponownie wybrać formę opodatkowania, kierując się głównie obniżką stawki PIT, która w pierwszym progu podatkowym topnieje z 17 do 12 proc.

Rząd wylicza, kto i ile zyska na trzeciej wersji tej ustawy, ale nie wspomina już o pierwotnym celu uchwalanych zmian, które polski system podatkowy miały uczynić bardziej sprawiedliwym i ulżyć najgorzej zarabiającym. Symbolicznym podsumowaniem farsy, w jaką przerodził się projekt Polskiego Ładu, wydaje się to, że w obecnej wersji przepisy zapewniają oszczędności podatkowe właściwie wszystkim – poza płatnikami, którzy zarabiają tak mało, że i tak są zwolnieni z podatku. ©℗ MR

AFP / EAST NEWS

U PROGU WAKACJI w wielu krajach Europy Zachodniej notuje się duży wzrost zachorowań na covid. WHO szacuje, że ich liczba potroiła się w ciągu ostatniego miesiąca, i spodziewa się „wysokiego poziomu" zakażeń w Europie tego lata. Winny jest dominujący dziś podtyp Omikrona: BA.5. Równocześnie w większości krajów nie ma już prawie restrykcji; jedynie w niektórych trzeba nosić maseczki w środkach komunikacji i zamkniętych pomieszczeniach (np. w Hiszpanii, Włoszech, Grecji czy Portugalii). Na zdjęciu: autobus turystyczny mija punkt testowania przy paryskich Polach Elizejskich, 1 lipca 2022 r. ©℗ WP / AP, AFP

Putin o ataku na Krzemieńczuk: Cywile? Jacy cywile?

PREZYDENT ROSJI wyruszył ze swojego bunkra w pierwszą od dawna podróż zagraniczną – najpierw do Tadżykistanu, a potem na szczyt państw kaspijskich w Aszchabadzie, stolicy Turkmenistanu. Tamtejsza satrapia powitała gości w marmurowym pałacu, przypominającym rodzinny grobowiec. Pięciu prezydentów posadzono przy gigantycznym stole o wymiarach basenu olimpijskiego. Dystans dzielący uczestników spotkania dobrze obrazuje miejsce, w którym znalazła się Rosja po agresji na Ukrainę: osamotnienie, wykluczenie ze światowej ligi graczy politycznych, serwilizm wasali.

Tłem kaspijskiego szczytu były wydarzenia odbywające się daleko od turkmeńskiej pustyni: 27 czerwca położone w centralnej części Ukrainy miasto Krzemieńczuk zostało zaatakowane rosyjskimi rakietami. Jedna spadła na centrum handlowe, gdzie znajdowali się cywile. Światowe media podały tę wiadomość w specjalnych wydaniach. Czołowe rosyjskie media długo milczały. Dopiero następnego dnia pojawiło się kilka sprzecznych, preparowanych wersji – najpierw że nie doszło do ataku, potem że atak nastąpił, ale jego celem były magazyny, gdzie znajduje się broń dostarczana przez Zachód, centrum handlowe zaś było zamknięte, a nawet jeśli otwarte, cywili w nim nie było itd.

W Aszchabadzie Putin mówił: „W puste pola my nie celujemy. Zwykle ostrzał prowadzony jest na podstawie danych wywiadowczych. Jestem przekonany, że teraz było tak samo. (...) Rosyjska armia nie atakuje obiektów cywilnych, bo nie ma takiej potrzeby".

W ujęciu Putina Rosja nie jest agresorem, tylko odpowiada na wyzwania bloku NATO, który używa Ukrainy jako pretekstu do istnienia i działania. Łańcuch przyczynowo-skutkowy *à rebours*. Rosja trwa na starych sprawdzonych pozycjach – to nie my, to oni. Zbrodnie? Jakie zbrodnie? Złapaliście nas za rękę? Po pierwsze, to nie nasza ręka, a po drugie, nic nie zrobiliśmy: nie zestrzeliliśmy pasażerskiego samolotu nad Donbasem w 2014 r., nigdy na nikogo nie napadliśmy, również w lutym 2022 r. nie napadliśmy na Ukrainę, to nie wojna, lecz operacja specjalna mająca na celu obronę ludności Donbasu zagrożonej kijowskim nazizmem. A że cywile giną? To Ukraińcy stosują taką technikę, że zasłaniają się cywilami...

Misja monitoringowa ONZ opublikowała w tych dniach raport o ofiarach wojny w Ukrainie w okresie 24 lutego – 15 maja: rosyjska armia zabiła 3924 cywilów, 4444 osoby odniosły rany. Jak piszą autorzy raportu, lista jest niepełna, uwzględniono tylko te przypadki, które udało się stuprocentowo potwierdzić. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na stronie „Tygodnika" w cyklu „Rosyjska ruletka"

Oddają zagrabione

BELGIA I NIEMCY zaczęły zwracać dzieła sztuki, które w czasach kolonialnych wywieziono z terenu dzisiejszej Demokratycznej Republiki Konga i Nigerii.

Deklarację intencji w tej sprawie podpisały rządy Nigerii i Niemiec; przekazano też pierwsze dwa obiekty z liczącej 500 artefaktów kolekcji zwanej „brązy z Beninu". Kilkusetletnie rzeźby zdobiły pałac monarchy Królestwa Beninu; zrabowane przez Brytyjczyków, trafiły do muzeów Europy. Teraz ustalono, że część zbiorów będzie zwrócona, a część przejdzie na własność Nigerii, lecz zostanie w berlińskim muzeum jako depozyt.

Z kolei parlament Belgii przyjął ustawę dającą rządowi zielone światło dla zwrotu kongijskich dzieł sztuki. Chwilę wcześniej symbolicznie zwrot taki zaczął król Filip: podczas wizyty w DRK przekazał tradycyjną maskę używaną przy rytuale inicjacji. Rząd Belgii uznał, że wszystkie obiekty, które trafiły bezprawnie do kraju w czasach kolonialnych, staną się własnością DRK. Na razie dotyczy to ok. 900 z 80 tys. obiektów z państwowego Muzeum Afrykańskiego. WP / EPD, DW

Barszcz pod ochroną

PRZEPIS na tradycyjną ukraińską zupę wpisano na listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego UNESCO; agenda ONZ uzasadniła decyzję rosyjską agresją. „Zwycięstwo w wojnie o barszcz jest nasze!" – skomentował ukraiński minister kultury i dodał: „będziemy dzielić się barszczem i przepisami ze wszystkimi cywilizowanymi krajami świata". Rosyjskie MSZ zareagowało irytacją: „Co będzie następne? Uznanie wieprzowiny za »ukraiński produkt narodowy«?".

W obliczu dramatu, jaki trwa na Ukrainie, spór o to, czyją potrawą narodową jest barszcz, może wydać się abstrakcyjny. Jednak kryje się za tym głębsza symbolika: Kreml nie tylko chce podbić Ukrainę, ale odmawia jej prawa do tożsamości i kultury, a zawłaszczanie to obejmuje też kuchnię – jeszcze w 2019 r. Moskwa ogłosiła, że barszcz to „symbol tradycyjnej kuchni rosyjskiej". ©℗ WP / DPA, FAZ

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PERYFERIA

„Jeśli chcesz wiedzieć, co czuje dany lud, udaj się na peryferia. Peryferia egzystencjalne, nie tylko społeczne. Idź do starszych emerytów, do dzieci, idź na przedmieścia, idź do fabryk, na uniwersytety" – radzi duszpasterzom Franciszek w rozmowie z argentyńską agencją informacyjną Télam.

RADA

Zajmujące się władzą w Kościele forum niemieckiej Drogi Synodalnej zaproponowało powołanie stałej rady biskupów i świeckich, która będzie doradzać episkopatowi w sprawach zasadniczych zmian w Kościele oraz podejmować decyzje dotyczące planowania duszpasterskiego i budżetu.

EMOCJE

Zdecydowanie największe negatywne emocje budziła pedofilia, największe pozytywne emocje zaś chrzciny, a także komunia, msza oraz ślub kościelny – wynika z przeprowadzonej przez Instytut Badań Internetu i Mediów Społecznościowych analizy dyskusji w sieci o Kościele w ostatnim roku. „Świadczy to o wciąż dużym pozytywnym postrzeganiu obrzędów kościelnych".

KOLACJA

W ofercie dla sponsorów zorganizowanej przez tradycjonalistów w San Francisco konferencji „Sacra Liturgia" wspólna kolacja z kard. George'em Pellem wyceniona została na 50 tys. dolarów, a kolacja z kard. Robertem Sarahem na 20 tys. dolarów.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Radom 89,1 FM
Siedlce 103,4 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Sekularyzacja Niemiec przyśpieszyła

ARTUR SPORNIAK

„Jestem głęboko wstrząśnięty" – tak zareagował przewodniczący niemieckiego episkopatu bp Georg Bätzing na tegoroczne dane dotyczące wystąpień z Kościoła związanych z rezygnacją z płacenia podatku kościelnego. Wystąpiła rekordowa liczba 359 338 osób. To trzykrotnie więcej niż w 2002 r. (wtedy wystąpiło ok. 120 tys.) i o 87 tys. więcej niż w poprzednim rekordowym roku 2019.

Trudno się dziwić reakcji bp. Bätzinga – jest „twarzą" dalekosiężnych reform przeprowadzanych przez niemiecką Drogę Synodalną, forum dyskusji świeckich z biskupami, które wypracowuje strategię na obecny kryzys w Kościele związany z ujawnianą pedofilią. To przede wszystkim biskup Limburga broni owych reform przed krytyką wewnętrzną i na forum międzynarodowym. Czy to znaczy, że Droga ponosi fiasko?

To przedwczesna ocena – choć na pewno konserwatyści będą te nowe dane wykorzystywać w krytyce reform. Do myślenia powinien dawać im jednak fakt, że nie ma znaczącej różnicy w wystąpieniach z Kościoła w diecezjach kierowanych przez konserwatywnych biskupów i tych najbardziej postępowych. Natomiast największy wzrost (wystąpiło aż 41 tys. osób – dwukrotnie więcej niż w 2019 r.) nastąpił w diecezji kolońskiej, której biskup – kard. Rainer Maria Woelki – bardzo niejednoznacznie zachowywał się ostatnio wobec nadużyć w Kościele, czym zniechęcił do siebie wielu diecezjan.

„Coraz częściej słyszy się, że na wystąpienie decydują się osoby, które wcześniej były bardzo zaangażowane w życie parafii" – to najbardziej niepokoi bp. Bätzinga. Ewidentnie daje o sobie znać rozczarowanie i zmęczenie Kościołem. Emocje te na pewno przyśpieszają proces sekularyzacji. Fale wystąpień (2010 i 2019 r.) następowały po nagłośnieniu skandali związanych z pedofilią księży. Dalsza sekularyzacja jest zatem nieuchronna. Reformy są na razie wciąż „na papierze". Potrzebnych jest co najmniej kilka lat, by rzeczywistość mogła zacząć je weryfikować. Nierozsądnie byłoby teraz hamować proces reform. ©℗

Franciszek katechizuje tradycjonalistów

LIST APOSTOLSKI „Desiderium Desideravi" o formacji liturgicznej wiernych wydał w zeszłym tygodniu Franciszek. Kontekstem powstania tego dokumentu są napięcia wewnątrz kościelnej wspólnoty. Liturgia jest jedną z głównych osi sporów, gdyż najsilniejszą opozycję wobec kierunku, w którym Franciszek prowadzi Kościół, tworzą środowiska tradycjonalistyczne, przywiązane do rytu przedsoborowego.

Papież dostrzega, że Kościołowi potrzebne jest pogłębienie liturgicznej świadomości. W swoim liście daje wskazówki, jak do tego celu zmierzać. Z drugiej strony wyraźnie sugeruje, że zamiast spierać się o liturgię, należy zaangażować się w nią głębiej – ale w jej posoborowej formie.

Komentarze ze strony tradycjonalistów doceniają teologiczną wizję liturgii zawartą w liście, ale ostro krytykują podtrzymane w nim twierdzenie, że jedyną formą katolickiej celebracji powinna być forma posoborowa. Z drugiej strony część teologicznych twierdzeń listu też rodzi pytania. Problem pozostaje, spór trwa. ©℗ PS

Mniej osób w kościołach

JAK PANDEMIA wpłynęła na zachowania religijne Polaków – zbadało Centrum Badania Opinii Społecznej. Dwa lata dyspensy – nakładanej i znoszonej w różnych falach pandemii przez biskupów – spowodowały, że odsetek rodaków uczestniczących w liturgii przynajmniej w każdą niedzielę spadł z 46 do 37 proc. Jeszcze w 2018 r. wynosił 49 proc.

9

punktów procentowych – o tyle stopniał odsetek Polaków chodzących na mszę niedzielną.

Z 11 do 15 proc. zwiększył się odsetek osób deklarujących, że pojawiają się w kościele rzadziej niż dwa razy w roku. Także z 11 do 15 proc. wzrosła liczba osób deklarujących niechodzenie do kościoła. Dla prawie połowy Polaków (47 proc.) Kościół jest miejscem, w którym się odnajdują, a dla 46 proc. pytanych jest instytucją odległą. CBOS sugeruje, że na osłabienie praktyk religijnych części osób wpływ miały m.in. skandale z udziałem duchownych. ©℗ AS

KULTURA W SKRÓCIE

O POEZJI

Biblioteka internetowa Wolne Lektury organizuje Wakacyjną Szkołę Poezji. Bezpłatny kurs online potrwa 6 tygodni. Wśród wykładowców znaleźli się krytycy i poeci – Piotr Śliwiński, Artur Hellich, Natalia Malek i Grzegorz Uzdański.

O JEDZENIU

Festiwal Żydowskiego Jedzenia organizowany przez Muzeum Polin został wyróżniony Europejską Nagrodą Dziedzictwa Kulturowego. Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się 26 września w odrestaurowanej Operze Narodowej w Pradze.

O LATANIU

Animacja „Airborne" w reżyserii Andrzeja Jobczyka zdobyła nagrodę dla najlepszego filmu krótkometrażowego podczas Short Shorts Film Festival Asia. Obraz został wyprodukowany przez warszawskie studio Letko. Wygrana w Tokio pozwala twórcom ubiegać się o nominację do nagród Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej w kolejnym roku.

O PANDEMII

Dokument Pawła Łozińskiego „Film balkonowy" został natomiast doceniony przez jury nowozelandzkiego festiwalu Doc Edge, zwyciężając w kategorii „We are the World". Od czasu swojej premiery obraz był wielokrotnie nagradzany – tylko w tym roku wyróżniono go na festiwalach w Biarritz, Trieście, Brazylii oraz Zagrzebiu.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

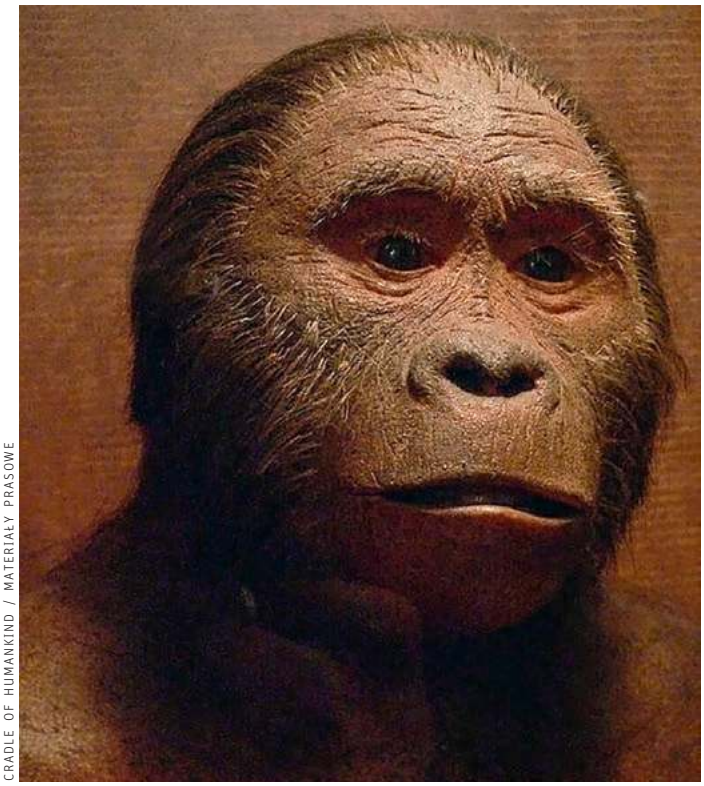

CRADLE OF HUMANKIND / MATERIAŁY PRASOWE

DAM NIE PYTA SIĘ O WIEK, ale w przypadku Pani Ples (obok wizja artystyczna) trzeba zrobić wyjątek. Tę słynną czaszkę *Australopithecus africanus* odkryto w połowie XX w. w jaskini Sterkfontein w RPA, na obszarze nazywanym Kolebką Ludzkości. Uważano, że ma nieco ponad 2 mln lat. Z nowej analizy opisanej w „PNAS" wynika jednak, że skamieniałości ze Sterkfontein liczą 3,4-3,7 mln lat. A to nawet więcej od znalezionego w Etiopii szkieletu Lucy (ok. 3,2 mln lat), reprezentującego inny gatunek australopiteków (*A. afarensis*). Linia ewolucyjna australopiteków robi się więc coraz bardziej zakręcona – a wraz z nią ta, która prowadzi do rodzaju ludzkiego. ©℗ ŁK

Muzeum jako sprawa miasta

W OSTATNICH DNIACH CZERWCA władze Warszawy oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego podpisały porozumienie w sprawie Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Od 1 stycznia przyszłego roku będzie ono zarządzane wyłącznie przez miasto. Minister Piotr Gliński straci wpływ na funkcjonowanie muzeum, a tym samym na powołanie jego dyrektora – kontrakt obecnie nim kierującej Joanny Mytkowskiej kończy się 31 grudnia br. Z uwagi na inne ministerialne nominacje to istotna, ale nie najważniejsza zmiana.

Muzeum zostało powołane przez ministerstwo w 2005 r. W kolejnym roku miasto stało się współprowadzącym: zapewniło tymczasową siedzibę i zobowiązało się wznieść nowy gmach. Ministerstwo pokrywało koszty bieżącego funkcjonowania. Teraz Warszawa przejmie pełną odpowiedzialność za jedną z najważniejszych instytucji kulturalnych w Polsce, w tym jej finansowanie (ok. 20 mln złotych rocznie). Znaczenie tej zmiany wykracza poza Warszawę. Pod rządami Glińskiego mamy do czynienia z bezprecedensową centralizacją i ideologizacją kultury w Polsce: obecnie ministerstwo prowadzi ponad 50, a współprowadzi 70 instytucji, samorządy zaś, często na własne życzenie, tracą wpływ na jeden z najważniejszych obszarów dla lokalnych wspólnot. Warszawa pokazała, że można inaczej. Oby ten przykład skłonił kolejne samorządy do przemyślenia ich polityki. © PIOTR KOSIEWSKI

Zapach przyjaźni

W „SCIENCE ADVANCES" ukazały się właśnie wyniki wieloletnich badań nad czymś, o czym zwykle nie lubimy myśleć, zwłaszcza latem: zapachem koszulki najlepszego przyjaciela. Wiadomo skądinąd, że lubimy ludzi podobnych do siebie, ale czy również zapachowo? Najpierw przeprowadzono badanie z udziałem 20 par przyjaciół, którzy niezależnie określali siebie nawzajem jako „*click friends*" – gdy tylko się poznali, to od razu „kliknęło". Następnie zestawiono ze sobą 45 par zupełnie obcych osób i sprawdzono, na ile, po krótkim spotkaniu, pomiędzy nimi „zagrało". W obu przypadkach pobrano też bawełniane koszulki noszone przez uczestników przez minimum sześć godzin, które były następnie analizowane przez wyspecjalizowany detektor („elektroniczny nos") oraz ludzkich ekspertów. Wnioski? Osoby, które czują do siebie instynktowną sympatię, pachną podobnie – wyraźnie bardziej podobnie niż pary osób wobec siebie obojętne. A więc jednak przy pierwszym spotkaniu się obwąchujemy... Ech, i znów jak te zwierzątka. ©℗ ŁUKASZ LAMŻA

TEMAT TYGODNIKA

ZAWÓD: PROROK

Mówi, jak będzie.
Na scenie Światowego Forum Ekonomicznego występuje obok Angeli Merkel, a teraz kawkę z nim popija Mateusz Morawiecki. Skąd się wziął Juwal Noach Harari?

ŁUKASZ LAMŻA

Oglądany na scenie, Harari na pierwszy rzut oka nie robi wielkiego wrażenia. Chudy, przeciętnie ubrany, łysiejący okularnik, wygląda jak historyk średniowiecza. Którym zresztą jest. Jest też intelektualną supergwiazdą. Odkąd się nią stał, właściwie nie pada pytanie: dlaczego on?

Bywalec

Juwal Noach Harari to izraelski historyk z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Jego kariera naukowa jest przeciętna – na przełomie lat 90. zaczął publikować drobne artykuły na temat średniowiecznej i renesansowej historii militarnej, jednak szybko jego ambicje urosły. W 2004 r. wydał pierwszą książkę akademicką ze swojej wąskiej działki, a w 2008 r. postanowił dokonać pierwszej większej syntezy, opisując ewolucję sztuki wojennej aż do początku XXI wieku w książce „The Ultimate Experience". Już wtedy wytykano mu, że porywa się na tematy, do których nie jest przygotowany. Historyk Mark Geldof oskarżał go wtedy o brak kwalifikacji do wypowiadania się o wojnach dwudziestowiecznych i wytykał anachronizmy wynikające z przykładania pradawnych miar do współczesnych konfliktów.

Wszystko się odmieniło, gdy Harari natrafił na „Strzelby, zarazki, maszyny" Jareda Diamonda z 1997 r. – wielką, odważną opowieść o historii ludzkości. Jak sam wspomina, zakochał się w rozmachu Diamonda, po czym stwierdził: „Ej, ja też bym tak umiał!". W latach 2014-2018 wydał trzy własne Wielkie Syntezy (zob. ramka), które do dziś sprzedały się w oszałamiającej liczbie 40 mln egzemplarzy i zostały przetłumaczone na 65 języków. Sporą zasługę w budowaniu jego popularności mają rekomendacje Billa Gatesa, Marka Zuckerberga czy Baracka Obamy.

Dziś Harari jest wysoce pożądanym mówcą na coraz szerszy zakres tematów i gościem coraz bardziej ekskluzywnych salonów. Na jego stronie internetowej można przeczytać o najbliższych wystąpieniach: od Nordyckiego Forum Biznesowego w Helsinkach po konferencję „Love Tomorrow" w Belgii, od tematu przyszłości gatunku, przez zmiany klimatu, aż po wojnę w Ukrainie. Jako „ekspert od wszystkiego" komentuje też bieżące wydarzenia dla największych światowych mediów, zasiada na jednej scenie obok przywódców państw i spotyka się z Angelą Merkel, Zuckerbergiem, Danielem Kahnemanem i Emmanuelem Macronem. Dwukrotnie przemawiał na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos. W Polsce wystąpił w tym roku po raz pierwszy na konferencji Impact2022 w Poznaniu, odwiedził też grób swojego dziadka w Łodzi. Jest obecny na naszych listach bestsellerów, fotografie ze spotkania z nim zamieszcza kancelaria premiera Morawieckiego, a Iga Świątek oświadcza, że jego książka jest na jej liście planowanych lektur.

Zachwytowi elit i milionów czytelników od ośmiu lat towarzyszą zarzuty ekspertów, które można podsumować tak: za monstrualnymi ambicjami i bombastycznymi tezami kryją się błędy, nieporozumienia i niegodna naukowca wybiórczość, zaś sama wizja jest nieoryginalna i mdła. Opinie naukowców dobrze podsumowuje cytat z recenzji „Sapiens" autorstwa antropologa Christophera Hallpike'a: „gdy tylko jego [Harariego] fakty są z grubsza poprawne, to nie są przy tym nowe, a gdy tylko próbuje wykrzesać z siebie coś własnego, to zwykle się myli, czasem poważnie". Jeśli już recenzenci coś chwalą, to głównie sam „pobudzający intelektualnie" fakt objęcia w jednej książce tak szerokiej gamy tematów i ogólną sprawność warsztatową. Jeśli przymknąć oko na detale, to jego książki faktycznie nieźle się czyta i osoba, która nie słyszała jeszcze za wiele o rewolucji neolitycznej, automatyzacji pracy przez sztuczną inteligencję albo zawłaszczaniu naszych danych przez Wielkie Korporacje, otrzyma treściwą pigułkę wiedzy na te tematy, sprzedaną z energią odkrywcy nowych kontynentów. Jak stwierdził inny recenzent, „nad książkami [Harariego] unosi się atmosfera nocnej dyskusji w akademiku".

Biorąc pod uwagę bezprecedensową wręcz popularność Harariego, tym ↦

W Paryżu, 2017 r.

JULIEN DE FONTENAY / JDD / SIPA

↦ bardziej zaskakujące jest to, co wychodzi na jaw po uważnej lekturze jego trzech książek.

Specjalista

Harari jest mediewistą, więc szczególnie trudno wytrzymać fragmenty jego książek mówiące o średniowieczu, bo opisuje je na poziomie uproszczenia, które powinno było z niego wygnać przyzwoite liceum.

Ot, kiedy w „Homo Deus" zestawia ze sobą opowieści nowożytne i przednowożytne, jako reprezentatywne przykłady tych drugich wymienia opowieści o rycerzach ratujących księżniczki przed smokami. Cała literatura antyczna i średniowieczna zostaje sprowadzona do drugorzędnego tropu baśniowego. Dalej: pada teza, że w epoce przednowożytnej interesowały nas wyłącznie wydarzenia i akcja (stąd ów przykład z rycerzem i księżniczką), a dopiero renesansowy humanizm przyniósł zainteresowanie emocjami i światem przeżyć ludzkich. Przed epoką humanizmu, twierdzi Harari, nikt nie wytrzymałby opowieści o emocjach, a ówczesny widz, oglądając introspektywny monolog we współczesnym programie telewizyjnym, rozrąbałby z nudów ekran toporem (to cytat). Dalej: w narracji pojawia się średniowieczna angielska chłopka zdradzająca swojego męża. Gdy przez jej głowę przelatują rozmaite teatralne rozterki, jedynym możliwym źródłem odpowiedzi na nie jest oczywiście ksiądz, Pismo Święte i Bóg. No bo wiecie, to średniowiecze było – więc wszyscy w kółko o Bogu myśleli. Dalej: „równanie" opisujące sposób zdobywania wiedzy w średniowieczu miałoby mieć wedle Harariego postać „Wiedza = Pismo x Logika", a ktokolwiek chciał się czegokolwiek dowiedzieć, sięgał do Biblii. Dopiero w epoce renesansu, pisze autor, odkryto badania empiryczne.

Taki obraz średniowiecza, owszem, przetrwał w czczej retoryce („to istne średniowiecze!"), ale dzięki nauce od dawna wiemy o bogactwie literatury średniowiecznej i starożytnej, niestroniącej oczywiście od „nudnej introspekcji", którą można znaleźć w średniowiecznych balladach czy greckim dramacie, ale też w Biblii i Wedach. Wiemy też, że wiele dziedzin nauki pięknie się w średniowieczu rozwijało, a wiele nowinek z zakresu chirurgii, optyki czy geologii przybywało do nas ze świata muzułmańskiego, bez trudu łączącego wiarę w Boga z empirycznym badaniem przyrody.

Co charakterystyczne, ów karykaturalny obraz „wieków ciemnych" narodził się w epoce Oświecenia z tych samych pobudek intelektualnych, dla których teraz promuje go Harari: aby przekonać czytelników, że wiara prowadzi do niewiedzy, a do wiedzy prowadzi tylko niewiara. Harari, jako „niewierzący Żyd" medytujący z buddystami – o czym uwielbia opowiadać dziennikarzom, a swojej przygodzie z medytacją Vipassana poświęca cały rozdział „21 lekcji" – flirtuje z „nowym ateizmem", dla którego ów tandetny obraz średniowiecza jest ulubionym tropem. No ale jego reprezentanci to nie mediewiści...

Nie musimy się jednak doszukiwać złej woli tam, gdzie satysfakcjonującym wytłumaczeniem jest kiepskość. Harari ma zaś potężne zamiłowanie do tyleż szyb-

Wszystkie bestsellery Harariego

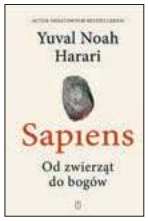

SAPIENS: OD ZWIERZĄT DO BOGÓW (2014)
Harari opowiada swoją wersję historii ludzkości w czterech aktach: rewolucja kognitywna, rewolucja rolna, zjednoczenie ludzkości i rewolucja naukowa. Nie jest to ostrożny przegląd obecnego stanu wiedzy, a raczej osobisty wybór tych hipotez, które autor uznał za najbardziej przekonujące – zwykle bez wyjaśnienia, że istnieją konkurencyjne. W rezultacie powstał błyskawiczny przelot przez wszystkie najważniejsze etapy od kamienia łupanego do smartfona: język, rolnictwo, religia, pieniądz, kuchnia, wymieranie gatunków, astronomia, buddyzm, upadek rodziny, kapitalizm, mapowanie mózgu... W posłowiu pada teza, że dziś człowiek jest już o krok od stania się bogiem.

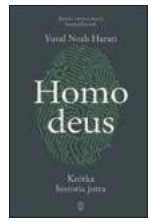

HOMO DEUS: KRÓTKA HISTORIA JUTRA (2016)
„Homo Deus" rozpoczyna się tam, gdzie skończył się „Sapiens". Składa się z trzech głównych sekcji: „Homo sapiens podbija świat", „Homo sapiens nadaje światu znaczenie" i „Homo sapiens traci kontrolę". Pierwsza opowiada o tym, jak staliśmy się najpotężniejszym gatunkiem na planecie. Druga o ideologicznych przemianach, które to spowodowały, jak humanizm („wiara w człowieka") i kapitalizm („wiara we wzrost"). W trzeciej mowa o przemianach, które zachodzą teraz. W ostatnich słowach książki autor przekonuje, że w XXI wieku trzy wielkie procesy zdominują wszelkie inne: 1) Nauka prowadzi do dogmatu, że organizmy to algorytmy, a życie to przetwarzanie danych. 2) Inteligencja oddziela się od świadomości. 3) Inteligentne algorytmy niedługo zrozumieją nas lepiej, niż rozumiemy się my sami.

21 LEKCJI NA XXI WIEK (2018)
To 21 krótkich esejów (każdy mniej więcej długości niniejszego tekstu), wyłącznie na Wielkie Tematy: praca, wolność, równość, cywilizacja, nacjonalizm, religia, imigracja, terroryzm, wojna, Bóg, sprawiedliwość, edukacja, znaczenie... Trudno podsumować nastawienie ideologiczne autora wyłaniające się z tego zbioru, ponieważ rozdziały są samodzielne, krótkie i mają przy tym ambicję szerokiego podsumowania wszystkich istotnych wątków dla danego hasła-tematu. To po prostu za mało przestrzeni, aby z tekstu wyłonił się jakiś spójny zestaw poglądów lub choćby mocna teza. Oto niektóre „zasadnicze tezy" poszczególnych rozdziałów: terroryzmu nie musimy się bać; ludzie nie myślą samodzielnie; może istnieć etyka bez wiary w Boga; medytacja zapewnia nam bezpośredni kontakt z własnym ciałem i umysłem. ©℗

kich, co stereotypowych przykładów. Gdy opowiada o współczesnej psychologii, na półce psychoterapeuty umieszcza „książki Freuda i Junga". Gdy w „Sapiens" opisuje ewolucję cywilizacji, przechodzi przez te wszystkie kroki, które znamy z podstawówki: Żyzny Półksiężyc, piramidy, Hammurabi i tak dalej. Nie są to przykłady złe, ale po prostu nudne jak z wypracowania – a nie da się zaś zrobić ekscytującego dania z nieświeżych składników.

U początków cywilizacji ze starym dobrym Bliskim Wschodem współwystępowało wiele wspaniałych kultur: tzw. stara Europa na Bałkanach i w łuku Karpat, cywilizacja Oxus za Morzem Kaspijskim, kultura Mehrgarh w dzisiejszym Pakistanie... Gdy w szkołach wciąż wałkuje się ten sam Sumer i Egipt, historycy dają nam do dyspozycji nowe fascynujące przykłady na wykluwanie się cywilizacji miejskiej, pisma czy handlu. Smutno więc patrzeć na historyka, który miał szansę opisać świt cywilizacji w bogaty sposób, a oglądamy te same obrazki, którym domalowywaliśmy wąsy w szóstej klasie. Wystarczy kilka poważniejszych lektur, żeby się zorientować, że Harari wciąż tupta głównym szlakiem na Giewont.

Supermoce

No dobrze, skoro w detalach książki i wykłady Harariego nie porywają, to może zachwyci nas jego Wielka Wizja?

Nic z tego. Nawet w najodważniejszych sekcjach „Homo Deus" i najbardziej odlotowych momentach swoich wykładów Harari nie wykracza poza to, co już tyle razy słyszeliśmy. Sztuczna inteligencja, która wydaje się myśleć jak człowiek, a niedługo będzie myśleć lepiej niż my? Było. Roboty, które zabiorą nam pracę, co wywoła masowe bezrobocie? Było. Ujednolicanie się kultur pod wpływem internetu? Mieszanie się światów online z offline? Giganci technologiczni zbierający informacje o każdej sekundzie naszego życia? Byy-łooo... Co więcej, osobista perspektywa Harariego na te tematy jest równie sztampowa, co przytaczane przez niego przykłady. Nic dziwnego, nie da się z nudnych detali ulepić oryginalnej całości, a na perełki natrafiamy zwykle wtedy, gdy ciężko ryjemy w tabelkach. Harari tej pracy domowej nie odrobił.

Przykład? W „21 lekcjach" Harari straszy nas „technologicznym bezrobociem", stawiając tezę, że do roku 2050 „uczenie maszynowe i robotyka odmienią niemal każdy rodzaj pracy – od produkowania jogurtu po uczenie jogi". To ten rodzaj uogólnienia, które można usłyszeć nad pietruszką w warzywniaku, a Harari wydaje się kompletnie niezainteresowany pogłębieniem go, nie cytując zresztą żadnego źródła na poparcie swojego uogólnienia. Na czym właściwie polega „odmienienie" jakiejś pracy przez AI? Czy naprawdę dojdzie do tego we wszystkich zakątkach świata (a nie tylko w Izraelu, Brukseli i Kalifornii, między którymi krąży Harari)? I czy naprawdę „niemal każdy rodzaj pracy" może zostać odmieniony przez roboty i AI?

> Harari ma zamiłowanie do stereotypowych przykładów. Nie są one złe, ale po prostu nudne jak z wypracowania. A nie da się zrobić ekscytującego dania z nieświeżych składników.

Co na to eksperci? W 2017 r. ukazała się praca C. Freya i M. Osborne'a, w której oszacowano prawdopodobieństwo, że na zatrudnienie w 702 różnych zawodach znacząco wpłynie uczenie maszynowe i robotyka. Artykuł jakby idealnie stworzony dla Harariego, który w 2017 r. pracował właśnie nad „21 lekcjami". Wyniki? Aż dla 168 zawodów prawdopodobieństwo to oszacowano na mniej niż 10 proc., a dla 298 (czyli prawie połowy wszystkich zawodów!) jako mniej niż 50 proc. (dla zainteresowanych: na szczycie „listy bezpiecznych" znaleźli się m.in. fizjoterapeuci, choreografowie i nauczyciele w szkołach podstawowych). Czy obaliliśmy tezę Harariego? Nie, ponieważ jest ona zbyt mętna i niedomyślana, aby się w ogóle nadawała do obalenia. To samo dotyczy nawet tych najbardziej śmiałych tez.

Zasadnicza idea „Homo Deus" jest taka, że po względnym opanowaniu trzech wielkich zmor ludzkości – plagi, wojny i głodu – w XXI wieku nasz gatunek zajmie się dążeniem do ambitniejszych celów niż przetrwanie: osiągnięcia nieśmiertelności, szczęścia i wszechmocy, co ostatecznie upodobni nas do bogów. Każda z tych tez cierpi jednak wskutek niedomyślenia. Przykładowo, szczęście zdaniem Harariego naukowcy definiują bardzo prosto: „ludzi uszczęśliwia jedna i tylko jedna rzecz – przyjemne odczucia w ciele". Stąd następny krok: „jeśli naukowcy mają rację, (...) to aby podnieść globalny poziom szczęśliwości, konieczna jest manipulacja ludzką biochemią". Naprawdę? Którzy konkretnie naukowcy są na tyle nieuważni, aby nie rozróżniać między przyjemnością i szczęściem albo całkowicie zaniedbać poznawczy wymiar szczęścia? Wystarczy zajrzeć choćby do popularnego World Happiness Report, aby się zorientować, że badacze szczęścia definiują je znacznie mądrzej, pytając globalną próbę respondentów, czy np. poprzedniego dnia robili coś interesującego lub dowiedzieli się czegoś nowego albo czy mają przyjaciół, na których mogą liczyć. Te zupełnie elementarne wymiary szczęścia przelatują przez biochemiczne sito Harariego, który po tak niechlujnym sformułowaniu problemu może się tylko zastanawiać nad nowymi substancjami psychoaktywnymi, stymulacją mózgu i genetyczną manipulacją szlakami biochemicznymi – co pospiesznie robi – ostatecznie bardzo skutecznie omijając zasadnicze i jakże interesujące pytanie o globalny poziom szczęścia w XXI wieku.

Idąc jeszcze dalej, można by się zastanawiać, czy osiągnięcie długowieczności, „biochemicznego szczęścia" i „technologicznej wszechmocy" naprawdę uczyni z nas bogów. Harari rozumie jednak słowo „bóg" tak samo ubogo, jak pojęcie szczęścia. „Boskość nie jest jakąś mętną jakością metafizyczną", zapewnia nas, lecz sumą rozmaitych robiących wrażenie superzdolności: umiejętności kontrolowania organizmów żywych i pogody albo podróżowania z wielką szybkością. Gdy je osiągniemy, pisze, staniemy się bogami. Równie upośledzona jest w jego książkach idea religii.

W „Homo Deus" opisane jest wyłanianie się „dataizmu" – nowej wielkiej religii skoncentrowanej wokół gromadzenia i przetwarzania Wielkich Danych. Choć sam pomysł mógłby być interesujący, w całym rozdziale pt. „Religia danych" ↦

↦ ze świecą szukać jakiegokolwiek poważnego zmierzenia się z pytaniem, czym jest religia, na jakie ludzkie potrzeby odpowiada, i czym właściwie miałby być dataizm jako religia. Czy wyznawcy dataizmu mogą spodziewać się metafizycznego pocieszenia albo wiary w życie po śmierci? Czy dataizm będzie miał swoje kościoły, w których odnajdą się osoby ceniące sobie rytualną stronę religii?

W „21 lekcjach" Harari zbywa wszelkie rytuały religijne jako „hokus pokus" i proponuje rezygnację z wszystkich wielkich historii i mitów na rzecz medytacji nad własnym ciałem. Czy jest to jednak naprawdę przemyślana odpowiedź, biorąca pod uwagę realne psychologiczne potrzeby miliardów ludzi? Przepraszam, głupie pytanie.

Jeden na milion

Wróćmy więc do pytania, skąd „fenomen Harariego"? Komentatorzy prześcigają się w wyjaśnieniach.

Urażeni akademicy ubolewają nad tym, że świat podbija intelektualna tandeta, a każde uproszczenie Harariego sprzedało mu kolejną partię książek. W głosach tych wyczuwam jednak sporą dozę zawodowej zawiści, a samego wyjaśnienia nie kupuję. Książki i wykłady Harariego, przy całej przytoczonej tu krytyce, reprezentują jednak przyzwoitą intelektualną robotę, a tu i ówdzie widać stojący za nimi solidny *research*. Harari nie rokuje na intelektualnego klasyka na miarę stulecia, ale też nie uprawia disco polo.

Dobiegający z zupełnie innej strony „głos ludu" jest taki, że Harari to pupilek wysoko postawionych. Od kiedy tylko w 2018 r. wystąpił na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos, nie milkną opinie, że stał się głosem światowej siatki globalistów, próbującej pod płaszczykiem zmian klimatu i walki z pandemią ograniczyć nasze wolności osobiste. Nie pomaga mu fakt, że z jego wypowiedzi można bez trudu zmontować wizję przyszłości, w której wszyscy jesteśmy zachipowani, omotani przez wielkie korporacje i ubezwłasnowolnieni przez potężnego Technologicznego Innego. W teorii tej kryje się oczywiście ziarnko prawdy – Klaus Schwab, założyciel i intelektualny lider forum w Davos, od lat fascynuje się relacjami człowiek-technologia, a jego książki „The Fourth Industrial Revolution" (2016) i „COVID-19: The Great Reset" (2020) przecinają się w wielu miejscach z tym, o czym pisze Harari. Nic więc dziwnego, że panowie przypadli sobie do gustu, a sympatia ze strony Davos to otwarte zaproszenie na dowolne salony.

Ja mam jednak inną hipotezę, zupełnie banalną: w Hararim naprawdę nie ma nic wyjątkowego. Dlaczego więc bestsellerem stały się „Sapiens" i „Homo Deus", a nie każda z tuzinów innych prób napisania Wielkiej Książki o Technologii i Przyszłości Naszego Gatunku, jak, powiedzmy, „The Fourth Age" Byrona Reese'a czy „The Future is Faster Than You Think" Petera Diamandisa? (lub wiele innych – patrz ramka)? To pytanie równie dobre, jak to, dlaczego twarzą heavy metalu stała się Metallica, a nie którykolwiek z setek zespołów założonych w tym samym czasie, w tym samym miejscu, grających z grubsza podobną muzykę, z grubsza równie dobrze. Bo tak się stało. A bo się któryś koncert świetnie udał, a bo pogoda była dobra, a bo właściwy człowiek był na widowni, a bo Jonny Zazula, który zakochał się w pierwszym demo Metalliki, jakimś cudem pożyczył pieniądze na pierwszy album.

Nie tylko Harari

OTO PRZYKŁADY innych prób napisania Wielkiej Książki o Technologii i Przyszłości Naszego Gatunku, które jednak nie zdobyły aż takiej popularności:

- Calum Chace „Surviving AI"
- Peter Diamandis „The Future is Faster Than You Think"
- Luke Dormehl „Thinking Machines"
- Charles Eisenstein „The Ascent of Humanity"
- Mauro Guillen „2030. Jak ścieranie się najwyraźniejszych dzisiejszych trendów przekształci przyszłość wszystkiego" (wyd. polskie Studio EMKA, 2021)
- Jeff Hawkins „A Thousand Brains"
- Kevin Kelly „Nieuniknione" (wyd. polskie Poltext, 2017)
- John Lennox „2084: Artificial Intelligence and the Future of Humanity"
- David Marshall „Evolution 2.0"
- Byron Reese „The Fourth Age"
- Terrence Sejnowski „Deep Learning. Głęboka rewolucja" (wyd. polskie Poltext, 2019)
- Thomas Siebel „Digital Transformation"
- Daniel Susskind „A World Without Work"

Ciasteczka

Jak to więc możliwe, że najzupełniej nieszczególny Harari teraz występuje w Davos po Angeli Merkel i naradza się z premierami krajów europejskich? I czy powinno nas to interesować albo niepokoić?

Po pierwsze, jestem przekonany, że na scenach forów ekonomicznych i na herbatkach u premierów spokojnie poradziliby sobie Reese, Diamandis czy kilkudziesięciu innych podobnych im autorów. Przejrzałem parę książek z zamieszczonej obok listy i wszyscy piszą z grubsza to samo, cytując zresztą te same przykłady. W rozdziale dziewiątym „Homo Deus" Harari opisuje słynną realizację AI, program Watson od IBM-a. Cóż, Chace robi to w rozdziale 1. swojej „Surviving AI", Dormehl w rozdziale 5. swoich „Thinking Machines", a Reece w rozdziale 8. „The Fourth Age". Jeżeli coś odróżnia Harariego od wyżej wymienionych, to raczej bezwstydna maniera, aby używać samych wielkich słów, z banalnych przykładów i szybkich uogólnień lepiąc opowieść o Prawdzie, Śmierci, Bogu i Świadomości.

Po drugie, jakich to właściwie cudów elokwencji i erudycji dokonała na tej samej scenie Merkel i wszyscy inni przywódcy czy prezesi firm technologicznych? A próbowaliście kiedyś posłuchać któregoś z wystąpień z Davos? Stawiam dukaty przeciw miedziakom, że po godzinie ich wysłuchiwania powiecie to samo, co ja: albo ci ludzie mają mniej więcej tak szerokie horyzonty, jak każdy inny pięćdziesięciolatek w garniturze, a tylko awansowali o dwa szczeble wyżej, albo świetnie się ze swoim wizjonerstwem kryją.

To samo dotyczy oficjalnych herbatek. Tak szczerze: jak głęboko wystarczy rozumieć zmiany klimatu, robotykę i sieci neuronowe, żeby przez kwadrans zabawiać rozmową Macrona, Obamę albo Mateusza Morawieckiego? I o czym właściwie Harari z tym ostatnim rozmawiał przy, jeśli dobrze widzę na zdjęciach z Kancelarii Premiera, ciastkach

półfrancuskich z budyniem? Herbatki autorów z Ważnymi Ludźmi są zwykle nudne jak diabli, co potwierdza zresztą sam Harari, w „21 lekcjach" opowiadając o swoim rozczarowującym obiedzie z Beniaminem Netanjahu, gdy wszyscy przejęci goście, nie chcąc źle wypaść, wypowiadali tylko słuszne, okrągłe banały. Prawdę mówiąc, nie muszę nadwyrężać wyobraźni, żeby się domyślić, jakie słuszne, okrągłe banały padały wówczas z ust Harariego.

Dzisiaj maszynka napędza się już sama. Te wszystkie fora ekonomiczne w Brukseli i Helsinkach organizuje się tak samo. Nieszczęśnik z rady programowej dostaje dwa tygodnie na załatwienie sławnego keynote speakera, który za kilkadziesiąt tysięcy dolarów uświetni wydarzenie. Harari uświetnia wręcz znakomicie. Podobnie Harari pisze teraz komentarze na temat wojny w Ukrainie dla „Guardiana" – nie dlatego, że jest genialnym geopolitykiem, tylko dlatego, że jest „uogólnionym sławnym intelektualistą", którego nazwisko wśród autorów dobrze sprzeda gazetę. Fenomen Harariego to również najzupełniej zwyczajne zjawisko medialne.

Spokojna praca

Rzeczy nowe i inspirujące dzieją się gdzie indziej. Jeżeli szukacie świeżego powiewu intelektualnego, sięgnijcie do *science fiction*, do wystąpień z serii TED wygłaszanych przez mało znanych naukowców tuż po doktoracie, do raportów z konferencji Instytutu Inżynierów Elektryków i Elektroników (IEEE) albo nawet do starego dobrego czasopisma „Wired". Jeśli następca Merkel, kanclerz Olaf Scholz ma rzeczywiście na tyle szerokie perspektywy, aby na poważnie zainteresować się skutkami rozwoju nowych technologii, to nie pójdzie do Harariego, tylko wprost do OpenAI w sprawie sztucznej inteligencji, do BASF w sprawie chemii i nowych materiałów i do SpaceX w sprawie podboju kosmosu. Na telefon ma ludzi z Max-Planck-Gesellschaft, którzy są na froncie badań dronów autonomicznych, nanorobotów i głębokich sieci neuronowych, nie mówiąc już o tym, co ciekawego mogą mu powiedzieć dobrzy ludzie z niemieckiego wywiadu gospodarczego i wojskowego albo z Instytutu Mikrobiologii Bundeswehry w Monachium.

> Jak głęboko wystarczy rozumieć zmiany klimatu, robotykę i sieci neuronowe, żeby przez kwadrans zabawiać rozmową Macrona, Obamę albo Mateusza Morawieckiego?

Harari bywa czasem przedstawiany jako ktoś, kto umie tego typu rozrzucone fakty zebrać i poddać oryginalnej syntezie – nic z tych rzeczy. W jego książkach nie ma nawet śladu po bobrowaniu w raportach z badań, artykułach technicznych i wystąpieniach konferencyjnych, a bibliografia jego książek w sekcji technologicznej to praktycznie wyłącznie źródła prasowe i książki popularnonaukowe. Te naprawdę ciekawe i niebezpieczne rozmowy, które ostatecznie ukształtują przyszłość relacji człowiek-technologia, toczą się między ludźmi wiedzącymi więcej, a nie na scenie konferencji ekonomicznej zorganizowanej przez bladych eurokratów.

Średniość Harariego mnie jednak uspokaja. On w tych książkach i wykładach naprawdę nie sprzedaje żadnej dziwnej, niebezpiecznej, ekstrawaganckiej wizji człowieka, tylko uśredniony stan niepokojów ludzkości w drugiej dekadzie XXI wieku. Jeżeli więc za zamkniętymi drzwiami powtarza to samo, możemy być spokojni. To po prostu historyk z lekkim piórem i sporą dawką intelektualnej nieprzyzwoitości, który ma swoje pięć minut i w imieniu zbiorowej świadomości opowiada, za niezłe pieniądze i w świetle jupiterów, to, co z grubsza wiadomo, ubrane w wielkie słowa. Dobra fucha, przejmować się nie ma czym.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Trąba i szofar

Kiedy więcej niż jeden zmysł dostarcza do mózgu informację o tym samym obiekcie, wówczas zwielokrotniamy szansę, by ten obiekt wrył się w naszą pamięć. Zgromadzeni pod górą Synaj widzą wiele, jednak kluczowe jest to, co tam słyszą („Słuchaj, Izraelu, nasz Pan jest Bogiem Jedynym...”). Pod koniec dziewiątego rozdziału Księgi Liczb czytamy o tym, jak obłok chwały daje znak wędrującym po pustyni Izraelitom, że powinni zwijać obóz i ruszać dalej. Na początku dziesiątego – Najwyższy nakazuje Mojżeszowi, by sporządził sobie dwie trąby. Wydobyty z nich krótki dźwięk (hebr. *terua*; w rytuale synagogalnym to seria trzech nut *staccato*) będzie sygnałem do wymarszu poszczególnych części obozowiska. Przeciągła *teki'a* zgromadzi określoną populację przed Namiotem Spotkania. Będąc już w Ziemi Obiecanej, Izraelici będą słyszeć trąbienie podczas świąt wymienionych w Kpł 23, w czasie procesji (zob. np. 1 Krn 15, 28) oraz pośród innych dźwięków wydawanych przez orkiestrę akompaniującą wykonawcom świątynnych pieśni pochwalnych (np. Ps 98, 5-6). Odtrąbiony zostanie początek nowego miesiąca i Nowy Rok, obchodzony wg rachuby biblijnej z początkiem siódmego miesiąca. Biblia nazywa go „pamiątką trąbienia” (Kpł 23, 24) oraz „dniem trąbienia” (Lb 29, 1), co rabini zinterpretowali jako ceremonialne dęcie w szofar. Aleksander Gierymski odmalował je jako „Święto trąbek”.

Szofar, sporządzony z rogu koszernego zwierzęcia – byle nie krowy lub byka, by nie przypominał o grzechu złotego cielca – to prawdopodobnie najstarszy używany do dziś instrument dęty. Jego głośny dźwięk dobywający się z gęstego obłoku spowijającego górę Synaj wywołał drżenie u zgromadzonych (zob. Wj 19, 16 oraz 20, 18). Nawet Cylkow tłumaczy go jako „trąbę”. Tymczasem „szofar” można by ewentualnie przetłumaczyć jako „trąbka sygnałowa”. Szofar i trąba (hebr. *chacocra*) to dwa oddzielne instrumenty, które współistniały w Świątyni Jerozolimskiej w różnych konfiguracjach. Przykładowo w Nowy Rok „pierwsze skrzypce” grał znajdujący się pośrodku szofar, flankowany przez trąby. Z kolei w czasie postów to trąby były pośrodku z szofarami po bokach.

Gdybyśmy zapragnęli zobaczyć owe rytualne trąby, wystarczy spojrzeć na łuk tryumfalny Tytusa: zostały na nim przedstawione wśród łupów wynoszonych ze splądrowanej Świątyni. Ponoć można ujrzeć ich współczesne wcielenie podczas mszy papieskich w bazylice św. Piotra. „Szczęsny lud, który zna głos surmy (hebr. *terua*)” – rzecze psalmista (89, 16), a midrasz pyta: Czy inne ludy też nie znają radosnego dźwięku? Mają wszak przeróżne instrumenty dęte... I odpowiada: ale Izraelici wiedzą, jak zagrać Stwórcy serenadę za pomocą teruy. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Wróg ratuje wroga

Przykazania Boże, kościelne, rubryki liturgiczne, zasady współżycia seksualnego, a nawet gastronomiczno-postne, a bywało, że i modowe, tworzenie nowych modlitw i nabożeństw skuteczniejszych od dawniejszych i wiele innych tego typu przekonań i działań sprawia, że wielu Kościół jawi się, jak mówi papież Franciszek, jako bezwzględny „strażnik popiołów”. Chce on za wszelką cenę rządzić ludzkimi sumieniami, rozumem i sercem. Ogłasza się przecież, że my mamy wszystko, co potrzebne do zbawienia, inni w najlepszym przypadku tylko troszeczkę. Tymczasem w Księdze Powtórzonego Prawa czytamy, że „przykazania i ustawy zapisane w Księdze Prawa” są również zapisane w „sercu” każdego człowieka, co wynika ze słów Boga, które powiedział, powziąwszy decyzję, by nas stworzyć: „Uczyńmy ludzi na nasz obraz, podobnych do nas”.

W Księdze Powtórzonego Prawa czytamy: „Przykazanie, które Ja ci dziś daję – mówi Bóg – nie przekracza twoich możliwości i nie jest poza twoim zasięgiem. Nie znajduje się ono w niebie, byś mógł powiedzieć: »Któż dla nas wstąpi do nieba i nam je przyniesie, abyśmy mogli je usłyszeć i wypełnić?«. Nie znajduje się za morzem, byś mógł powiedzieć: »Któż dla nas uda się za morze i nam je przyniesie, abyśmy mogli je usłyszeć i wypełnić?«. To słowo jest bardzo blisko ciebie: jest na twoich ustach i w twoim sercu, abyś mógł je wypełnić”. Słowem, prawo Boże jest prawem wcielonym, chcąc je znaleźć, usłyszeć, nie potrzeba nadzwyczajnych wysiłków ani nadprzyrodzonej interwencji, wystarczy uważnie popatrzeć i posłuchać, co mówi świat, czyli dzisiejsza rzeczywistość.

Cytowany fragment Księgi Powtórzonego Prawa autorzy Lekcjonarza mszalnego zestawiają z przypowieścią o miłosiernym Samarytaninie z Ewangelii wg Łukasza. Jak pamiętamy, jakiś znawca Prawa zapytał Jezusa, co powinien robić, „aby otrzymać życie wieczne”. Jezus odpowiadając, nie teoretyzuje, ale podaje mu „przykład z życia”, wobec którego pytający musiał zająć stanowisko. Uczony w Prawie ma rozstrzygnąć, który z bohaterów przypowieści względem śmiertelnie rannego człowieka zachował się po Bożemu. Kapłan i lewita, którzy jako urzędowi słudzy Prawa, powinni być przy umierającym pierwsi, czy Samarytanin, po którym można się było spodziewać wszystkiego, tylko nie tego, że będzie ratował człowieka, który uważa go za śmiertelnego wroga. Rodzi się więc pytanie, co tak zatwardziło serca sług Bożego miłosierdzia i co sprawiło, że wróg ratuje wroga? Wygląda na to, że tych, powiedzmy, duchownych zdeprawowała kazuistyczna pobożność, natomiast Samarytanina do przekroczenia nieludzkiego prawa do zemsty popchnęło Prawo, czyli umiejętność wczucia się w sytuację. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Trzęsienie ziemi

„Gdy Jezus wszedł do łodzi, poszli za Nim Jego uczniowie. A oto zerwała się wielka burza na jeziorze, tak że fale zalewały łódź; On zaś spał. Wtedy przystąpili do Niego i obudzili Go mówiąc: Panie, ratuj, giniemy! A On im rzekł: Czemu tak bojaźliwi jesteście, ludzie małej wiary? Potem, powstawszy, zgromił wichry i jezioro, i nastała głęboka cisza. A ludzie pytali zdumieni: Kimże On jest, że nawet wichry i jezioro są Mu posłuszne?" (Mt 8, 23-27). Wszyscy trzej Synoptycy opisują to wydarzenie (por. Mk 4, 35-41; Łk 8, 22-25). Ale – jak zwykle – każdy z nich wydobywa zeń detale („okruchy") dla niego specyficzne i ważne, kodujące jego namysł. W przytoczonym powyżej zapisie św. Mateusza chciałbym zwrócić uwagę na dwa szczegóły.

Najpierw poprzedzający wydarzenie najbliższy kontekst. U Marka i Łukasza jest nim opowiadanie w przypowieściach (przypowieść o Siewcy i jej objaśnienie) o Królestwie Bożym. U Mateusza dialog z dwoma potencjalnymi uczniami. Jednemu, który chce iść za Nim, Jezus wyjaśnia, iż taka decyzja oznacza wybór bezdomności („Lisy mają nory, a ptaki podniebne gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł położyć"); drugiemu, który deklaruje chęć pójścia za Jezusem, ale po zwłoce koniecznej na pogrzebanie własnego ojca, poleca zdecydowanie: „Pójdź za Mną, a zostaw zmarłym grzebanie ich umarłych". W obu przypadkach mamy do czynienia z radykalnie podniesioną poprzeczką – z wymaganiem przekraczającym wręcz ludzkie możliwości i wybory.

W tym kontekście otwierające naszą perykopę zdanie „Gdy Jezus wszedł do łodzi, poszli za Nim Jego uczniowie" nie jest tylko prostym stwierdzeniem faktu; w owym „poszli za Nim" jest zakodowana decyzja. To, co powiedział o wymogach uczniostwa – postawione co dopiero radykalne warunki – ich nie przeraziły i nie zniechęciły. Wiedzą, co robią i na co się decydują – idąc za Nim. To piękne: radykalny wybór Jezusa – bycia z Nim, postawienia Go na absolutnie pierwszym, suwerennym miejscu, bez względu na konsekwencje w życiu prywatnym czy rodzinnym.

I tu pojawia się od razu szczegół drugi: pierwsze, co ich spotyka po podjęciu takiej decyzji, to „wielka burza na jeziorze". Tekst grecki jest tu zdecydowanie mocniejszy: to nie „burza", lecz raczej wielkie trzęsienie ziemi (*seismòs mégas*).

Pewnie nie tego się spodziewali! Czy to możliwe: aby radykalny wybór Boga przyniósł nam w odpowiedzi „trzęsienie ziemi"?! Że oto nagle cały nasz świat zaczyna się trząść, rozchwiany, zdestabilizowany – że cała wręcz rzeczywistość wymyka nam się spod nóg?!

Jest. Jest możliwe. Zdarza się. Częściej niż myślimy... I co wtedy? Wtedy jest tylko jedna szansa na przetrwanie: trzeba obudzić Jezusa i zdać się na Niego. ©

Człowiek święty
cały jest święty
– wraz z ciałem.
Jeśli weźmie do ręki chleb,
chleb stanie się święty.

EWANGELIA FILIPA

Wielka Droga
może prowadzić
przez kroplę wody,
ale może też wymagać
skomplikowanych
wskazówek.

AL-BUCHARI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 VII)

15. niedziela zwykła: Pwt 30, 10-14; Ps 69; Kol 1, 15-20; Łk 10, 25-37;
Poniedziałek, święto św. Benedykta: Prz 2, 1-9; Ps 34; Dz 4, 32-35; Mt 19, 27-29;
Wtorek: Iz 7, 1-9; Ps 48; Mt 11, 20-24;
Środa: Iz 10, 5-7. 13-16; Ps 94; Mt 11, 25-27;
Czwartek: Iz 26, 7-9. 12. 16-19; Ps 102; Mt 11, 28-30;
Piątek: Iz 38, 1-6. 21-22. 7-8; Ps: Iz 38, 10-12. 16; Mt 12, 1-8;
Sobota: Mi 2, 1-5; Ps 10; Mt 12, 14-21;
16. niedziela zwykła: Rdz 18, 1-10a; Ps 15; Kol 1, 24-28; Łk 10, 38-42.

KRAJ

IZERA BEZ PRĄDU

Kraj bez tradycji motoryzacyjnych chciał się stać potęgą na rynku elektrycznych aut. Dziś wiadomo, że nie wyszliśmy poza propagandę, a flagowy produkt jest w zasadzie atrapą.

KRZYSZTOF STORY

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wielkie projekty mają ogromną zaletę: można o nich pięknie mówić. Tę opowieść 7 czerwca 2016 r. rozpoczęli ówczesny minister energii Krzysztof Tchórzewski i Mateusz Morawiecki, wtedy wicepremier i minister rozwoju. Zaczęli od liczb, i to ogromnych: w ciągu dekady na krajowych drogach miał pojawić się milion samochodów zasilanych wyłącznie prądem (wtedy praktycznie w Polsce nieużywanych), dzięki czemu nasze koncerny energetyczne zarobiłyby do 2 mld zł rocznie. Spora część tej motoryzacyjnej rewolucji miała zostać zaprojektowana i wyprodukowana w Polsce. Przewidywano, że sam rynek autobusów elektrycznych osiągnie wartość nawet 2,5 mld zł rocznie.

Program Rozwoju Elektromobilności (ostatecznie uchwalony w 2017 r.) był jednym z filarów tzw. Planu Morawieckiego. Pierwsza prezentacja „Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju" zaczynała się od cytatu z Józefa Piłsudskiego: „Polska będzie wielka albo nie będzie jej wcale", co uznawano za dowód determinacji autorów projektu. W sektorze elektromobilności wielkość ta miała objawić się w dwóch projektach: elektrycznych autobusów, w których produkcji mamy już doświadczenie, oraz – przede wszystkim – przy konstrukcji pierwszej polskiej osobówki na prąd.

Do tego drugiego zadania 19 października 2016 r. powołano spółkę ElectroMobility Poland (EMP). Akcjami po równo podzielili się czterej giganci polskiej energetyki: PGE, Enea, Energa i Tauron.

Bez platformy ani rusz

Pomysł od początku budził duże emocje, ale nawet jego przeciwnicy nie mogli podważyć jednego: rynek samochodów elektrycznych na świecie, a zwłaszcza w Europie, rósł już wtedy błyskawicznie, choć pierwszy masowo dostępny elektryk został zaprezentowany zaledwie 7 lat wcześniej. I było na tym rynku jeszcze sporo miejsca dla nowych graczy.

ElectroMobility Poland szybko ogłosiło konkurs na projekt samochodu. Każdą z czterech zwycięskich prac nagrodzono kwotą 50 tys. zł. I żadnej nie wykorzystano. Ostateczne dwie wersje pojazdu – hatchbacka i SUV-a – zaprojektowało włoskie studio Torino Design. Obie po raz pierwszy zobaczyliśmy (w kolorach białym i czerwonym) na oficjalnej prezentacji 28 lipca 2020 r.

Nową polską markę samochodów nazwano Izera, od nazwy polskiej rzeki, która ma rodowód celtycki (*isiras*, czyli silny, bystry, szybki). Zdjęcia nowoczesnego nadwozia i wnętrza obiegły internet i setki mediów wraz z listą systemów wspomagania kierowcy (wykrywanie znaków drogowych, aktywny tempomat, system stabilizacji toru jazdy), które izera będzie posiadać, oraz informacją o tym, że przyśpieszenie od zera do setki zajmie jej niecałe osiem sekund.

Do dzisiaj nie dowiedzieliśmy się wiele więcej. Według ekspertów, dwa lata temu zobaczyliśmy raczej model, który dobrze wygląda na zdjęciach, niż auto, które za 4 lata miałoby wejść do seryjnej produkcji. Nie zmienia tego nawet fakt, że 18 listopada 2020 r. czerwony hatchback Izery pojawił się na zamkniętym odcinku południowej obwodnicy Warszawy. Przyjechał tam na lawecie, ale nie wiadomo, co miał pod maską i czy celem była jazda testowa, czy sesja fotograficzna. Nadal nie znamy konkretów dotyczących zasięgu podróży na jednym ładowaniu, dostępnych baterii, ceny, a przede wszystkim – EMP do dzisiaj nie ma umowy z firmą,

Prezentacja polskiego samochodu elektrycznego Izera. Sokołów k. Warszawy, 28 lipca 2020 r.

która dostarczy platformę, na której stanie izera. Platforma w dużym uproszczeniu to całe podwozie i zarazem najdroższa w projektowaniu część auta. Bez niej ani rusz. Wybór platformy decyduje o bryle auta, doborze dalszych komponentów, umiejscowieniu silnika czy baterii. Stworzenie jej od podstaw to koszty liczone w miliardach, dlatego duże koncerny wykorzystują tę samą platformę w kilku modelach i odsprzedają innym firmom. I jeszcze jeden „szczegół": umowa na platformę zazwyczaj jest powiązana z kontraktami na dostawy podzespołów, np. silników.

Od dwóch lat co kilka miesięcy pojawiają się nowe plotki, kto będzie głównym partnerem technologicznym EMP. Mówiło się już o Toyocie, Volkswagenie i Stellantis (właścicielu m.in. Opla, Peugeota, Citroëna i Fiata). Negocjacje kilka razy były już na ostatniej prostej, a nazwę firmy mieliśmy poznać jeszcze w 2021 r. Potem w styczniu, lutym i marcu 2022 r. Teraz Piotr Michniuk z EMP mówi mi: – Platforma to kluczowy komponent, który wpływa na wszystkie aspekty realizacji przedsięwzięcia: techniczne, biznesowe i harmonogramowe. Z uwagi na tajemnicę negocjacji biznesowych do czasu ich zakończenia nie komentujemy publicznie ich przebiegu.

Fabryka w lesie

Wybór platformy to niejedyny problem Izery. Brakuje też miejsca, gdzie można by ją produkować. Harmonogram ogłoszony przez EMP pod koniec 2020 r. był bardzo ambitny: pierwsza łopata pod fabrykę miała zostać wbita w trzecim kwartale 2021 r., a w 2024 z taśmy miały zjechać pierwsze polskie elektryki. Wybrano nawet lokalizację – kawał lasu koło elektrowni Jaworzno III, należący do Lasów Państwowych. Władze robiły, co mogły, by ułatwić zmianę właściciela terenu. 12 sierpnia 2021 r. nieistniejące jeszcze auto dorobiło się nawet własnej specustawy. Lex Izera pozwala, by Lasy Państwowe przekazały spółkom Skarbu Państwa wyznaczone działki na inwestycje związane z obronnością, innowacyjnymi technologiami, elektromobilnością oraz poprawą jakości powietrza. Przepisy ↦

↦ dotyczą 966 ha lasu pod Stalową Wolą, gdzie powstaje Strategiczny Park Inwestycyjny (pierwszy inwestor z Korei będzie tam produkował folię miedzianą) oraz 238 ha w Jaworznie, na których w miejsce lasu ma stanąć fabryka Izery.

Ustawa zakłada, że LP w ciągu dwóch lat od jej uchwalenia mogą oddać inwestorowi las w zamian za dowolny inny teren, „na którym jest możliwe prowadzenie gospodarki leśnej". Prawo nie precyzuje wartości i stanu tych terenów, zakłada za to, że zamiana odbędzie się „bez obowiązku dokonywania dopłat w przypadku różnej wartości zamienianych nieruchomości". W dodatku przekazane tereny Lasy Państwowe będą musiały uprzątnąć i wyciąć na nich drzewa na swój, czyli nasz, koszt. Od tego momentu inwestor będzie miał 10 lat, by zrealizować na zrębie np. inwestycję „służącą poprawie jakości powietrza". Jeśli się nie uda, Skarb Państwa będzie mógł zażądać z powrotem lasu, którego... już nie będzie.

Protesty organizacji ekologicznych niewiele dały, bo ustawa została przyjęta jako projekt poselski – bez konsultacji społecznych. Wszystko po to, by stworzyć markę aut, która w swoim marketingu co i rusz odwołuje się do ekologii. Izera to piękna, górska rzeka, która wyznacza część granicy polsko-czeskiej, a Góry Izerskie, jedno z pasm Sudetów, są jednym z najczystszych zakątków kraju, gdzie znajduje się jeden z dwóch w Polsce Parków Ciemnego Nieba.

Pomimo uchwalonej prawie rok temu specustawy EMP do dzisiaj nie jest właścicielem terenu pod fabrykę. Nadal trwa proces zamiany gruntów między Lasami Państwowymi a władzami Jaworzna. LP niechętnie rozstają się z działkami na niekorzystnych dla siebie warunkach, a EMP utraciło dynamikę i silne wsparcie w rządzie po odwołaniu w październiku 2021 r. ministra klimatu Michała Kurtyki, dla którego lex Izera była kluczową inicjatywą.

Samo ElectroMobility Poland ma co prawda podpisane umowy z dwiema firmami – Prochem ma uzyskać pozwolenie na budowę i stworzyć fabrykę, a Dürr Systems AG dostarczyć i zaprojektować linie produkcyjne – ale jeśli chodzi o losy samej działki w Jaworznie, ma związane ręce. Piotr Michniuk przyznaje: – EMP nie uczestniczy w tym procesie i formalnie nie jest stroną w postępowaniu.

Dobra inwestycja?

Szacunki mówiły, że całkowity koszt stworzenia polskiego elektryka i rozpoczęcia masowej produkcji sięgnie 5 mld zł. Według planów fabryka Izery miała zatrudniać 3 tys. osób, a dodatkowe 12 tys. miejsc pracy miało powstać u poddostawców. Stan na dzisiaj jest dużo skromniejszy: do końca 2021 r. wydała na realizację projektu ponad 69 mln zł. Nie ma platformy, nie ma fabryki, jest za to ponad 5 mln zł rocznie wydawanych na pensje dla 60 pracowników EMP.

Przedstawicieli firmy pytam, czy ogłoszona parę lat temu data rozpoczęcia produkcji w 2024 r. jest jeszcze aktualna? Piotr Michniuk odpowiada: – Obecna sytuacja międzynarodowa wpływa na założenia biznesowe projektu. Niektóre z nich, przede wszystkim w kontekście budowy łańcuchów dostaw, wymagają dodatkowych analiz, które zostały zlecone. Analizujemy i rozważamy różne opcje projektowe, z perspektywy zarówno krótko, jak i długoterminowej. Sytuacja międzynarodowa nie przekreśla zasadności prowadzenia projektu, doprowadziła jednak do konieczności przemodelowania niektórych założeń. O szczegółach harmonogramu projektu będziemy jednak mówić po ogłoszeniu dostawcy platformy oraz pozyskaniu praw do terenu, na którym ma powstać fabryka.

Streścić ten wywód można prosto – same ogólniki i zrzucanie winy na sytuację na świecie. Zupełnie jak w przypadku inflacji, za którą też winny jest – zdaniem naszego rządu – tylko Putin. Tego, kiedy faktycznie izera (która miała być przecież dumą Polski i wprowadzić nas do pierwszej ligi motoryzacyjnej) zjedzie z taśmy produkcyjnej, nikt nie wie. Mimo to rząd nadal uważa projekt za dobrą inwestycję i pompuje weń pieniądze.

Ponad rok temu EMP zwróciło się z wnioskiem do premiera o dodatkowe środki, choć projekt już wtedy mocno kulał. Prezes EMP Piotr Zaremba tłumaczył, że pozyskanie ich ma pozwolić na finalizację rozmów z kluczowymi partnerami, m.in. rozpoczęcie współpracy z dostawcą platformy dla izery. 28 lipca wniosek przyjęto, a miesiąc później Skarb Państwa za 250 mln zł przejął dodatkową pulę akcji EMP (83 proc. ogółu). Pieniądze pochodziły z Funduszu Reprywatyzacyjnego, a firma dostała osiem miesięcy na zainwestowanie ich w dalszy rozwój Izery. Nie jesteśmy jednak w stanie ustalić, jak zostały wydane.

W październiku 2021 r. rząd przyjął rozporządzenie, które oddaje EMP bezpośrednio pod kontrolę premiera Mateusza Morawieckiego. Pytania o obecne uzasadnienie tej inwestycji, monitorowanie zainwestowanych pieniędzy i postępy projektu EMP wysłałem więc do Kancelarii Premiera. W odpowiedzi przeczytałem, że decyzja o wydaniu 250 mln została podjęta na podstawie biznesplanu, a spółka składa cykliczne sprawozdania. Nie ma jednak żadnych szczegółów na temat dalszego losu tych pieniędzy, konkretnych działań EMP, nie mówiąc o terminie rozpoczęcia produkcji czy nawet budowy fabryki.

Wyprzedzić Toyotę

W sierpniu zeszłego roku Piotr Zaremba, prezes EMP, zapewniał, że budowa fabryki ma ruszyć pod koniec 2022 r., a termin rozpoczęcia produkcji jest niezmienny – to rok 2024. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" tłumaczył też, na czym miałby polegać rynkowy sukces Izery: „Główną barierą zakupu elektryka jest wysoka cena, bo producenci wciąż muszą dbać o odpowiednie proporcje ceny aut elektrycznych do spalinowych, żeby tych drugich nie zabić. My nie mamy tego dziedzictwa tradycyjnej technologii. Drugim elementem naszej przewagi kosztowej będzie system sprzedaży bez kosztownej sieci dilerskiej, od samego początku zoptymalizowany pod samochody elektryczne".

Prezes nie dodał, że brak sieci sprzedażowej obniża koszty, ale też bardzo utrudnia wejście nowej, nieznanej nikomu marce na rynek. Zwłaszcza takiej, która w walce o konsumenta nie ma żadnego doświadczenia, bo nigdy nie produkowała aut i nie ma *know-how* zbieranego latami przez konkurencję. Do tego dochodzi konieczność zbudowania sieci serwisowej, z którą problemy w Polsce ma nawet bardzo rozpoznawalna Tesla. Od EMP słyszymy jedynie mało konkretne deklaracje o sieci serwisów „w oparciu o starannie wyselekcjonowanych partnerów" i własne centra naprawcze.

Do tej pory żadna z buńczucznych zapowiedzi naszego rządu nie stała się faktem. Zwłaszcza jeśli się spojrzy na ambitne plany produkcyjne EMP, wedle których wkrótce po otwarciu fabryki miałoby z niej wyjeżdżać 60 tys., a doce-

lowo nawet 100 tys. aut rocznie. Dziś widać, że to mrzonki. Izera musiałaby bez konwencjonalnej sieci dystrybucji stać się eksportowym hitem, by sprostać tym wizjom, gdyż polski rynek jest zwyczajnie za mały. Według danych Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego z 2021 r. w całym kraju zarejestrowaliśmy 446,6 tys. nowych aut osobowych (najsilniejsza na krajowym rynku Toyota sprzedała 74,5 tys. osobówek), a elektryki stanowiły wciąż margines. W sumie w całej Polsce jest ich dziś mniej niż 50 tysięcy (na ogólną liczbę 29 mln samochodów jeżdżących po Polsce), choć prawdą jest też, że sytuacja się dynamicznie zmienia, a do końca maja w Polsce sprzedało się o 45 proc. więcej elektryków niż w analogicznym okresie rok wcześniej.

Wyniki sprzedaży elektryków w całej Europie są jednak zupełnie inne. Co dziesiąte sprzedane w Unii Europejskiej auto jest dzisiaj w pełni elektryczne, dodatkowe 9 proc. to hybrydy. Wiele koncernów już dawno zapowiedziało przestawienie się wyłącznie na modele zasilane prądem w ciągu najbliższych lat (m.in. Ford, Mercedes, Renault, Alfa Romeo, Fiat, Lancia, Lexus, Opel, Peugeot, Volvo, Mini, Rolls-Royce, Hyundai i Kia). Kilka tygodni temu Parlament Europejski opowiedział się za pełnym zakazem sprzedaży nowych aut spalinowych w całej Unii od 2035 r.

Prywatne firmy naszą dumą

Czy fakt, że we flagowym projekcie PiS wszystko idzie jak po grudzie, sprawia, iż cały krajobraz polskiej elektromobilności wygląda ponuro? Na szczęście nie. Dobrze ma się produkcja autobusów elektrycznych i baterii do samochodów. W obu tych segmentach jesteśmy największym eksporterem w UE. W pierwszym liderem jest firma Solaris z Bełchatowa, a elektryczne busy produkują w Polsce jeszcze Volvo i MAN. W drugim dominuje LG Energy Solutions z fabryką w podwrocławskiej gminie Kobierzyce. Akumulatory litowo-jonowe to zresztą od kilku lat najważniejszy produkt eksportowy Polski – w 2021 r. ich wartość wyniosła 6,6 mld euro. To więcej niż przyniosła zagraniczna sprzedaż produkowanych w Polsce samochodów.

Kłopot w tym, że to sukces prywatnych przedsiębiorców, a nie władz. One same nie mają się czym chwalić. Kompletnym fiaskiem zakończył się program

Już dwa lata temu po Polsce miało jeździć 50 tys. aut elektrycznych, ładowanych na 6 tys. stacji.

Pierwszy plan dopiero doganiamy, a ładowarek wciąż jest trzy razy mniej.

„Bezemisyjny Transport Publiczny", w ramach którego Narodowe Centrum Badań i Rozwoju miało opracować i dostarczyć do 2023 r. około tysiąca elektrycznych autobusów dla polskich gmin. Program o planowanym budżecie 2,7 mld zł został zamknięty w kwietniu 2020 r. po (jak stwierdziła Najwyższa Izba Kontroli) błędnych decyzjach i nieefektywnym wydaniu 7 mln zł.

W raporcie NIK z tamtej kontroli widać wyraźnie, jak długa jest lista porażek i niezrealizowanych planów. Według Programu Rozwoju Elektromobilności w 2020 r. miało w Polsce być 50 tys. aut elektrycznych (i słynny milion do 2025). Dzisiaj, półtora roku po terminie, jest ich 48 675. W 2020 r. miało też stać w Polsce 6 tys. klasycznych i 400 szybkich ładowarek. Nawet dziś jest ich tylko 2190, czyli prawie trzy razy mniej (z czego co dziesiąta znajduje się w Warszawie).

Rząd również trochę spuścił z tonu i prezentuje z każdym rokiem mniej buńczuczne wyliczenia. W 2017 r. planował milion aut elektrycznych do 2025 r., ale już dwa lata później obniżył swoje prognozy do 600 tys. w roku 2030. Paradoksalnie, działo się to w czasie, gdy kraje UE przyspieszały swe plany. I nawet jeśli koniec spalinowej ery nie nastąpi w 2035 r., jak chce Parlament Europejski, to jest on przesądzony, także z uwagi na plany uniezależnienia się od rosyjskiej ropy. Jeśli państwo nie zapewni i nie wesprze rozwoju infrastruktury i przestawienia gospodarki na elektromobilność oraz nie doinwestuje transportu publicznego, stracimy bardzo dużo. Na tak dynamicznie rozwijającym się rynku to, co przed chwilą było naszą niesamowitą szansą, bardzo szybko może stać się zmarnowaną okazją. A nazwa Izera może stać się symbolem ogólnonarodowego wstydu, a nie sukcesu.

Nieustanne modelowanie

Oficjalnie nie padło jeszcze ani słowo o możliwości wycofania się z projektu polskiego auta elektrycznego. Co więcej, rząd dosypuje do ElectroMobility Poland kolejne miliony. Tylko że coraz wyraźniej widać, iż Izera przespała swój moment. Termin rozpoczęcia produkcji w 2024 r. wydaje się nierealny, a rynek coraz szybciej się wypełnia, bo wszyscy ważni producenci wypuszczają coraz szerszą gamę modeli elektrycznych.

– Izera to wciąż obietnica świetlanej przyszłości zamiast konkretów. Nie mamy polskich marek z doświadczeniem produkcji na masową skalę, jeszcze trudniej byłoby wypromować markę na rynku, gdzie konkurowałaby ze światowymi gigantami – uważa Hubert Różyk z Fundacji Promocji Pojazdów Elektrycznych. – Tracimy czas, energię i pieniądze na polski samochód elektryczny, tymczasem kluczem do zmiany jest po prostu zwiększenie liczby samochodów elektrycznych na naszych drogach. To, czy będą produkowane w Polsce, ma dla jakości powietrza drugorzędne znaczenie.

Dodatkowym problemem dla EMP są nadwyrężone przez pandemię łańcuchy dostaw i kryzys na rynku półprzewodników, a wojna dołożyła do tego drastyczne podwyżki cen wielu surowców. Na samochody czeka się dzisiaj w salonach po kilka miesięcy. Ciężko sobie wyobrazić, że duży koncern, który ma problemy z dostawami swoich własnych produktów, podpisze teraz korzystną umowę na dostawy dla nieznanej nikomu firmy z Polski.

– Kibicuję temu projektowi, ale sytuacja nie jest wesoła – komentuje Łukasz Bigo z branżowego portalu elektrowoz.pl. – EMP nie ma umowy na platformę, która gwarantuje też dostęp do dużych dostawców silników i ogniw. Bez tego trzeba będzie je kupować na wolnym rynku, gdzie wielu producentów baterii otwarcie mówi, że mają sprzedaż zakontraktowaną na pięć następnych lat. Może skończyć się tak, że auto, nawet jeśli powstanie, będzie albo za drogie, albo stale dofinansowywane przez państwo.

Przedstawiciele ElectroMobility Poland konsekwentnie powtarzają, że projekt Izery jest aktualny, ale trzeba go „przemodelować". Jednak fakty są takie, że wiara w to, iż zobaczymy coś więcej niż piękny model, powoli staje się naiwnym złudzeniem.

©℗ KRZYSZTOF STORY

ANTOINE COUVERCELLE / PANORAMIC / PAP

Iga Świątek na kortach Wimbledonu. Londyn, 29 czerwca 2022 r.

Tenisowe fale

MIROSŁAW ŻUKOWSKI,
ZNAWCA TENISA:

Czy Polacy rzucą się do rakiet, bo Iga Świątek zdobywa kolejne tytuły? Zobaczymy. Popularność tenisa rośnie, ale ważne jest, by takie sukcesy wpływały na warunki rozwoju uzdolnionej młodzieży.

EWELINA BURDA: Tenis to sport dla elit i bogatych – dalej tak myślimy?

MIROSŁAW ŻUKOWSKI, DZIENNIKARZ SPORTOWY, ZNAWCA TENISA: Moim zdaniem coraz mniej. Grupa ludzi, którzy mecze tenisowe oglądają i w tenisa grają, zmienia się i rozszerza. Jednak przekonanie, że tenis jest sportem elitarnym, ma głębokie korzenie.

Skąd się wzięło?

Między innymi z tego, że nie jest to sport tani i prosty. Nie jest jak piłka, którą się rzuci chłopcom i oni będą grali gdziekolwiek: na chodniku, na łące. Tu trzeba zaangażować pewne środki, potrzeba więcej sprzętu. Ale ważne jest, by wyraźnie oddzielić tenis profesjonalny od rekreacyjnego. Bo ten drugi, szczególnie latem, nie jest już dziś u nas sportem wybitnie drogim. Problem elitarności pojawia się w momencie, kiedy okazuje się, że młody człowiek ma talent i może grać zawodniczo, robić karierę. Wtedy faktycznie zaczynają się finansowe schody: trenerzy, wynajem kortów, wyjazdy, to wszystko kosztuje. Obsługa młodego utalentowanego zawodnika pochłania duże pieniądze.

To jak w Polsce zrobić tenisową karierę?

U nas ciągle kariera młodego tenisisty, a zwłaszcza jej początek, zależy od zaangażowania rodziców: ich pracy, pieniędzy i ryzyka, które podejmą. To – na starcie – ich wybór. Taka inwestycja często determinuje codzienny byt rodziny. Wsparcie systemowe Polskiego Związku Tenisowego nie jest wystarczające, na szczęście coraz aktywniejsi są prywatni sponsorzy. Kolejni prezesi PZT obiecywali, że to się zmieni, ale związek ten był przez lata chorym elementem polskiego sportu, to trzeba wyraźnie powiedzieć. Działacze ciągnęli każdy w swoją stronę, gdy pojawiały się państwowe pieniądze, to największym zmartwieniem było to, kto zbuduje tę nową halę i kto w niej położy nawierzchnię, a nie to, gdzie fundusze będą ulokowane i czy będzie to miało sens.

Teraz mieliśmy kolejne poruszenie, gdy w Wimbledonie pięć Polek awansowało do drugiej rundy rozgrywek: Maja Chwalińska, Magdalena Fręch, Katarzyna Kawa, Magda Linette i Iga Świątek.

To zawsze się w ten sposób nakręcało, więc Iga Świątek to kolejna postać, za której sukcesami idzie fala popularności tenisa. Ale czy Polacy rzucą się teraz do rakiet, bo Polka zdobywa kolejne tytuły? Zobaczymy, tego nie jestem pewny.

A kiedy była ta pierwsza tenisowa fala w Polsce?

To były sukcesy Wojciecha Fibaka. Sam jestem z pokolenia, które zachwyciło się wtedy tenisem. Ale ze sportowego punktu widzenia uchodził on wówczas za zabawę drugorzędną, nie było tenisa na igrzyskach olimpijskich. Władze niespecjalnie go wspierały, bo wciąż ciągnął się za nim ten ogon sportu arystokratycznego. Warunki do uprawiania tenisa w Polsce socjalistycznej były siermiężne.

Tenis amatorski, jaki on wtedy był?

Pamiętam, jak z kolegami w małym miasteczku na Lubelszczyźnie budowaliśmy kort samodzielnie, wbijaliśmy

słupki w ziemię. Szukaliśmy też kawałka asfaltu, czasem gdzieś przy szkole się znalazł. Wielu z mojego pokolenia, z tej Polski powiatowej, tak zaczynało, bo chcieliśmy zagrać w tę samą grę, co Wojciech Fibak. Ale zimą nie można było grać amatorsko wcale, bo nie było gdzie tego robić. W Warszawie miejscem, w którym dało się zagrać pod dachem, był przez długi czas tunel Stadionu Dziesięciolecia.

A latem?

Było o wiele lepiej z miejscem, ale wciąż nie było sprzętu, nie było rakiet. Kiedy zaczynałem grać, to właśnie na fali Fibakowego boomu zaczęto produkować polskie metalowe rakiety Polonez, a fabryka Stomil wytwarzała piłki. Nazywaliśmy je „misiami", bo po godzinie gry robiły się całe puchate. Jeden z moich kolegów wpadł kiedyś na pomysł, że będzie taką piłkę strzygł maszynką fryzjerską. Najbardziej snobistycznym dźwiękiem, jaki można było wtedy usłyszeć na kortach, był odgłos otwieranej ciśnieniowej zachodniej puszki z kompletem piłek. Wtedy przez korty przechodził pomruk uznania.

Coś się jeszcze zmieniało na tej fali Fibaka?

Boom tenisowy był niewątpliwy, nawet nieszczególnie wtedy tłumiony przez władzę, bo to był czas małych fiatów i propagandy sukcesu. Zaczęto budować nowe korty, pojawiły się transmisje telewizyjne. Faktycznie niezwykle istotna była w tym wszystkim osobowość Wojciecha Fibaka, który mimo tego, że wyszedł z siermiężnego socjalizmu, to szybko stał się obywatelem świata, kimś więcej niż tenisistą. To imponowało, może nawet bardziej niż jego wyniki. Za Gierka, w latach 70., powstała pierwsza hala tenisowa w Warszawie – Mera, gdzie można było prawdziwie grać zimą. Ale nie ma co udawać: kiedy ten boom minął, kiedy skończyła się dekada lat 70., wiele z tych kortów ziemnych, które wówczas wybudowano, zarosło krzakami.

Czy do tenisa przyciągnął Pana właśnie Wojciech Fibak?

Przyciągnęły mnie trzy rzeczy. Po pierwsze, fantastyczna zabawa, kiedy już nauczysz się grać i masz kontrolę nad piłką. Po drugie, Fibak, który zawsze będzie najważniejszym sportowcem w moim życiu, bo chociaż nie zdobył żadnego medalu olimpijskiego, nie wygrał Wielkiego Szlema, to głównie z jego powodu przyjeżdżałem na mecze Pucharu Davisa, które były zresztą jedyną okazją, żeby zobaczyć czołowych tenisistów świata. A po trzecie: Bohdan Tomaszewski i jego pisanie o tenisie, literatura sportowa. Czytając jego książki, od razu poczułem, że to sport wyjątkowy. Może nie dla wszystkich, ale dla mnie na pewno. Bohdan Tomaszewski zresztą przeniósł w czasy PRL wiedzę o całym przedwojennym polskim sporcie, nazwiska wielkich polskich tenisistów sprzed wojny stały się nam bliskie dzięki jego pisaniu.

A grać, jak się Pan nauczył?

Niestety, nie miałem trenera, zawsze uczyłem się sam, popełniając masę błędów, dlatego do dziś gram bardzo przeciętnie. Kiedy przyjechałem do Warszawy, poznałem kolegów dziennikarzy, którzy byli szkoleni w klubach tenisowych. Jeden z nich, Andrzej Karczewski, nauczył mnie grać. Wszystko, co umiem dzisiaj, zawdzięczam jemu.

Kolejna tenisowa fala w Polsce, za kim przyszła?

Druga wznosząca fala była tuż po upadku komunizmu, kiedy pojawili się dobrzy tenisiści, tacy jak Wojciech Kowalski czy Katarzyna Nowak. Wraz z otwarciem na Zachód pojawiła się tamtejsza technologia, zimowe balony nad kortami ziemnymi, wybudowano więcej hal, profesjonalne piłki i rakiety stały się łatwiej dostępne. Wtedy przyszły sukcesy Magdaleny Grzybowskiej i Aleksandry Olszy, które wygrywały wielkoszlemowe turnieje juniorskie. Później kariera Magdy nie rozwinęła się tak, jak się zapowiadała, ale w latach 90. krakowianka była trzydziestą tenisistką na świecie.

A potem?

Potem było szaro i byle jak. Pamiętam turnieje wielkoszlemowe, na których nie tylko nie było osiągnięć, ale praktycznie w ogóle nie było Polaków, bo byli za słabi. Do momentu pojawienia się Agnieszki Radwańskiej.

Kolejna fala tenisowego zainteresowania przyszła z jej sukcesami?

To już czasy, kiedy był tak powszechny dostęp do wszystkiego, że o żadnej ↦

Bohdan Tomaszewski i Wojciech Fibak w czasie zawodów Pucharu Davisa. Korty Legii w Warszawie, 1975 r.

TADEUSZ KOWALSKI / EAST NEWS

↦ fascynacji tenisem w stylu lizania cukierka przez papierek nie mogło być mowy. Powszechnie śledziło się rozgrywki, a kto bardzo chciał, mógł grać. Zmieniła się wtedy jeszcze jedna rzecz i to również wpłynęło na postrzeganie tenisa w Polsce: pojawiły się u nas znakomite turnieje i mogliśmy zobaczyć na żywo najlepszych tenisistów świata.

Jakie to były turnieje?

W Warszawie w turnieju J&S Cup w pierwszej dekadzie XXI wieku grały wszystkie najlepsze tenisistki, nie licząc Sereny Williams. W Sopocie był turniej Prokomu, organizowany przez Ryszarda Krauzego, gdzie pierwszy raz w życiu wygrywał Rafael Nadal. Coraz mniej musieliśmy nadrabiać, stawaliśmy się częścią tego samego tenisowego świata, co reszta. Tym, co nas różniło, i wciąż jeszcze różni, jest to, że są kraje, które zdecydowanie lepiej szkolą młodych tenisistów i wyłapują talenty.

Czym charakteryzowało się tenisowe pokolenie Radwańskiej?

Wtedy pojawił się pierwszy poważny program stypendiów, z którego wyszło całe pokolenie tenisistów. Był to program Prokomu, który pomógł przede wszystkim siostrom Radwańskim, Mariuszowi Fyrstenbergowi, Marcinowi Matkowskiemu i Łukaszowi Kubotowi. To było pierwsze pokolenie, które mogło wyjeżdżać na Zachód i nie myśleć, ile kosztuje naciąg do rakiety, nie mieszkać kątem na poddaszu, nie gotować makaronu na przenośnej kuchence, tylko normalnie żyć i grać.

A kolejne pokolenia?

WALDEMAR KOMPAŁA / FOTORZEPA

MIROSŁAW ŻUKOWSKI jest dziennikarzem, znawcą tenisa. Szef działu sportowego „Rzeczpospolitej", laureat Nagrody im. Bohdana Tomaszewskiego.

Tamci mieli już lepiej, ale dopiero Iga Świątek dzięki sponsorom już od juniorskich lat miała duży komfort, jak żadna polska nastolatka przed nią.

Teraz mamy wielkie nadzieje na kolejne sukcesy na Wimbledonie.

Z Wimbledonu mamy też piękne wspomnienia. Pamiętam ten polski Wimbledon w 2013 r., kiedy Jerzy Janowicz z Łukaszem Kubotem grali w ćwierćfinale, Agnieszka Radwańska była w półfinale. Mówiło się wtedy dużo: polski Wimbledon, polski boom tenisowy. Ale te sukcesy w kwestiach organizacyjnych nie popchnęły polskiego tenisa do przodu. Po zachwycie nie przyszły działania. Nadal nie ma ośrodka tenisowego, w którym mogliby się szkolić młodzi ludzie, nie ma Narodowego Centrum Tenisa, o którym wszyscy mówią. Podobno coś takiego rodzi się w Kozerkach pod Warszawą, ale co z tego będzie, zobaczymy.

Popularność rozumiana tak powszechnie, mierzona oglądalnością, stale rośnie, ale ważne, żeby wreszcie takie sukcesy wpływały na realnie lepsze warunki rozwoju uzdolnionej młodzieży. Żeby to powodowało puszczenie w ruch takiej machiny, jak w Czechach, na Słowacji, w Hiszpanii czy we Francji, która będzie dostarczać bardzo dobrych tenisistów z pokolenia na pokolenie, a ich kariery nie będą oparte na rodzicach.

Stawka, o którą się dziś gra, jest coraz większa?

Sukces w tenisie, zwycięstwo w turnieju Wielkiego Szlema, to są pieniądze, prestiż i sława, o których w wielu dyscyplinach można tylko pomarzyć, nawet będąc najlepszym. Nigdy nie wierzę tenisistom, którzy mówią, że nie grają dla pieniędzy. Nie ma co udawać: one są ważne, o nie się gra. I jest ich coraz więcej, na korcie i obok niego. Cała tenisowa industria generuje wielkie zyski.

Iga Świątek już jako juniorka mówiła szczerze, że tenis to wybór, który pozwoli zarobić dużo pieniędzy, zmieniających jakość życia jej i jej rodziny. Gra się wyłącznie dla prestiżu i przyjemności, ale chyba wtedy, jak już się zarobi pierwsze miliony. Podczas turnieju w Szczecinie rozmawiałem kiedyś z wybitnym czeskim tenisistą. Zapytałem go, ile zostaje z pierwszego zarobionego miliona dolarów. On mi wtedy odpowiedział: a chcesz, żeby to był pierwszy i ostatni milion czy masz nadzieję na następne? Bo jeśli mają być kolejne, to musisz oddać połowę: na trenerów, wyjazdy. Na inwestycję w siebie.

Napisał Pan kiedyś, że zawodowy tenis to „splendor i ciężar".

Żeby odnieść sukces w sporcie i go znieść, trzeba mieć coraz grubszą skórę. A tenis dziś jest zjawiskiem z pogranicza popkultury, tenisowa sława czołowych graczy porównywalna jest ze sławą gwiazdorów rocka czy Hollywood.

Ten blichtr jest jednym z magnesów, który przyciąga do zawodowego tenisa, a nas przyciąga na mecze czy przed ekrany. Ale też chwyta nas za serce, jeśli w tym blichtrze widzimy ciężką pracę oraz szczerość, gdy dwudziestojednoletnia dziewczyna mówi na temat sportu i jego zależności z polityką czy wojną dużo więcej i mądrzej niż sporo starsi i bardziej doświadczeni wybitni sportowcy.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

POŻEGNANIE

Drogim Panom
Andrzejowi i Fryderykowi Zollom
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Żony i Mamy
SKŁADAJĄ POZOSTAJĄCY W MODLITWIE
PRZYJACIÓŁKI I PRZYJACIELE
Z KONGRESU KATOLICZEK I KATOLIKÓW

JACEK TARAN

Małgorzata i Dariusz Wdowikowie w swoim gabinecie w przychodni. Dariusz Wdowik był podpięty pod ECMO przez 68 dni. Klucze, 30 czerwca 2022 r.

Oddech spoza ciała

BARTEK DOBROCH

Gdyby nie ECMO, już by ich nie było. Jedni czuli, jak ich płuca się gotują, inni myśleli, że toną. Powracali do życia po dziesiątkach dni nieustannego przetaczania krwi, z niesamowitymi snami w pamięci.

Pokażę, jak to wyglądało. Jak w NASA – Małgorzata Wdowik otwiera folder ze zdjęciami w telefonie. Leżącą postać przysłaniają urządzenia, monitory, oplatają toczące krew kaniule (rodzaj wenflonu). – Tu jest ECMO, tam sztuczna nerka, respirator, pompy infuzyjne.

– I gdzie znaleźć na tym zdjęciu człowieka? – rzuca wchodząc do gabinetu Dariusz Wdowik. To właśnie człowiek z fotografii. Z zawodu, podobnie jak żona, lekarz. Ona – pediatra, on – ginekolog. Urodzony 17 grudnia – co podkreśla – w św. Łazarza. Z martwych co prawda nie powstał, ale jest jednym z tych, którzy stoczyli najdłuższą walkę z covidem.

Podobnie jak Bogusław Dołęga i Monika Romano.

– Powiedzieli mi, że idę spać na trzy dni. Obudziłam się po czterdziestu pięciu – wspomina Monika.

Funkcję płuc całej trójki przejęło urządzenie będące rodzajem protezy, którego nazwę wypromowała pandemia. ECMO – od Extra Corporeal Membrane Oxygenation – czyli membranowe natlenianie pozaustrojowe. Poprzez prawie dwumetrowej długości kaniule wypompowuje ono na zewnątrz kilka litrów krwi na minutę, by po natlenieniu z powrotem pompować ją do organizmu. Dając tym samym płucom czas na regenerację. A pacjentom szansę na przeżycie.

Przypadek wyznaniem wiary

Zaczynało się jak w tysiącach historii. Wdowikowie zakazili się w pracy, w ośrodku zdrowia w Kluczach koło Olkusza. Na początku to ona miała silniejsze objawy. On podczas izolacji wychodził nawet na spacer do ogrodu, odpoczywał w hamaku, grzał się w jesiennym słońcu. 11 listopada rano układali jeszcze puzzle, by zapełnić wolny czas – rzadki stan wśród lekarzy w pierwszym roku pandemii. Zakłócił go pulsoksymetr. Trzykrotnie wskazał u Dariusza saturację poniżej 90 proc. „Szybko do szpitala" – zdecydowała żona po rozmowie z jego bratową, zakaźniczką.

Bogusław Dołęga podejrzewa, że z wirusem zetknął się na uczelni, Politechnice Rzeszowskiej, gdzie zajmuje się lotniczymi systemami sterowania i nawigacji. On również nie czuł się źle, gdy pulsoksymetr zaczął wysyłać niepokojące sygnały. Początkowo kończyło się na wizytach pogotowia, ale gdy podczas ciężkiej nocy ulgi nie przyniósł nawet koncentrator tlenu, Dołęga trafił na oddział covidowy.

Monika Romano była w tym czasie w dziewiątym miesiącu ciąży. O szczepieniach dla ciężarnych nie było jeszcze mowy. Test zrobiła z powodu bólu gardła i temperatury 39,5 st., jakiej nigdy nie miewała i której nie umiała w żaden sposób obniżyć. Wynik był pozytywny. Cztery dni później karetka zawiozła ją do szpitala, a lekarze zdecydowali o cesarskim cięciu.

Aleks przyszedł na świat całkiem zdrowy, a ona była w euforii i nie rozumiała, czemu lekarze wokół niej kręcą się nerwowo. A przecież już w pędzącej karetce miała problemy z oddychaniem i mówieniem.

↦

↦ Dariusz Wdowik lubi powtarzać, że „przypadek to wyznanie wiary ateisty". On zaś wierzy, że to Opatrzność sprawiła, iż trafił pod opiekę szwagra. Na krakowskiej pulmonologii i intensywnej terapii nie było już wolnego miejsca, więc zawieźli go do Katowic. Konkretnie do doktora Wojciecha Kruczaka, który po powrocie z zagranicznego kontraktu miał zacząć pracę w słynnej klinice kardiochirurgicznej u prof. Mariana Zembali. Dwa dni przed jej podjęciem jego żona dostała drgawek. Diagnoza: nieoperacyjny guz mózgu. Musiał zawiesić kontrakt w Zabrzu, a po jej śmierci nie miał ochoty pracować w ogóle. W końcu dał się przekonać do powrotu do katowickiego oddziału kliniki, w którym pracował wcześniej.

– Lekarze mają skłonności do zaprzeczania objawom nawet w ciężkich chorobach – wspomina pobyt szwagra w szpitalu Kruczak. – Przez prawie dziesięć dni Darek Wdowik walczył w oddziale pulmonologii wspomagany terapiami małoinwazyjnymi i twierdził, że wszystko jest w porządku. Zwykle potem stan tych pacjentów gwałtownie się załamuje.

– Powietrza jest coraz mniej. Tak jakby człowiek się topił – dodaje Wdowik. – Bo w gwałtownie przebiegającym stanie zapalnym z wysiękiem płuca zalewają się wydzieliną. W USG wyglądały jak wątroba.

Bogusław Dołęga, sięgając do wspomnień sprzed roku, mówi, że miał wrażenie, iż jego płuca się gotują. – Jakby bulgotał tam wrzący wywar. A pod przymkniętym pokrywką garnkiem buzowały pęcherzyki gazu i para.

Dzień później miał mieć wykład. Zdążył wysłać tylko informację: „Odwołuję wszystkie zajęcia". I odczytać w SMS-ach od żony i córki to samo zdanie z Ewangelii: „Nie bój się, wierz tylko".

„Zawsze Cię..." – odpisując żonie zdołał już tylko dodać emotkę z sercem.

– Podpisując zgodę na podpięcie do respiratora byłem w pełni świadomy, że może to być mój ostatni podpis – przyznaje Dołęga. – Moja rola w tym momencie się skończyła.

Naukowiec związany z katolickim Ruchem Focolari wierzy za to w rolę, którą odegrali bliscy i ich modlitwy. Wobec braku wolnego urządzenia na Podkarpaciu, ich wołanie o pomoc dotarło do Lublina, do prof. Mirosława Czuczwara.

Kierownik II Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie wierzy jednak w medyczne osiągnięcia i procedury. To one uratowały Dołęgę: – Zastosowanie ECMO powinno być ograniczone tylko do takich przypadków, gdy mamy dla pacjenta coś w zanadrzu. Wierzymy, że narządy pacjenta się zregenerują, jak się im da czas, albo jesteśmy w stanie narząd przeszczepić.

Tak było w przypadku Dołęgi. Dostał szansę na przeżycie, choć nie reagował już na próby wentylacji mechanicznej respiratorem. Ale gdyby miał uszkodzony ośrodkowy układ nerwowy lub zaawansowany nowotwór, nikt by nie zaryzykował.

– ECMO to wyprawa na Mount Everest – opisywał działanie urządzenia zmarły w marcu kardiochirurg, prof. Marian Zembala. Na dodatek wyprawa kosztująca dziesiątki tysięcy złotych.

– Parametry wentylacji płuc pacjenta, którego podłączamy do ECMO, są mniej więcej takie, jak u człowieka bez tlenu na Evereście, w strefie śmierci, gdzie tylko kwestią czasu jest, że się umrze – precyzuje doktor Kruczak. – Cała terapia polega na tym, żeby pacjenta sprowadzić powoli z tych ponad ośmiu tysięcy metrów do bazy.

Terapia metodą inwazji

W czasie pandemii ECMO ze specjalistycznej i niszowej procedury medycznej awansowało do tematu głównych serwisów informacyjnych.

– Zaczęło dominować przeświadczenie, że to cudowna terapia, która każdemu daje szanse na przeżycie, nawet w beznadziejnych przypadkach – ubolewa prof. Czuczwar.

Presja powodowała, że wiele ośrodków, choć czas kryzysu nie sprzyja innowacjom, postanowiło się doposażyć, ucząc się ECMO w warunkach bojowych. Tymczasem jest to metoda trudna, obciążająca i niebezpieczna.

– Nie ma w intensywnej terapii bardziej inwazyjnej metody – mówi Kruczak. Na dodatek trudno zapewnić pacjentowi komfort, np. zapobiec odleżynom, bo ciężko jest obracać chorego, gdy przypadkowe wyciągnięcie kaniuli może skutkować śmiercią w ciągu kilku sekund.

ECMO nie jest metodą nową, ale stale udoskonalaną. W Polsce pojawiło się wpierw w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu, bo urządzenie potrafi zastąpić czasowo pracę nie tylko płuc, ale i serca. Jednak przełomem była pandemia grypy A/H1N1. Prof. Zembala, obserwując australijskie i kanadyjskie doświadczenia walki z wirusem, zwrócił się do ówczesnej minister zdrowia, Ewy Kopacz.

– Powiedziałem, że jeżeli do Polski zbliży się pandemia tej grypy, to jedyną szansą, by uratować wielu ludzi, jest dostępność ECMO – opowiadał trzy lata temu. – Dostaliśmy pieniądze na zakup aparatury ECMO dla dziesięciu ośrodków. Rozpoczęliśmy też w Zabrzu szkolenie zespołów z całej Polski.

Gdy tamta pandemia się skończyła, Polskę rozpaliła historia dwuletniego Adasia, który wymknął się z domu w listopadową noc i został odnaleziony nad rzeczką w stanie skrajnego wychłodzenia. W społecznej świadomości ECMO zaistniało jako metoda leczenia hipotermii.

Jesienią 2019 r. w kopalni Guido w Zabrzu spotkali się stosujący ECMO lekarze i uratowani pacjenci. Np. odkopana spod lawiny Kasia, którą z pomocą ECMO po najdłuższej w historii, trwającej 6 godzin i 45 minut resuscytacji, wyprowadzono z głębokiej hipotermii i przywrócono do pełnej sprawności. Grupę „ecmoludków", jak się sami nazwali, zebrał Piotr Golicz, 60-latek, pacjent śląskiej kardiochirurgii, który spędził miesiąc pod ECMO. Wcześniej był zapalonym biegaczem, w osiem lat ukończył 29 maratonów. W Wielkanoc przed czterema laty zauważył, że ćwicząc bardzo się męczy. W szpitalu stwierdzono mocny spadek saturacji. Na szczęście laboratorium badania sprzętu oddechowego, gdzie pracuje, dostarczyło mu nowatorską maskę z workiem tlenowym. Przewieziono go w niej na OIOM do drugiego szpitala w Rudzie Śląskiej. „Pana płuca nie pracują" – usłyszał od lekarza. Dwa miesiące później obudził się w jeszcze innym szpitalu. Gdy był już w stanie uśpienia, żona znalazła w jego telefonie numer do znajomej pielęgniarki, która pracowała w szpitalu w Zabrzu u Zembali. Zdjęcia płuc nie dawały zbyt wiele nadziei, groził mu przeszczep.

– Do dzisiaj nie wiadomo, co to było. Gdy zaczął się covid, pisałem do pani doktor, że może ja już go przeszedłem, bo objawy były podobne – mówi Golicz. – Zostało to opisane jako ARDS, czyli zespół ostrej niewydolności oddechowej.

Po przebudzeniu ważył 38 kg. Uczył się chodzić, siadać. Do dziś jest „niewolni-

kiem rehabilitacji". Powrót do sprawności po długiej terapii ECMO może trwać całe miesiące. Golicz jednak nie narzeka. Pływa, biega, choć jeszcze nie w maratonach. Żyje.

Dla zmysłów niepojęte

Z czasu, który spędzili pod ECMO, pamiętają tylko niektóre sny. Dariuszowi Wdowikowi, choć nie miał świadomości, że jego natleniona mechanicznie krew płynie z powrotem do organizmu przez kaniule, śnią się siostrzeńcy pilnujący go przed ich wyrwaniem. Choć w rzeczywistości mają po trzydzieści parę lat, we śnie wyglądają jak krasnoludki. Siadają mu to na jednej, to na drugiej ręce. „Nie ruszaj!" – strofują.

– W niemal każdym śnie umierałam z braku tlenu. Albo nie mogłam złapać oddechu, albo się topiłam – odtwarza wizje z okresu sedacji Monika Romano. Było z nią wtedy źle.

„Dajcie jej jeszcze trochę czasu" – mówi jednak prowadzącym Monikę kolegom Wojciech Kruczak, choć wie, że jej stan – tak często bywa – bardzo pogorszył się tuż po podłączeniu do ECMO. I że zgłoszono ją już do Zabrza na przeszczep płuc. Ma jednak doświadczenie walki, którą stoczył o życie szwagra. 122 dni intensywnej terapii i 68 dni (średnio jest to ok. 20) samego ECMO.

– Traciłem wielokrotnie nadzieję, pożegnałem się z Darkiem sześć razy. Prosiłem kolegów, żeby zadzwonili, jak umrze w nocy. Przyjadę, ogarnę całość, usunę wszystkie kaniule... – opowiada. – Nie potrafię w pełni medycznie wyjaśnić jego przypadku. Ze zdjęć wynikało, że nie ma już płuc. Że wszystko jest zjedzone przez bakterie. Były dni, że w ciągu kilku godzin potrafiłem odciągnąć z nich litr, dwa litry ropy.

Uszkodzone covidem płuca łatwo opanowują infekcje bakteryjne. Dochodzi do zakażeń wtórnych, choruje cały człowiek.

– W grypie ECMO podłączaliśmy średnio na 4-5 dni i to wystarczało. Dochodziło do regeneracji płuc. W covidzie terapie były kilka razy dłuższe. Pacjenci nie zdrowieli, a z każdym dniem rosła liczba powikłań, które są często śmiertelne – tłumaczy prof. Czuczwar. – Oto dlaczego w grypie przeżywalność na ECMO wynosiła 80 proc., a w covidzie mieliśmy 80-procentową śmiertelność.

– Chciałbym wierzyć w te 20 proc. uratowanych. ECMO w covidzie jest do niczego nieporównywalne – stwierdza doktor Kruczak. – Leczyłem pacjentów na ECMO, którzy mieli po 30 lat, byli na przykład wysportowanymi policjantami, i nie potrafiłem im pomóc. Choć racjonalnie, według naszej wiedzy, ich parametry były dużo lepsze niż Darka.

BARTEK DOBROCH

Profesor Bogusław Dołęga. Rzeszów, 6 kwietnia 2022 r.

Jeden przypadek Kruczak zapamięta na zawsze. Trzydziestokilkulatek w ciężkim covidzie. Żadnych innych chorób. Trafił na ECMO do Ochojca. Kruczak rozmawiał z jego żoną cierpiącą na nowotwór z przerzutami. „Myśmy się z mężem przygotowywali, że to ja odchodzę, nie on" – powiedziała. Mieli dwójkę malutkich dzieci. Ich tata nie przeżył.

Innym razem zadzwonili z położniczego, żeby przyjąć młodą pacjentkę. Nie było urządzenia, wszystkie pięć zajętych. Ale jeden z nierokujących pacjentów zmarł.

– Nie można tak mówić, ale na swój sposób ulżyło mi, że zwolniło się dla niej miejsce – wspomina Kruczak. – Oddzwoniłem do oddziału położniczego i okazało się, że oni w tym momencie skończyli reanimację, która skończyła się zgonem tej pacjentki.

Ten przykład pokazuje, że pandemia oznaczała też dylematy etyczne. Kruczak przywołuje rozmowę z koleżanką, specjalistką od zakażeń, do której zadzwonił, by skonsultować dobór antybiotyku dla szwagra przeciw powracającej ciągle bakterii. „Ja na twoim miejscu bym go wypięła, to jest nieetyczne, co robisz. To uporczywa terapia" – usłyszał. Zwątpienie i podobne opinie pojawiły się także w jego zespole. W pewnym momencie trzeba było zdecydowanie zaostrzyć kryteria kwalifikacji, by nie blokować miejsc, trzymając pod ECMO nierokujących pacjentów.

I dlatego Bogusław Dołęga zastanawia się, czy dziś zostałby w ogóle podpięty. On sam pod ECMO spędził zaledwie 3 dni. Po przebudzeniu czuł jedynie lęk, że jeśli znów zaśnie, wróci tam, skąd nie ma już powrotu.

Monika Romano pod ECMO przespała swoje 30. urodziny. Lekarze zarzucili pomysł przeszczepu, gdy jej płuca zaczęły się regenerować. Zamiast tego przeszła uciążliwą rehabilitację. Rok później tylko blizny po wkłuciach na szyi zdradzają, co ją spotkało.

Dariusz Wdowik ważył po wybudzeniu 27 kg mniej i miał martwicze palce u stóp. Rehabilitowali go synowie, fizjoterapeuci. Na początku była to wręcz nauka chodzenia, bo poruszał się jak na szczudłach. Dziś o jego przeżyciach świadczy jedynie nieco sztywny chód oraz głębszy oddech, który musi czasem nabrać we własne, zregenerowane płuca.

– Moja mama zawsze powtarzała słowa pieśni: „Co dla zmysłów niepojęte, niech dopełni wiara w nas". Dlaczego tak się stało, że przeżyłem? Nie wiem. Ale bardzo się cieszę.

© BARTEK DOBROCH

DOROTA

Masłowska:
Sztuka gotowania

Nudle, nudle, wie pan, co to nudle? – powtarza natrętnie kobieta, zgodnie z nierzadkim przeświadczeniem, że jeśli mówić po polsku dość głośno i wyraźnie, to nawet Wietnamczyk w końcu zrozumie. Mężczyzna tylko z czystej uprzejmości udaje, że czegoś pod jej dyktando szuka, w rzeczywistości próbując zgubić ją w alejkach swojego sklepu. To trudne, bo są tylko dwie. W tej temperaturze wszystko staje się nieznośne. Klimatyzacja słaba jak oddech astmatyka, bez przekonania tłoczy w stojące powietrze wiotkie nitki chłodu. Zaraz przepadają. W skrzynkach kostki tofu gotują się *sous-vide*, więdną kolendry, nadymają się pudełka z kimchi. Targowisko na Bakalarskiej, azjatycka eksklawa, cześnie w upale tak samo, jak reszta Warszawy, ale jakby bardziej z nim pogodzone. Umiejętniej, z większym doświadczeniem.

My trochę w histerii, trochę w wyparciu. Zgadzaliśmy się na kryzys klimatyczny pod warunkiem, że będzie wydarzać się stopniowo, narastać w jakimś rozsądnym, zrozumiałym, kontrolowanym przez instytucje unijne tempie. Że będzie czas podyskutować, pozaprzeczać, poszerować teorie spiskowe, wysłuchać wszystkich stron i stwierdzić, że prawda leży pewnie gdzieś pośrodku, a w międzyczasie zainstalować klimatyzację i w jej kojącym, dyskretnym chłodzie sprytnie zestarzeć się i umrzeć, tak by już jego realnego przebiegu doświadczyły nasze dzieci czy tam wnuki. Myśleliśmy, że jakoś przebidujemy do końca inkarnacji, nieprzyjemności zaś dotkną co najwyżej innych ludzi z tych jakichśtam trzecich światów, którzy i tak żyją w piekle, więc wysoka temperatura to dla nich żadna nowina. Tymczasem to wszystko dzieje się tak szybko, nagle, w dodatku NAM. Nie zdążyliśmy nawet się pożegnać z tamtym poprzednim światem, a już go nie ma. Z dnia na dzień trzeba było przejść na czas katastroficzny, czas niezrównoważony, arytmiczny, szalony. W którym, jak w filmie, jedne rzeczy dzieją się w przyspieszeniu tak dużym, że trudno zrozumieć słowa, inne zaś ślamazarzą się w *slow motion*.

Katastrofa konkretyzuje się błyskawicznie, dużo szybciej, niż to do nas dociera. W *slow motion* przydarza się zaś jej konkret: dyskomfort naszych ciał w drastycznych upałach rozciąga każdą chwilę jak gumę. DNA nie nadąża; urodzeni w klimacie umiarkowanym, nagle budzimy się we włączonym piekarniku z popsutymi pokrętłami. Parna, niedająca wytchnienia noc przechodzi w gorący poranek, który przechodzi w dzień jak pożar, niemy, ślepy, bez płomieni. Fizyczne doznanie gotującego się na wolnym ogniu własnego ciała jest dojmującym, intymnym spotkaniem z katastrofą każdego z nas. Łaskoczące strużki potu, niechcące oddychać płuca, zamierające serce: konkret tej osobistej, cielesnej udręki umieszcza nas tam, gdzie zapomnieliśmy, że jesteśmy – w porządku biologicznym. W którym cyfra, kilka stopni Celsjusza, okazuje się paraliżująca, groźna, zabójcza.

Tacy zawsze ponad wszystkim, mądrzy, przygotowani przez kapitalizm na każdą okazję, z szafami pełnymi maszynek do lodów tajskich, miniodkurzaczy, wag cyfrowych i aparatów do mikrodermabrazji. Teraz nagle bezradni, cieleśni, na pastwie czynników zewnętrznych. Warszawa też nie nadąża. Asfalt lśni jak czarne masło. Powietrze szkli się nad rozżarzonym betonem, metal parzy. Zagrożone jest każde życie, duże i małe. Drzewo, pokrzywa, pies, staruszka, dziecko w aucie. Miasto staje się nagle areną męczących się ciał. Człapią, dyszą, zieją, ćpają cień, zwisają z ławek; stare i młode, wytatuowane albo w poplątanych siatkach niebieskich żył; fabrycznie nowe albo ze śladami użytkowania, wytrawione przez czas, harmonijki, zgąbczenia, nawisy, stalagmity i stalaktyty, pieprzyki, myszki, sutki. Uderza mnie ich delikatność, bezbronność, zniszczalność. Przypadkowe, bawełniane ubrania z głupimi napisami, odbierające im zwyczajową powagę – dotychczasowe garderoby ciągle nie przewidują takich okoliczności, uruchamiają jakieś niedorzeczne, kryzysowe rezerwy.

Na Bakalarskiej pod blaszanymi zadaszeniami sauna. Prawie dotykalny smród śmieci, gumy i chińskich ciuchów. Sprzedawcy, nie krępując się, kładą się w górach staników i gaci i drzemią. Naszym problemem jest, że klimat zmienia się szybciej niż reguły rzeczywistości, obyczaje, dress code'y. Musimy jak najszybciej nauczyć się gotować. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 533/21 toczy się postępowanie z wniosku Wspólnoty Mieszkaniowej Wojska Polskiego 8 w Ziębicach o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Wiśniarz, zm. 9 października 2019 r. w Ziębicach, ostatnio zamieszkałej w Ziębicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Stanisławie Wiśniarz, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. I Ns 283/21 toczy się postępowanie z wniosku Ireny Piros z udziałem Krystiana Stępnia, Barbary Gomuły, Katarzyny Krasuskiej, Janiny Pietruchy, Eweliny Pięty, Stanisławy Rybickiej o ustanowienie służebności drogi koniecznej dla nieruchomości położonej w Odrzywole, składającej się z działki nr 281/2, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. GK.I.6621.2122.2021 przez działkę nr 279, położoną w Odrzywole, przedstawioną na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. GK.I.6621.2122.2021.

Wzywa się osoby zainteresowane, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do opisanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd ustanowi służebność drogi koniecznej, jeżeli zostaną spełnione przesłanki do jej ustanowienia.

„TP" 27/2022

Nie medykalizujmy porodów

Przeczytałam artykuł Małgorzaty Nocuń o porodach w polskich szpitalach – poruszający i ważny. Chciałabym jednak dodatkowo zwrócić uwagę na kilka spraw. Po pierwsze, poród poprzez cesarskie cięcie „na życzenie" lepiej byłoby moim zdaniem nazywać porodem „z wyboru" – w tym drugim sformułowaniu jest więcej szacunku dla kobiet, to pierwsze sugeruje jej widzimisię, tak jak to próbują często przedstawić lekarze położnicy. Tymczasem – zwłaszcza po lekturze tego tekstu – możemy się chyba zgodzić, że to jest często przemyślana decyzja kobiety. Po drugie, „poród siłami natury" w polskim szpitalu to rzadko jest poród naturalny: ok. 60 proc. rodzących dostaje syntetyczną oksytocynę i to nie jest bezpieczne ani nie wspiera fizjologii. W ogóle system w swojej konstrukcji nie wspiera fizjologii. Zakładam się, o co Państwo chcą, że w 90 proc. strasznych historii porodowych występuje albo interwencja, albo problem z komunikacją – ignorowanie rodzącej i jej odczuć. Jak oczekiwać od kobiet zaufania do siebie, jeśli przez całą ciążę jest ono nieświadomie podkopywane na każdej wizycie, której celem jest znalezienie komplikacji? Jestem przeciwna zrzucaniu odpowiedzialności za ten stan rzeczy wyłącznie na kobiety. Czy biorąc pod uwagę skalę braku realizacji standardu organizacyjnego opieki okołoporodowej można się dziwić, że kobieta zamiast potencjalnej traumy dla siebie i dziecka chce wybrać zaplanowane zakończenie ciąży? Po trzecie, chciałabym zwrócić uwagę na kilka kwestii medycznych. Poród pośladkowy nie jest automatycznie zagrożeniem życia dla dziecka, może się ono urodzić bez komplikacji, zwłaszcza w pozycjach wertykalnych. Łożysko przodujące to takie, które zasłania szyjkę macicy, w przypadku kiedy się ona otwiera w porodzie, łożysko się rodzi pierwsze, a dziecko umiera z powodu niedotlenienia. Łożysko wrośnięte w ścianę macicy to inna komplikacja, częstsza w ciążach po cięciu cesarskim – ryzyko rośnie wraz z kolejnymi operacjami. Monitorowanie płodu poprzez KTG nie ma udowodnionego badaniami wpływu na poprawę bezpieczeństwa, zwiększa jedynie odsetek cięć cesarskich, tak samo jak wykonywanie kontrolnego, rutynowego zapisu przy przyjęciu do porodu. Dlatego WHO nie zaleca tego badania u wszystkich ciężarnych. Pisanie o nowoczesnych technologiach, które rzekomo chronią dzieci przed komplikacjami, jest moim zdaniem przykładaniem ręki do medykalizacji porodu i nie pomaga kobietom zaufać sobie.
Na koniec chciałabym wspomnieć o położnych, o których w tekście jest moim zdaniem za mało. A to one powinny móc obejmować ciągłą opieką wszystkie kobiety w czasie ciąży, porodu i połogu z pomocą lekarza – tylko jeśli jest taka potrzeba. To, że lekarze położnicy wyrażają obawy związane z tym, iż kobiety nie ufają naturze, zakrawa na ironię, bo to właśnie ich opieka – z definicji potrzebna tylko, kiedy są komplikacje – potęguje i pielęgnuje ten strach. Mimo wszystko cieszę się, że poruszają Państwo temat opieki okołoporodowej. Ta debata jest nam zdecydowanie potrzebna.

ANNA

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Maciej Tomaszewski

Ur. 3 VI 1925 r. w Krakowie – zm. 29 VI 2022 r. w Krakowie

Odszedł od nas ukochany Ojciec, Dziadek i Pradziadek, najdroższy Przyjaciel.

Lekarz, dr nauk medycznych. Sekretarz generalny polskiego oddziału Médecins du Monde, sędzia Naczelnego Sądu Lekarskiego, żołnierz AK, pułkownik WP, odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta i innymi odznaczeniami.

Msza św. żałobna odbędzie się w kaplicy na cmentarzu Rakowickim

8 lipca 2022 r. o godz. 13.40.

Po mszy nastąpi odprowadzenie Zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku.

Pogrążeni w smutku

Dzieci, Wnuki, Prawnuki i Przyjaciele

WIARA

PĘKNIĘTE STANY

Watykan powściągliwie odniósł się do zniesienia konstytucyjnego prawa do aborcji, które podzieliło Amerykanów. To dziwne tym bardziej, że akt ten jest dziełem katolickich prawników.

EDWARD AUGUSTYN

To historyczny dzień, który porusza myśli, emocje i modlitwy. Przez prawie pięćdziesiąt lat Ameryka egzekwowała niesprawiedliwe prawo, które pozwalało jednym decydować, czy drudzy mogą żyć. Ta polityka doprowadziła do śmierci dziesiątek milionów nienarodzonych dzieci – pokoleń, którym odmówiono nawet prawa do narodzin".

Tak zaczyna się oświadczenie Konferencji Biskupów Katolickich USA podpisane przez jej przewodniczącego, abp. José H. Gómeza. W podobnym tonie – z dodatkową nutą zwycięstwa i triumfu – wypowiadali się inni biskupi amerykańscy. To reakcje na werdykt Sądu Najwyższego, że aborcja nie może być uważana za konstytucyjne prawo kobiety, zatem podlega normom prawa stanowego. W praktyce oznacza to jej zakaz lub poważne ograniczenie w dużej części kraju.

Niemal półwieczna walka przeciwników aborcji zakończyła się sukcesem.

„Walczyliśmy, cierpieliśmy, byliśmy ośmieszani i oszukiwani. Ale wygraliśmy i dlatego świętujemy" – napisała, dzień po ogłoszeniu wyroku, jedna z katolickich działaczek pod zdjęciem wiwatujących przed sądem tłumów.

W tym samym czasie w Watykanie dobiegał końca X Światowy Kongres Rodzin. Trudno o lepszą okazję do wyrażenia radości z kolejnych „dziesiątków milionów ocalonych dzieci". Jednak Franciszek ani słowem nie nawiązał do wydarzeń za oceanem.

Chronić życie, ale wszystkich

Milczenie papieża groziło wizerunkową katastrofą, dlatego w sukurs pośpieszyły służby prasowe Watykanu, zapewniając, że w kwestii ochrony życia Franciszek ma zdanie identyczne jak jego poprzednicy. Na dowód przytoczono jego wypowiedzi – zarówno te najgłośniejsze („Aborcja to zbrodnia. To usunięcie jednego człowieka, by ocalić drugiego. Tak robi mafia" – 17 lutego 2016 r.; „To jak wynajęcie płatnego zabójcy do rozwiązania problemu" – 10 października 2018 r.), jak i mniej znane („Nie powinno się oczekiwać, że Kościół zmieni swoją postawę w tej kwestii. Chcę być całkowicie uczciwy w tym względzie. To nie jest problem podlegający zamierzonym reformom lub »modernizacji«. Nie jest żadnym postępem rozwiązywanie problemów przez eliminację ludzkiego życia" – „Evangelii gaudium", 214).

Cytatów było osiem. Dowodzą one, że Franciszek, owszem, jest zdecydowanym przeciwnikiem aborcji, ale też że walki z nią nie uważa za najważniejsze zadanie pontyfikatu i jeśli o niej mówi, to w kontekście obrony życia wszystkich „najsłabszych": imigrantów na morzu lub w granicznym lesie, robotników zmuszanych do pracy w niebezpiecznych warunkach, niedożywionych dzieci, ludzi pozbawionych podstawowych leków i środków higieny, ofiar wojen, zamachów terrorystycznych, strzelanin w szkołach, chorych i starców poddawanych eutanazji, więźniów skazanych na karę śmierci.

Ci, którzy czekali na reakcję Watykanu na wyrok amerykańskiego sądu, nie byli też zadowoleni z jedynej, jak dotąd, oficjalnej wypowiedzi Stolicy Apostolskiej. Jest nią stanowisko Papieskiej Akademii Życia, która „przyłącza się do oświadczenia biskupów USA", ale cytuje z niego jedynie ostatni akapit, mówiący o potrzebie społecznego dialogu, gojenia ran i stworzenia kobietom odpowiednich warunków – społecznych i ekonomicznych – które pozwolą na kontynuowanie ciąży i przyjęcie dziecka lub powierzenie go „tym, którzy mogą zagwarantować jego rozwój". Apeluje też o „zapewnienie odpowiedniej edukacji seksualnej, zagwarantowanie dostępnej dla wszystkich opieki zdrowotnej, przygotowanie środków legislacyjnych chroniących rodzinę i macierzyństwo, przezwyciężanie istniejących nierówności".

Twoje dziecko, twój problem

Bądźmy sprawiedliwi. Kilku amerykańskich hierarchów – np. kardynałowie Blase Cupich z Chicago, Wilton Gregory z Waszyngtonu czy Timothy Dolan z Nowego Jorku – również traktuje problem ochrony życia szerzej, w duchu Franciszkowym, podkreślając, że kwestia „obrony życia nienarodzonego" jest ważna, ale samo zdelegalizowanie aborcji tego nie zagwarantuje i problem pozostaje nierozwiązany.

O tym pisał Franciszek w dalszej części cytowanego wcześniej fragmentu: „Prawdą jest również, że uczyniliśmy niewiele, aby odpowiednio pomagać i towarzyszyć kobietom znajdującym się w bardzo ciężkiej sytuacji, w której aborcja jawi się im jako szybkie rozwiązanie w ich głębokiej udręce, szczególnie gdy rozwijające się w nich życie zaistniało w wyniku gwałtu lub w kontekście krańcowego ubóstwa. Któż może nie zrozumieć tak bolesnych sytuacji?" („Evangelii gaudium", 214).

– Czerwcowe orzeczenie Sądu Najwyższego nie dotyka istoty problemu – mówi „Tygodnikowi" prof. Massimo Faggioli, teolog, wykładowca na Uniwersytecie Villanova w Filadelfii. – Warto zapytać, dlaczego aborcja jest w Ameryce tak powszechna? I przypomnieć, że nie ma tu systemu opieki społecznej ani publicznej służby zdrowia. Że kobiety nie mają prawa do urlopu macierzyńskiego, także te, które pracują w katolickich instytucjach – szkołach, szpitalach, kościelnych urzędach. Że obowiązuje myślenie: twoje dziecko, twój problem. W ostatniej dekadzie sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Pewnie dlatego stanowisko Papieskiej Akademii Życia nie spodobało się amerykańskim konserwatystom, którzy uznali je za tchórzliwe i dwuznaczne. Wszystko jednak wskazuje, że decyzja, by w tak gorącej społecznie, politycznie i medialnie sprawie papież zachował milczenie, a Stolica Apostolska przemówiła jedynie słowami nie najważniejszej instytucji, jest przemyślana. Watykan tonuje emocje, sugerując, że amerykański wyrok nie musi wcale oznaczać zwycięstwa „cywilizacji życia", ale jest kolejną, bynajmniej nie ostatnią odsłoną wojny kulturowej, w której papież nie chce uczestniczyć.

Kościół z partią

W Stanach Zjednoczonych, kraju o dwupartyjnym systemie politycznym, spór o wartości (konserwatystów z liberałami czy tradycjonalistów z progresistami) ma łatwe do przewidzenia skutki polityczne: stawką jest wygrana w wyborach, ↦

BRYAN OLIN DOZIER / AFP / EAST NEWS

Zwolennicy prawa do aborcji blokują skrzyżowanie przed budynkiem Sądu Najwyższego USA, policja oddziela ich od działaczy pro-life. Waszyngton, 30 czerwca 2022 r.

↦ a do walki, coraz bardziej zaciętej, trzeba wciągnąć jak największą część społeczeństwa (a najlepiej całe). Punktów zapalnych nie brakuje – może to być rasizm, społeczeństwo wielokulturowe, wolność seksualna, prawa osób nieheteronormatywnych. Teraz jest aborcja.

Po ostatnim wyroku sądu widać to jeszcze ostrzej: Demokraci są uważani za partię proaborcyjną, Republikanie – za tych, którzy doprowadzili do delegalizacji aborcji. A choć zapewne w jednej i drugiej partii są zarówno zwolennicy, jak też przeciwnicy aborcji, przyznanie się dziś do poglądów niezgodnych z partyjnym „dogmatem wiary" oznacza koniec politycznej kariery.

Trudno się dziwić, że biskupi (nie wszyscy, ale wielu), którzy przez wiele lat aktywnie brali udział w tej wojnie, traktowani są jak partyjni agitatorzy.

Oczywiście – aborcja dzieli też inne religie i Kościoły, ale żaden nie jest tak pęknięty jak katolicki. Biskupi rozeszli się ze swymi wiernymi (wg danych Pew Research Center z 2022 r. aborcję popiera 56 proc. amerykańskich katolików), poróżnieni są też pomiędzy sobą, wiele dzieli ich od papieża Franciszka, mówiącego zupełnie innym językiem.

Smaczku dodaje fakt, że dwie najważniejsze osoby w „proaborcyjnej partii" to katolicy: prezydent Joe Biden i Nancy Pelosi, pełniąca funkcję spikera Izby Reprezentantów. To też stawia Kościół katolicki w całkiem nowej sytuacji – za prezydentury Kennedy'ego (również katolika) takich problemów nie było. Chcąc nie chcąc – ale bardziej chcąc – biskupi znaleźli się w samym centrum całkiem już upolitycznionej walki *pro-life* kontra *pro-choice*.

Wojtyła zasiał, Bergoglio zbiera

Wojna kulturowa w USA zaczęła się w drugiej połowie lat 60. XX w. Zarzewiem były rewolucja seksualna, Wietnam, zabójstwo Martina Luthera Kinga. Jednak dla Kościoła katolickiego ważniejszy okazał się rok 1973, kiedy Sąd Najwyższy wydał wyrok w sprawie Roe v. Wade, uznając, że zakaz aborcji jest niezgodny z konstytucją. Od tego roku aborcja w Stanach Zjednoczonych stała się zabiegiem powszechnym, dostępnym niemal bez ograniczeń.

– Tak radykalnej liberalizacji mało kto się spodziewał – mówi prof. Faggioli. – Zaskoczeni byli nawet sami zwolennicy aborcji. Tyle że w tamtym czasie Kościoły, które skupiały większość Amerykanów, a więc protestanckie, ewangelikalne, nie podjęły tematu. Jedynie Kościół katolicki uznał nowe prawo za poważny problem moralny. Dlatego w historii debaty o aborcji w Stanach Zjednoczonych odegrał wyjątkową rolę, wskazując drogę innym wyznaniom.

> Kiedy republikańscy prezydenci – Bush junior i Trump – wybierali sędziów do Sądu Najwyższego i chcieli być pewni ich konserwatywnych poglądów, **sięgali po katolików.**

Stało się tak zwłaszcza w kolejnych dekadach, za pontyfikatu Jana Pawła II, który ma też swój udział – kto wie, czy nie decydujący – w niedawnym rozstrzygnięciu Sądu Najwyższego.

– Papież Polak mocno zmienił amerykański Kościół – wyjaśnia Faggioli. – Przede wszystkim poprzez kryteria, według których wybierano i mianowano biskupów. Wcześniejszy nuncjusz, abp Jean Jadot, Belg, proponował głównie kandydatów postępowych. Po wyborze Wojtyły na papieża i zmianie nuncjusza ta linia się skończyła. Biskupami zaczęli zostawać kandydaci konserwatywni. I tak przez niemal ćwierć wieku.

Jednym z podstawowych kryteriów kościelnej kariery stało się zaangażowanie w walkę o wartości, w której głównym przeciwnikiem najpierw był komunizm, a po jego upadku – ruchy *pro-choice*. Ale – jak zauważa prof. Faggioli – trzeba powiedzieć całą prawdę: nauczanie Jana Pawła II przyjmowane było w USA dość selektywnie: nie słuchano jego surowych słów na temat kary śmierci, dobrze natomiast słyszane były te o aborcji, bo dało się je politycznie skonsumować.

Benedykt XVI kontynuował tę linię. – Przykładem jest jego przemówienie do biskupów amerykańskich podczas wizyty *ad limina* w 2012 r., mocno osadzone w duchu wojny kulturowej – mówi Faggioli. Co prawda papież Ratzinger nie był zbytnio zainteresowany kwestiami etyki seksualnej, w przeciwieństwie do swego poprzednika, jednak pytania kulturowe – o wolność religijną, szkody wyrządzone przez rewolucję '68, wynaturzenie idei *Vaticanum II* – były dla niego ważne.

– Można powiedzieć, że był w tym bardzo amerykański – dodaje teolog z Filadelfii. – Wielu amerykańskich biskupów mówi przecież: „Sobór Watykański II miał dobre intencje, ale gdy wprowadzano jego postanowienia, doszło do nadużyć i wypaczeń, zwłaszcza w USA". Powiedziałbym, że pontyfikat Ratzingera, pod względem wojen ideologicznych, był nawet gorszy niż Wojtyły, bo nominacje biskupie dostawali kandydaci wierni, ale mierni, także intelektualnie.

Amerykański episkopat liczy 12 kardynałów i 428 biskupów (wliczając emerytowanych, którzy pozostają członkami Konferencji Episkopatu). Większość z nich stanowią hierarchowie nominowani przez Jana Pawła II i Benedykta XVI.

Betonowanie sądu

Szukanie przyczyn wojen kulturowych tylko w pontyfikacie Jana Pawła II byłoby uproszczeniem. Pierwsza dekada pontyfikatu polskiego papieża zbiegła się przecież z „erą Reagana" – złotymi latami amerykańskiego konserwatyzmu. Ale prawdą jest, że nauczanie Wojtyły mocno podniosło – pod względem intelektualnym – poziom dyskusji o aborcji i seksualności człowieka. Zagadnienia te na stałe zagościły w katolickich programach duszpasterskich i edukacyjnych. Stworzono specjalne instytuty i wydziały na uczelniach, by zajęły się tematem od strony filozoficznej, moralnej i prawnej.

Dziś widać to dobrze: główni aktorzy obecnego *theatrum bellicum* – sędziowie głosujący za zakazem aborcji – są produktem tamtych czasów: najmłodsi odbywali wtedy studia, najstarsi kończyli doktoraty. Cała szóstka otrzymała staranną, katolicką edukację (jeden z nich po latach zmienił – ze względu na żonę – wyznanie na anglikańskie). Trudno zaprzeczyć, że Kościół katolicki w USA wychował wielu wybitnych, prawicowych prawników.

Zwraca na to uwagę także prof. Faggioli: – Kiedy republikańscy i prawicowi prezydenci – George Bush junior oraz Donald Trump – wybierali sędziów do

Sądu Najwyższego i chcieli być pewni ich konserwatywnych poglądów, sięgali po katolików. Wiedzieli, że można im ufać i w kwestii aborcji, i w takich sprawach, jak kara śmierci czy dostęp do broni. Sędziowie ci są łączeni z tzw. Conservative Legal Movement, ruchem, który z każdą kolejną dekadą, począwszy od lat 80., nabierał coraz większego znaczenia. Są tam, oczywiście, także przedstawiciele innych religii, ale nurt katolicki, którego inspiratorami byli Jan Paweł II i Benedykt XVI oraz ich biskupi, jest najsilniejszy.

Dzięki decyzjom Donalda Trumpa konserwatywna większość w Sądzie Najwyższym została „zabetonowana" na kolejne kilkanaście lat (nominacje sędziów są dożywotnie). Taki sąd będzie miał decydujące zdanie w najważniejszych kwestiach, niezależnie od wyników wyborów na prezydenta czy do Kongresu. Z pewnością sprzeciwi się idei świeckości państwa (uznając religię – ale tylko chrześcijańską – za fundament moralny amerykańskiego społeczeństwa), mówi się o kolejnych zaostrzeniach prawa aborcyjnego (na razie w niektórych stanach dopuszczanego przepisami lokalnymi), o ograniczeniu podróży aborcyjnych i dostępności antykoncepcji, o delegalizacji małżeństw jednopłciowych.

Wolność, równość, siostrzeństwo

– Nie lekceważyłbym nawet ryzyka wojny domowej – przestrzega prof. Faggioli. – Może nie takiej, jak za Lincolna, ale „zimnej". Mamy dwie Ameryki. Coraz mocniejsze jest przekonanie, że prawa obywatelskie, jakie kobiety mają w jednej części kraju, w drugiej im nie przysługują. Wyrok Roe v. Wade sprzed 49 lat uważano za kluczowy dla równości obywateli. Pogląd, że teraz tej równości nie ma, jest niemal powszechny.

Ale na zasadę „równości obywatelskich" powołują się też od pół wieku obrońcy życia, argumentując, że powszechne prawo do aborcji pozbawiało podstawowych praw dziesiątki milionów żyjących, choć jeszcze nienarodzonych obywateli.

Szans na porozumienie – czy choćby wzajemne zrozumienie – nie widać.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

CONSOLIDATED NEWS PICTURES / GETTY IMAGES

Aktywistka Norma McCorvey, znana jako Jane Roe, w której sprawie Sąd Najwyższy USA w 1973 r. wydał przełomowy wyrok dotyczący jej prawa do aborcji. Na zdjęciu w czasie marszu na rzecz wyboru w Waszyngtonie, 9 kwietnia 1989 r.

Walka na śmierć i życie

MARTA ZDZIEBORSKA

Po zniesieniu w USA federalnego prawa do aborcji role się odwróciły. Liberalni aktywiści mogą sięgnąć po równie drastyczne środki, jak niegdyś ruch pro-life.

Donald Trump może być z siebie dumny. W 2016 r. jako kandydat w wyborach prezydenckich obiecywał, że będzie mianował do Sądu Najwyższego wyłącznie sędziów *pro-life*. Słowa dotrzymał i za swojej prezydentury wysłał do SN aż trójkę konserwatystów. Każdy z nich – Neil Gorsuch, Brett Kavanaugh i Amy Coney Barrett – zagłosowali za obaleniem precedensu Roe v. Wade, gwarantującego konstytucyjne prawo do aborcji. W wyniku decyzji grona sześciu sędziów za regulacje w tej kwestii odpowiadają teraz wyłącznie władze stanowe.

Trump, podwójny rozwodnik znany ze skandali seksualnych i szerzenia kłamstw wyborczych, decyzję SN określił mianem „największego od dekad zwycięstwa na rzecz życia". Wtórował mu były wiceprezydent Mike Pence, który na Twitterze pochwalił sędziów za „odwagę przekonań" i od razu wezwał do zakazania aborcji w całym kraju.

Machina ruszyła

Niektóre republikańskie stany nie czekały nawet doby na wdrożenie restrykcji. W aż 13 stanach obowiązują bowiem tzw. *trigger laws*, czyli ustawy, które po unieważnieniu precedensu Roe v. Wade automatycznie weszły w życie. Tak stało się m.in. w Kentucky, Missouri czy Luizjanie, gdzie dopuszcza się przerywanie ciąży jedynie w przypadku zagrożenia dla życia matki, a za wykonanie zabiegu lekarzom grozi do 15 lat więzienia. Tylko w czterech spośród tych stanów z *trigger laws* dopuszcza się usunięcie ciąży będącej wynikiem gwałtu lub kazirodztwa. Przepisy może zaostrzyć w sumie 26 stanów, co potencjalnie dotknie nawet 35 mln kobiet.

↦

Amerykański spór o aborcję rozpoczął się w latach 70. XX w. za sprawą kelnerki z Teksasu posługującej się pseudonimem „Jane Roe". Kobieta zaskarżyła teksańskie przepisy aborcyjne twierdząc, że została zgwałcona i powinna mieć prawo do przerwania ciąży. Choć Roe zdążyła w międzyczasie urodzić, jej sprawa po długiej batalii trafiła do Sądu Najwyższego (Roe v. Wade). Aż siedmiu spośród dziewięciu sędziów uznało wówczas, że kobieta miała konstytucyjne prawo do aborcji. Od tamtej pory wykonanie zabiegu bez względu na przyczynę legalne było w całym kraju w pierwszym trymestrze ciąży, regulacje dotyczące późniejszych etapów leżały zaś w gestii poszczególnych stanów.

Precedens Roe v. Wade nie od razu wywołał oburzenie wśród ewangelików będących dziś jedną z głównych sił napędowych ruchu *pro-life*. Jak dowodzi na łamach „Politico" historyk religii Randall Balmer, kluczowi dla podniesienia tej kwestii stali się działacze z tzw. ruchu New Right. Krytykowali oni republikański establishment za zbyt łagodny kurs wobec feminizmu i ruchu praw obywatelskich, który postrzegali jako zagrożenie dla segregacji rasowej. A ta była dla nich kluczowa, bo prowadzili szkoły i uniwersytety wyłącznie dla białych uczniów. Jak pisze Balmer, ewangelicy sięgnęli po temat aborcji nie ze względów moralnych, ale dlatego, że był on dobrym sposobem mobilizacji wyborców i zemsty na prezydencie Jimmym Carterze – to właśnie za jego administracji segregujące uczniów szkoły ewangelickie straciły ulgi podatkowe.

Tylko cztery spośród trzynastu stanów, które już wprowadziły restrykcje, **dopuszcza usunięcie ciąży będącej wynikiem gwałtu lub kazirodztwa.**

Polityczna kalkulacja zwyciężyła także w Partii Republikańskiej, której czołowy polityk – Ronald Reagan – jeszcze jako gubernator Kalifornii wprowadził liberalne prawo aborcyjne. Z biegiem lat partia uznała jednak, że kampania na rzecz ochrony życia pozwoli przyciągnąć konserwatywnych katolików i protestantów niezadowolonych z przemian społecznych w USA. Zaledwie trzy lata po słynnym werdykcie Roe v. Wade Partia Republikańska wpisała do swojego programu sprzeciw wobec aborcji, a w 1980 r. właśnie ten wątek był kluczowy dla zwycięstwa Reagana w wyborach prezydenckich.

Sędzia-aktywista

Z biegiem dekad amerykański ruch *pro-life* coraz bardziej rósł w siłę: w latach 80. i 90. aktywiści organizowali protesty pod klinikami aborcyjnymi, zastraszali personel medyczny, pacjentki zaś nazywali dzieciobójczyniami. Dochodziło również do podpaleń, zamachów bombowych, ataków z użyciem kwasu, a nawet zabójstw lekarzy dokonujących aborcji. Kluczowy dla ruchu *pro-life* okazał się jednak dopiero rok 2010, gdy Republikanie zdobyli przewagę w 25 legislaturach stanowych i uczynili z nich maszynki do uchwalania restrykcji. Jedna z największych antyaborcyjnych fal przetoczyła się przez Amerykę w 2019 r. Władze 15 stanów przygotowały wówczas projekty ustaw zakazujących aborcji od momentu wykrycia bicia serca płodu. Nowe przepisy uchwalono w Ohio, Georgii, Missouri, Kentucky, Missisipi i Luizjanie.

W Alabamie politycy poszli o krok dalej, wprowadzając niemal całkowity zakaz aborcji, również w przypadku gwałtu i kazirodztwa. Projekty ustaw, zablokowane przez sądy federalne, celowo napisano tak, aby były sprzeczne z precedensem z 1973 r. Obrońcy życia mieli bowiem nadzieję, że po długiej batalii sądowej jedna z ustaw trafi pod obrady Sądu Najwyższego, a ten zniesie konstytucyjne prawo do aborcji. I tak się ostatecznie stało: czerwcowy wyrok SN dotyczył uchwalonego w Missisipi zakazu przerywania ciąży po 15. tygodniu.

Trzeba przyznać, że ruch *pro-life* nie mógł wymarzyć sobie lepszego składu sędziowskiego: aż sześciu spośród dziewięciu sędziów SN ma bowiem powiązania z Federalist Society. To prawnicza organizacja od lat lobbująca za mianowaniem do wymiaru sprawiedliwości przeciwnych aborcji konserwatystów. Swoich sympatii dla stowarzyszenia nie kryje m.in. sędzia Samuel Alito, autor opinii SN, która przesądziła o zniesieniu konstytucyjnego prawa do aborcji. Dwa lata wcześniej Alito podczas konwencji Federalist Society wygłosił płomienną przemowę, wykrzykując, że liberałowie są „zagrożeniem dla wolności religijnej i wolności słowa".

Napiwek na rzecz aborcji

To, że amerykańska prawica chce cofnąć kraj do lat 70. XX w., przeczuwała od jakiegoś czasu Annie Fuhrman. Kelnerka z Austin w Teksasie przyznaje, że już kilka miesięcy temu kupiła w aptece zapas tabletek „dzień po". Zrobiła to w reakcji na wprowadzone we wrześniu 2021 r. przepisy zakazujące aborcji po wykryciu bicia serca płodu. W Teksasie dodatkowo karani mogą być lekarze i osoby, które po-

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze I Wydziale Cywilnym toczy się postępowanie pod sygn. I Ns 94/21 o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Mirku, zm. 2 listopada 2019 r. w Kowarach, ostatnio stale zamieszkałym w Kamiennej Górze.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu spadkowym.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 185/22 toczy się postępowanie z wniosku Józefa Latusek, o stwierdzenie nabycia z dniem 4.XI.1971 r. w drodze uwłaszczenia własności nieruchomości położonej w Czaszynie gm. Zagórz oznaczonej numerem ewidencyjnym 66/18 o pow. 1,3725 ha, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta.

Wzywa się osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i udowodniły swoje prawa do wyżej wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd może stwierdzić nabycie własności zgodnie z wnioskiem.

magają kobiecie w dokonaniu zabiegu, w tym nawet kierowcy Ubera wiozący je do kliniki. Teraz, gdy zapadł przełomowy wyrok Sądu Najwyższego, władze Teksasu chcą zakazać prawa do aborcji, z wyjątkiem przypadków, gdy zagrożone jest zdrowie i życie matki.

– Mieszkam w stanie, gdzie dla polityków ważniejsze od sytuacji kobiet jest prawo do posiadania broni i ochrona nienarodzonych dzieci – uważa Annie i dodaje, że nowe przepisy mogą najbardziej dotknąć biedniejsze Amerykanki głównie z mniejszości etniczno-rasowych.

– Austin położone jest w środkowym Teksasie. Aby wyjechać stąd do sąsiedniego stanu, gdzie aborcja jest legalna, potrzeba co najmniej sześciu godzin. Dla wielu kobiet to może być bariera nie do pokonania, czy to względu na brak urlopu, samochodu, czy też zwyczajnie pieniędzy – tłumaczy Fuhrman. Dodaje, że po czerwcowym werdykcie SN jej pracodawca zaangażował się w zbieranie funduszy dla pracowniczek sektora usług, które będą zmuszone wykonać aborcję. Jedną z propozycji dla gości lokalu jest przekazywanie części napiwku na rzecz kobiet. Dofinansowanie dla Amerykanek, które nie mogą wykonać aborcji w pobliżu miejsca zamieszkania, zapowiadają m.in. Disney, Starbucks, Microsoft, Amazon czy Citigroup.

Annie Fuhrman

ARCHIWUM PRYWATNE X2

Emily Walton

Koniec początku

Wsparcia dla kobiet zmuszonych do podejmowania trudnych decyzji oczekuje również Emily Walton. Amerykanka pochodzi z Boise w stanie Idaho, gdzie już niebawem przerywanie ciąży będzie dopuszczalne wyłącznie w przypadku gwałtu, kazirodztwa lub zagrożenia dla życia matki.

– Kto pomoże tym kobietom? – wścieka się. – Gubernator naszego stanu zapewnia, że musimy zjednoczyć wysiłki, by pomagać Amerykankom, które nie planowały zajścia w ciążę, a które potrzebują pomocy finansowej i dostępu do opieki zdrowotnej. Tylko że na budowanie tego rodzaju wsparcia Republikanie mieli wiele lat! Aktywiści *pro-life* skupieni są głównie na prowadzeniu punktów kryzysowych, gdzie wykonuje się kobietom test ciążowy i wmawia się, że aborcja może wywołać raka piersi.

Emily odnosi się w ten sposób do działalności ośrodków zarządzanych w Idaho przez organizację Heartbeat International. Tego rodzaju „kliniki *pro-life*" rozsiane są po całym kraju. Niektóre placówki reklamują się w internecie, przyciągając nastolatki myślące, że trafiają do kliniki aborcyjnej. Zdarza się, że aktywiści proponują kobietom pomoc finansową w zamian za urodzenie dziecka i oddanie go do adopcji.

– Nie może być tak, że jakaś grupa na podstawie swoich przekonań religijnych mówi innym, co mają robić. Ostatni wyrok Sądu Najwyższego jest bardzo niebezpieczny, bo Amerykanie kochają wolność. Mam siedem sióstr i większość z nich nie zgadza się ze zniesieniem prawa do aborcji. Uważa tak też wiele moich konserwatywnych znajomych – zaznacza Emily.

To, jak różnie patrzą na te kwestie mieszkańcy Idaho, pokazuje seria demonstracji przed parlamentem stanowym w Boise. Naprzeciwko tłumu aktywistów wykrzykujących hasła „Moje ciało, mój wybór" działacze *pro-life* świętowali obalenie precedensu Roe v. Wade i nawoływali do zakazania tabletek używanych do aborcji farmakologicznej (odpowiada ona już za połowę przypadków przerywania ciąży w USA). O tym, że walka o konserwatywne wartości się nie skończyła, mówił m.in. członek organizacji National Right to Life Committee. Cytowany przez „New York Timesa" James Bopp Jr. przekonywał, że obalenie Roe v. Wade to jedynie „połowa sukcesu" i należy uchwalić ustawę zakazującą zabiegów na poziomie federalnym. „To będzie trudne zadanie, bo istnieje wiele sił, które są nam przeciwne. Jak mawiał Churchill, to jest dopiero koniec początku".

Jane tu była

Pełna mobilizacja panuje również w szeregach ruchu *pro-choice*, opowiadającego się za prawem kobiety do wyboru. Tuż przy granicach republikańskich stanów powstają mobilne kliniki oferujące aborcję farmakologiczną. Organizacja Planned Parenthood, która prowadzi kliniki aborcyjne w całym kraju, walczy już w sądach o tymczasowe zablokowanie przepisów w konserwatywnych stanach. Do tej pory udało się to m.in. w Luizjanie, Kentucky i na Florydzie. Z kolei prokuratorzy z zarządzanych przez Demokratów miast zapowiadają, że nie będą stawiać zarzutów wobec klinik wykonujących zabiegi pomimo zakazu. Solidarność panuje także wśród liberalnych stanów: gubernatorzy Kalifornii, Oregonu i stanu Waszyngton deklarują, że pomogą w opłaceniu podróży do klinik aborcyjnych na ich terytorium.

Przed listopadowymi wyborami do Kongresu szykuje się walka na noże: organizacje *pro-choice* zadeklarowały, że na wsparcie liberalnych kandydatów przeznaczą 150 mln dolarów. Demokraci, z prezydentem Joem Bidenem na czele, zagrzewają już wyborców do pójścia do urn. Przekonują, że dzięki utrzymaniu przewagi w Kongresie będą mieli szanse na uchwalenie federalnych przepisów gwarantujących prawo do aborcji w całym kraju.

Tymczasem Amerykanie biorą sprawy w swoje ręce. Gdy w maju do mediów trafił przeciek wskazujący, że sędziowie chcą zakazać aborcji, liberalni aktywiści atakowali „kliniki *pro-life*": podpalali je, obrzucali koktajlami Mołotowa i zostawiali za sobą wymalowany sprejem napis „Jane Roe tutaj była". Po kilkudziesięciu latach role się odwróciły.

© MARTA ZDZIEBORSKA

WOJCIECH OLKUŚNIK

Święcenie autokarów Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze". Otrębusy k. Warszawy, 7 maja 2022 r.

Zbiorczy akt oskarżenia

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Za mało Jezusa w Kościele, za dużo klerykalizmu, wykluczania, polityki. Tak najkrócej można podsumować przedstawione właśnie diecezjalne syntezy synodalne.

Synod nie cieszył się w Polsce entuzjazmem. Wzięło w nim udział – i to jasno wynika z przedstawianych syntez – w najlepszym razie 40 proc. polskich parafii oraz najbardziej zaangażowane grupy, świeccy i księża. Nie udało się dotrzeć do młodzieży ani do tych na marginesie (może z wyjątkiem Warszawy, Poznania, w mniejszym stopniu Krakowa). Nie udało się przekonać, że Synod może cokolwiek zmienić. Nie udało się wreszcie stworzyć atmosfery otwartej debaty.

Mimo to syntezy synodalne, nawet te napisane kościelną nowomową i podrasowane na potrzeby duchowieństwa, trzeba czytać uważnie, bowiem właśnie w nich zawarty jest obraz problemów polskiego Kościoła. Odpowiedzi na ukazane w nich wyzwania nie ma, na próżno szukać w tych dokumentach otwarcia na choćby umiarkowane zmiany, ale diagnoza obecnej sytuacji jest precyzyjna. Jeśli nawet ona nie przebudzi biskupów, księży i zaangażowanych świeckich, to nie wiem, jakie trzęsienie ziemi mogłoby to jeszcze zrobić.

W Kościele brakuje sacrum

I nie jest to przesada. Istotą zarzutów sformułowanych w syntezach synodalnych jest bowiem to, że Kościół w wielu diecezjach nie spełnia swojej zasadniczej roli, jaką jest głoszenie Jezusa, ukazywanie piękna Ewangelii. Jest on jak „sól, która utraciła smak". Świetnie ukazuje to – tak ubrana w słowa, by ukryć dramatyzm sytuacji – synteza diecezji kaliskiej. „Kolejnym »paradoksem« jest głos, który mówi, że w Kościele brakuje miejsca na Dobrą Nowinę! Wydawać by się mogło, że jest to rzecz nie do pomyślenia. A jednak, wybrzmiał i wskazał, że w Kościele brakuje Jezusa!" – napisano.

W innych syntezach ten zarzut wraca w bardziej konkretnej formie. W archidiecezji częstochowskiej zwrócono uwagę, że jest wiele osób, które w Kościele „poszukują *sacrum* i duchowości, a ich nie znajdują". Nie znajdują zaś, i to już jest niemal wspólny wniosek z udostępnionych dotychczas syntez, bo kazania i homilie są nieprzygotowane, niechlujne, skupione na osobistych przemyśleniach politycznych czy społecznych księdza albo na moralizowaniu. W homiliach – czytamy w syntezie z archidiecezji częstochowskiej – „brakuje (...) nie tylko głębokiego wyjaśnienia czytanego Słowa Bożego oraz prawd wiary, ale też często jakiegokolwiek odniesienia do Biblii". „Często podnoszono wołanie o zadbanie o jakość homilii, które powinny być oparte na Słowie i wynikające z jego medytacji, odnoszące się do problemów wiernych, wolne od politycznych komentarzy" – uzupełnia synteza z Gniezna, a podobne fragmenty znaleźć można w wielu innych. W krakowskiej napisano, że „upolitycznienie orędzia zbawczego zniechęca wiernych do Kościoła. Jest to na tyle istotny problem, że wielu respondentów domagało się surowych kar dla kapłanów polityków".

Trudno o mocniejsze oskarżenia wobec tego, co wierni co tydzień słyszą w Kościele, a warto przypomnieć, że w ogromnej większości przypadków zarzuty formułują nie ludzie z „peryferii Kościoła", ale ci najbardziej zaangażowani. To oni wskazują, że księża w kazaniach nie odnoszą się do Pisma Świętego, że w ich nauczaniu nie widać osobistej refleksji, że skupieni są bardziej na analizie tego, co usłyszeli w mediach, niż na prowadzeniu wiernych do spotkania z Bogiem w Jego Słowie. A wszystko to w sytuacji, gdy – co także wynika z syntez – wierni coraz mocniej potrzebują nauczenia ich modlitwy, medytacji, adoracji i pogłębiania relacji z Bogiem i bliźnimi.

Tyle że – i to być może jest największy problem – gdy sami księża nie prowadzą życia duchowego, nie medytują Pisma

Świętego, a czasem sami nie umieją się modlić albo wręcz utracili wiarę, to zwyczajnie nie mają czego przekazywać. „Z pustego i Salomon nie naleje" – głosi przysłowie. I nie jest to mój wniosek, ale przesłanie płynące z przedstawionych syntez. „Zwracano uwagę na (...) »fenomen niewiary księży«, którzy »zgubili Boga« lub niekiedy pokazują, że Kościół to »gigantyczny biznes, finansowe konsorcjum«" – można przeczytać w syntezie archidiecezji łódzkiej. „Wielu kapłanów zachowuje się jak osoby zajmujące się biznesem, a nie sprawami wiary" – czytamy w gnieźnieńskiej.

Wszechobecny klerykalizm

Zarzut potężnego klerykalizmu wybrzmiał także w tych diecezjach, które w swoich syntezach podkreślały, że wszystko jest świetnie, wierni są zachwyceni, a księża fantastycznie wypełniają swoje obowiązki. Na czym ten zarzut polega?

Jak wskazują uczestnicy synodu w diecezji świdnickiej, na „poczuciu przez księży wyjątkowości na tle innych ludzi, byciu przekonanym o swojej wyższości i szczególnej wartości". Synteza z archidiecezji częstochowskiej uzupełnia: „Księża traktują Kościół jak swoją własność, w której to oni są uprawnieni do decydowania o wszystkim". „Wielu uczestników zgodziło się w tym, że w Kościele często do drugiego człowieka podchodzi się z wyższością i uprzedzeniami wobec niego, co jest znaczną barierą w budowaniu dobrych relacji" – czytamy w syntezie z diecezji gliwickiej, a w archidiecezji gnieźnieńskiej zwraca się uwagę na „wywyższanie się kleru jako wyższej klasy". W praktyce ten problem widać było także w czasie rozmów synodalnych. „Spotkania były zdominowane przez proboszcza, który nie dopuszczał do rozmowy o sprawach parafii, proponował dyskusję tylko ogólnie o Kościele. W niektórych miejscach nie było też możliwości wypowiedzenia swoich oczekiwań i pragnień, proboszcz nie dopuszczał do wymiany zdań" – można się dowiedzieć z syntezy z Gniezna.

Jeśli ktoś sądzi, że w diecezjach wielkomiejskich jest inaczej, jest w błędzie. „Problem stanowi postawa kapłanów – brak zainteresowania wiernymi, ich ignorancja, przekonanie o własnej racji, co często zniechęca do dialogu i aktywności" – czytamy w syntezie warszawskiej, w której zwraca się również uwagę na fakt, że za ów klerykalizm odpowiadają także ludzie świeccy. „Zostaliśmy wychowani w dystansie między duchownymi a świeckimi, nie umiemy mówić o swoich potrzebach, więc narzekamy po kątach" – uzupełniają synodałowie z Warszawy. W Łodzi zauważają, że za wszechobecny klerykalizm „odpowiedzialni są nie tylko prezbiterzy, ale i świeccy wzmacniający taką postawę księży".

W jaki sposób? Odpowiedź znajdziemy w syntezie z diecezji pelplińskiej, w której podkreśla się, że zwykli świeccy ludzie nie są w stanie zrozumieć wzniosłości kapłaństwa: „Uczestnicy Synodu podkreślają, że powołanie kapłana jest wyjątkowe, jest on uświęcony i patrząc na niego jedynie z perspektywy ludzkiej, nie zrozumiemy tego w pełni. Niezbędne jest zatem duchowe wsparcie kapłanów. Tak jak Jezus potrzebował uczniów, aby czuwali z Nim na modlitwie w Ogrójcu, tak dziś Kapłani zjednoczeni z Chrystusem Kapłanem potrzebują wiernych świeckich". Jeśli coś buduje chory klerykalizm, to właśnie takie fałszywe teologicznie wyniesienie kapłaństwa, jego sakralizacja.

To, co zarzucane jest proboszczom czy wikariuszom, w jeszcze mocniejszym stopniu dotyczy biskupów. Oni mają mieć zerowe pojęcie nie tylko o problemach świeckich, ale nawet duchownych. W Kościele nikt nikogo nie słucha, nie istnieją kanały komunikacji nie tylko między świeckimi a duchownymi, ale także między księżmi a biskupami. „Świeccy praktycznie nie mają dostępu do form efektywnej komunikacji z duchowieństwem" – napisano w syntezie z archidiecezji warszawskiej.

Biskupi nie chcą nas słuchać

To samo co duchownym, świeccy zarzucają biskupom. Niekiedy jest to wyrażane łagodnym – jak w archidiecezji częstochowskiej – językiem i mówi się, że księża „oczekują od swoich biskupów bardziej ojcowskiej postawy i bliższego kontaktu", czasem mówi się wprost o „braku poczucia bycia wysłuchanym przez przełożonych" (to w diecezji pelplińskiej), a czasem zarzut ten jest wyrażany mocno i szczegółowo, jak w diecezji świdnickiej. „Wierni nie są słuchani przez księży, wikarzy przez proboszczów, katecheci przez proboszczów, proboszczowie przez biskupa. Zwracano także uwagę, że niekiedy w szczególnie złej sytuacji są kobiety, których głos jest lekceważony. Wskazywano na brak dialogu, gdyż decyzje są podejmowane odgórnie, bez konsultacji. W niewielu parafiach można stwierdzić, że osoby mają poczucie bycia słuchanym przez proboszcza, księży" – analizują autorzy syntezy ze Świdnicy, by w kolejnym miejscu zauważyć, że „nie mamy do siebie nawzajem zaufania: księża wobec księży, księża wobec swoich biskupów, biskupi wobec swoich księży. Często można odnieść wrażenie, że biskupi nie chcą nas słuchać. Oczywiście mamy też świadomość tego, że i my sami nie umiemy też słuchać swoich wiernych; nie jesteśmy słuchani przez biskupa, nie mamy odwagi o tym mówić, to wynik naszej dyplomacji".

Ciekawe, że na te same problemy zwracają uwagę także świeccy, opisując sytuację duchownych. W syntezie z archidiecezji łódzkiej mowa jest o „dobijającej samotności prezbiterów pozostawionych samym sobie na plebanii", o „braku doświadczenia braterskiej miłości", a w innych syntezach mowa jest także o tym, że w decyzjach kadrowych nie bierze się pod uwagę osobistych zdolności księży (choćby wysyłając kompletnie do tego niezdolnych wikariuszy do pracy w szkołach).

Wszystko to razem prowadzi do wniosków, by „biskupi byli bliżej zwykłych ludzi, aby miały miejsce spotkania np. podczas wizytacji, by móc porozmawiać, gdyż w obecnej formie dostęp do biskupa mają tylko wybrani" (to Gniezno), by wzmacniać wspólnoty braterskie i wreszcie by wymusić na biskupach traktowanie ludzi po partnersku, nie – jak to ujmuje synteza z archidiecezji poznańskiej – „przemawianie do ludzi", lecz „rozmawianie z nimi". Aby było to możliwe, niezbędne jest jednak odzyskanie przez biskupów autorytetu. „Biskupi nie są słuchani, ponieważ są postrzegani jako nieautentyczni. Raczej w ich komunikacji wierni wyczuwają coś w rodzaju nieszczerej dyplomacji" – czytamy w syntezie z Poznania.

Ten „przedrewolucyjny" opis sytuacji nie skłania uczestników synodu (a przynajmniej nie znajduje to żadnego wyrazu w syntezach) do postulatów radykalnej lub choćby realnej zmiany. Lęk przed niemiecką drogą synodalną (odniesienia do niej – niezmiennie negatywne – powracają w niemal wszystkich ↦

syntezach) i obawa przed złowieszczą „demokracją w Kościele” skłaniają do nieustannego powtarzania, że Kościół jest hierarchiczny i że tak ma pozostać. Hierarchiczność jest przy tym rozumiana jako w istocie feudalny ustrój, w którym jedynym źródłem realnej władzy są biskup i proboszcz.

W takim ujęciu nie ma miejsca na realną władzę rad parafialnych, która jest już standardem choćby w Kościele niemieckim czy brytyjskim, a także w wielu diecezjach amerykańskich. „Wierni świeccy uznają władzę proboszcza w parafii i władzę biskupa w diecezji, do których należą finalne decyzje” – ogłasza synteza z archidiecezji warszawskiej. Ten sam ton ma synteza z archidiecezji łódzkiej. „Dominującym, a w zasadzie wspólnym głosem było uznanie hierarchiczności władzy w Kościele, tym samym zgodnie odrzucano w takim rozumieniu pojęcie demokracji. Taki obraz władzy łączy się jednocześnie z konkretną jej wizją: Kościół jest hierarchiczny i powinien takim pozostać. Decyzje powinny być podejmowane przez tych, którzy są do tego predystynowani i oni powinni brać za nie odpowiedzialność” – czytamy w syntezie z Łodzi. Najmocniej zaś (można powiedzieć, że radykalnie nie w duchu synodalności) takie podejście wybrzmiało w diecezji włocławskiej. „Władza w Kościele sprawowana jest w sposób hierarchiczny i tak powinno pozostać. W sprawach wiary i moralności autorytetem są biskupi i prezbiterzy, sprawujący władzę w imieniu Jezusa Chrystusa” – czytamy w tamtejszej syntezie, a jej autorzy cytują nawet aprobatywnie sugestie, by „duchowieństwo nie oddawało zbyt odpowiedzialnej władzy świeckim”. Jedynym miejscem, gdzie wybrzmiał jakikolwiek postulat zmiany strukturalnej, jest archidiecezja poznańska, gdzie zasugerowano większy (choć oczywiście, broń Boże, nie decyzyjny) wpływ świeckich na nominacje biskupów.

Żeby było tak, jak jest, tylko lepiej

Jeśli nie jakakolwiek zmiana w modelu – a nie tylko stylu – zarządzania, jeśli nie większy udział świeckich we władzy i strukturach kontrolnych, jeśli nie szersze otwarcie się na synodalny model zarządzania – to co? Odpowiedź jest, z perspektywy polskiego Kościoła, dość prosta: ma być tak, jak było, tylko lepiej. Księża mają być lepiej uformowani, bardziej ludzcy, mniej pazerni i bardziej dialogiczni. Tyle że księży formuje konkretny system, oni są tacy, jacy są, bo w pewnym sensie tak kształtuje ich rzeczywistość relacji z biskupami, kompletny brak transparentności zasad, a także teologia kapłaństwa, w której (by posłużyć się parafrazą z syntezy diecezji pelplińskiej) powołanie księdza jest tak wyjątkowe, a on sam tak uświęcony, że „patrząc na niego jedynie z perspektywy ludzkiej, nie zrozumiemy tego w pełni”.

> Ma być tak, jak było, tylko lepiej. Księża mają być lepiej uformowani, bardziej ludzcy, mniej pazerni i bardziej dialogiczni. **Wadliwy system ma się nie zmienić.**

I właśnie ślepota na ten systemowy problem, którego skutkiem jest brak „Kościoła w Kościele” i „Jezusa w głoszeniu” czy kompletna niezdolność do wzajemnego słuchania i feudalne relacje, jest głównym brakiem syntez synodalnych. Polscy katolicy chcą, by zmieniły się relacje, ale przyczyną zmiany ma być dobra wola, zaangażowanie i wiara, a nie reforma systemu, większa realna synodalność i wspólnotowość czy wreszcie odmienne postrzeganie zarówno miejsca biskupa, jak i księdza w Kościele. Tymczasem ludzie są tacy, jacy są. Jeśli dać im potężną władzę (taką ma biskup nad księżmi, a także w wymiarze duchowym ksiądz nad wiernym), to tylko nieliczni będą na tyle święci, by jej nie nadużywać. Bez systemu realnej, to znaczy oddolnej, także złożonej ze świeckich kontroli władza będzie nadużywana. Jeśli na proboszcza nałoży się tysiące obowiązków zarządczych, uczyni z niego szefa biura usług duszpasterskich i zarządcę dóbr parafialnych (tak jakby kwestiami administracyjnymi nie mogli zajmować się świeccy), to będzie on skupiony głównie na tym – chyba że będzie rzeczywiście mistykiem, który z trudem będzie próbował godzić obie kwestie. Jeśli już w czasie studiów kleryków przekonuje się, że ich powołanie jest szczególne, oni sami powołani o wiele bardziej niż inni, a ich stan jest nie do zrozumienia z punktu widzenia świeckich – to tylko niektórym sodówka nie uderzy do głowy.

Realna, głęboka zmiana wymaga więc nie tylko osobistej świętości pasterzy, nie tylko modlitwy i nadziei, że wszystko zmieni się cudownie dzięki dobrej woli (ona także jest ograniczana przez charakter systemu kościelnego), ale również głębokich zmian instytucjonalnych. Jeśli biskup nie ma realizować władzy absolutnej, jeśli ma słuchać księży i wiernych, to musi istnieć realna metoda instytucjonalnego „wymuszenia” na nim takiej postawy, a gdy trzeba – kontroli i odwołania go. Jeśli proboszcz nie ma się czuć „właścicielem” parafii, to musi istnieć obok niego struktura kontrolna i zarządcza rada finansowa, a on sam musi wiedzieć, że za jakiś ściśle określony czas – przestanie być proboszczem (tak jak to już ma miejsce w parafiach zakonnych). Jeśli władza ma nie mieć charakteru absolutystycznego, to trzeba ją ograniczyć. Jeśli głos świeckich ma cokolwiek znaczyć, to powinni mieć wpływ na mianowanie (i odwoływanie) proboszczów i biskupów.

Tego typu postulaty wcale nie są wyrazem jakiegoś niezwykłego progresywizmu, nie wypływają z chęci demokratyzacji Kościoła czy jego liberalizacji, a są raczej wyrazem pesymizmu wypływającego z augustiańskiej doktryny grzechu pierworodnego. Ludzie (w tym księża i biskupi), aby zachowywać standardy, których się od nich oczekuje, potrzebują niezależnych od swojej władzy mechanizmów kontrolnych (w Kościele ich brak, bowiem nawet sąd biskupi zależny jest od biskupów), jasno określonych kompetencji i wreszcie mechanizmu zmiany władzy. Jeśli ich nie ma, wpisane w ludzką naturę pragnienie władzy, pycha czy egoizm skłaniają przynajmniej część do złego modelu działania.

Świętość (z jednej strony), a siła bezładu potężnej instytucji (z drugiej) ograniczają oczywiście to niebezpieczeństwo, ale go nie eliminują. I właśnie dlatego potrzebne są także reformy instytucjonalne, do których przygotowaniem miał być – w zamyśle papieskim – synod o synodalności. W Polsce pozostał on głównie aktem oskarżenia wobec Kościoła, pozbawionym jednak realnego pomysłu na to, co można zrobić. Lęk przed niemiecką drogą synodalną był silniejszy niż pragnienie zmian.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

ZUZANNA

Radzik:
Ćwiczę zachwyt

Przewodniczka jest dość słaba. Nawet mnie to bawi, bo zwykle w napięciu przysłuchuję się przewodnikom oprowadzającym po żydowskich zabytkach w Polsce. Dawno nie ćwiczyłam zwiedzania w małych miasteczkach w Niemczech. Niewiele ma nam do powiedzenia o synagodze w Worms, nie umie oddać wagi tradycji żydowskich tego regionu, nie wspomina wcale o pogromie Żydów w czasie pierwszej krucjaty. Tej grupie nie trzeba tego mówić, choć innym byłoby warto. Gdy z przejęciem pokazuje natomiast fotografię zniszczeń miasteczka w czasie ostatniej wojny, nie bardzo chce mi się patrzeć.

Hurban Shum to wydarzenie tak wielkiego znaczenia w relacjach chrześcijańsko-żydowskich, że nasza grupa od dialogu wie, o czym mowa. W Worms 18 maja 1096 r. zamordowano 800 Żydów, którzy odmówili przyjęcia chrztu. Żydowski historyk epoki zanotował słowa Godfreya z Bouillon, że w drodze krzyżowcy pomścili krew ukrzyżowanego, rozlewając żydowską krew i kompletnie ścierając ślad po Żydach. Gratulacje, chłopaki! Wiwat, chrześcijańska Europo! Cóż z tego, że biskupi i papież próbowali to powstrzymać. Nienawiść nauczana zostaje czasem wcielona przez nauczanych z bolesną dosłownością. I potem nawet we własnym warownym pałacu biskup nie był w stanie ochronić Żydów przed przemocą krzyżowców i własnych diecezjan. Jak w Worms.

Podczas gdy druga część naszej grupy zwiedza miasteczko śladami Lutra, my siedzimy w wielokrotnie burzonej synagodze. Tu studiował u nadreńskich mistrzów wielki średniowieczny żydowski komentator Raszi. Potem zburzono ją w 1096 r. i znów w 1146 r., w czasie drugiej krucjaty. Następnie zniszczono kompleks synagogalny w czasie pogromów podczas epidemii w latach 1348-1349, a potem w 1618 r., gdy miejscowe cechy, wypędzając Żydów, chciały poradzić sobie z zaciągniętymi długami. W 1689 r. znów, ale tu wraz z całym miastem. Odbudowana w barokowym stylu, stała aż do nocy kryształowej. Po czym znów odbudowana została w latach 60. Ciężko się wczuć w to, że mógł tu siedzieć Raszi, skoro po jego wyjeździe z Worms przechodziła przez ten mały budynek pożoga za pożogą.

To ostatni dzień spotkania Międzynarodowej Rady Chrześcijan i Żydów. Najwyraźniej zaczęłam to wszystko traktować jako zbyt oczywiste. Jakby czas, gdy chrześcijanie i Żydzi są w dialogu, nie był maleńkim odcinkiem historii, która potoczyła się dobrze po tym, jak potoczyła się bardzo źle. Zamiast zatrzymywać się z zachwytem, jak wtedy, gdy dwie dekady temu po raz pierwszy brałam udział w chrześcijańsko-żydowskim międzynarodowym spotkaniu. Zamiast się cały czas wzruszać, że to możliwe. Worms z jego historią przemocy, potem odbudowy, nadziei, a potem kolejnych pogromów i zniszczeń smuci mnie i mobilizuje. *Don't take it for granted.* Dialog chrześcijan i Żydów to nie jest oczywisty stan spraw.

Ktoś mówi, że choć na organizacyjnym spotkaniu skupiamy się na problemach i ich rozwiązywaniu, nie powinniśmy zapomnieć, że jesteśmy owocem wielkiej zmiany. Zatem zmiana jest możliwa. Międzynarodowa Rada Chrześcijan i Żydów powstała po wojnie, gdy chrześcijanie zaczęli się zastanawiać, co poszło nie tak, że w chrześcijańskiej Europie możliwy był Holokaust, i czy nie ma to czegoś wspólnego z nauczaniem Kościołów. Oczywiście, że ma. Te siedemdziesiąt parę lat rewolucji w nauczaniu to wciąż powinien być początek. Jeden z inicjatorów, ocalały z Zagłady historyk Jules Isaac, mówił, że chodzi o przyjaźń. Stąd nasza francuska członkowska organizacja ma w nazwie nie radę, ale właśnie chrześcijańsko-żydowską przyjaźń. Przyjaźń jako cel to jeszcze inne zadanie niż dialog.

Temat przyjaźni wraca, gdy słucham opowieści o organizowanym ostatnio przez kogoś panelu na temat interpretacji bardzo różniącego nasze tradycje biblijnego tekstu. Żydowska działaczka tłumaczy, że o tym tekście może publicznie rozmawiać tylko z chrześcijańskim kolegą, z którym działa i przyjaźni się od 30 lat. Rozmawiali już chyba o wszystkim, co trudne, szczerze i do kości. Przypomina jednocześnie, że rozmowy z chrześcijanami o interpretacji Biblii, zwłaszcza publiczne, to zawsze gest zaufania i wystawienie się na zranienie. Zapomniałam. Zapomniałam te niezręczności, które widziałam na własne oczy, pozornie dialogiczne wydarzenia, w czasie których skóra cierpła od słów, które musiały ranić. Zapominam ciągle, że to nie jest takie oczywiste.

Staram się więc ćwiczyć zachwyt przez te dni spotkania, choć myśli kłębią się wokół wielu organizacyjnych tematów: jak angażować młodych, czym zasilić nasze budżety, jak wzmacniać słabsze organizacje? Proza życia rozciągnięta od Polski przez Chile po Nową Zelandię. Gdy zapominam o zachwycie, patrzę na młodą Izraelkę studiującą chrześcijaństwo, z jak świeżą ciekawością się w to wszystko zanurza. Tak, przypomina mi dwudziestoletnią mnie, pomaga odnaleźć do niej drogę. Rozglądam się dalej, myślę o swoich międzyreligijnych przyjaźniach. Kto za 30 lat będzie czuł się bezpiecznie, rozmawiając ze mną o wszystkim? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

ŚWIAT

PUNKT ZWROTNY EUROPY

Rzeczywistość przyspieszyła. To, co pół roku temu było nie do wyobrażenia, staje się faktem. Rosyjska agresja na Ukrainę sprawia, że Zachód zmienia się radykalnie.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Koniec czerwca stał pod znakiem ważnych decyzji gremiów zachodnich. Miały być one reakcją na wyzwanie spowodowane największą od trzech pokoleń wojną na kontynencie europejskim.

Najpierw, 23-24 czerwca, szczyt Rady Europejskiej w Brukseli zgodził się na przyznanie Ukrainie oraz Mołdawii statusu państw kandydujących do Unii. Chwilę później, 28-30 czerwca, w Madrycie obradował najważniejszy od dekad szczyt NATO. Zatwierdził on nową strategię Sojuszu, uznającą Rosję za największe zagrożenie dla jego bezpieczeństwa. Uzgodniono też rozszerzenie obecności NATO na jego wschodniej flance.

Unijna ofensywa Kijowa

Mijał piąty dzień rosyjskiej inwazji na Ukrainę, gdy 28 lutego prezydent Wołodymyr Zełenski zdecydował się na krok, który na pierwszy rzut oka wydawał się szaleńczy. Kijów złożył wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej – na co przecież nie decydował się przez długie osiem lat, które minęły po rewolucji godności na Majdanie. Wcześniejsze sygnały płynące z Brukseli oraz z większości kluczowych państw unijnych nie pozostawiały bowiem wątpliwości, że jest na to zbyt wcześnie.

Tym razem władze ukraińskie świetnie wyczuły koniunkturę zarówno na arenie zagranicznej, jak i wewnętrznej. To drugie było nawet ważniejsze, gdyż Zełenski – mający wyjątkowo rozwinięty słuch społeczny – rozumiał, że w obliczu egzystencjalnego zagrożenia Ukraińcy potrzebują wzmocnienia pozytywnego mitu o „narodzie powracającym do Europy", aby ostatecznie odciąć się od imperialistycznego sąsiada.

Początkowo ukraiński wniosek nie został potraktowany poważnie. W Europie mało kto wówczas wierzył, że Ukraina może się obronić i zachować suwerenność. Tymczasem im więcej czasu mijało od początku pełnowymiarowej rosyjskiej inwazji, tym bardziej stawało się jasne, że siły ukraińskie mają potencjał do skutecznej obrony. Zarazem poparcie społeczeństwa dla integracji z Unią wzrosło do 87 proc., co jest bodaj najwyższym poziomem w Europie. Przeciwko członkostwu opowiada się dziś zaledwie 4 proc. Ukraińców, podczas gdy jeszcze rok temu odsetek ten wynosił ponad 30 proc.

Konsensus co do integracji ze strukturami europejskimi, a także euroatlantyckimi (76 proc. ukraińskich respondentów popiera wejście do NATO, 10 proc. jest przeciwko) panuje w każdym regionie Ukrainy – także na wschodzie i południu, co jest zmianą iście rewolucyjną. Niech to będzie miarą przewrotu, który w ukraińskich głowach wywołał Kreml swoją decyzją, aby „pełzającą" przez osiem lat wojnę w Donbasie rozszerzyć na całą już Ukrainę.

Przełamany sceptycyzm, ale...

Kijów postanowił więc wykorzystać koniunkturę międzynarodową i uzyskać status kandydacki, którego odmawiano mu przez wiele lat.

A jednak – wbrew pozorom – również i teraz nie było to wcale przesądzone. Wiele państw unijnych – m.in. Niemcy, Francja, Austria, Szwecja i Dania – pozostawało mniej lub bardziej otwarcie sceptycznych co do uznania europejskich aspiracji Ukrainy. Samo poparcie ze strony Polski i innych państw naszego regionu było niewystarczające.

MAKSYM VOITENKO / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Drzewa pozbawione liści po rosyjskim ataku rakietowym. Serhijiwka w obwodzie odeskim, 1 lipca 2022 r.

Sprawę przesądziła dopiero deklaracja kanclerza Scholza i prezydenta Macrona, wygłoszona podczas ich wizyty w Kijowie (wspólnie z liderami Włoch i Rumunii). Skoro Berlin i Paryż uznały, że Ukrainie należy się status kandydacki, to trudno było zakładać, że okoniem stanie któreś z mniejszych państw.

Kijów mógł odtrąbić „historyczny sukces", którego waga – w realiach wojennych zmagań – jest niebagatelna. Podnosi bowiem morale społeczeństwa ukraińskiego, pokazując, że Ukraina ma swoje miejsce w Europie.

Jednak patrząc realistycznie, droga do członkostwa jest bardzo daleka. Najpierw trzeba rozpocząć rozmowy akcesyjne, otworzyć kilkadziesiąt rozdziałów negocjacyjnych i przeprowadzić fundamentalne zmiany w większości aspektów funkcjonowania państwa. A zanim się to stanie, niezbędne jest wygranie wojny.

Nie należy mieć też złudzeń – większość państw Unii wcale nie czeka z otwartymi ramionami na Ukrainę. Już sam fakt, że uzyskała ona status kandydacki po tak wielu latach zabiegów, jest wiele mówiący.

Traktaty europejskie stanowią, że do Unii może przystąpić każdy kraj europejski szanujący wartości demokratyczne. Głównym argumentem przeciwko Ukrainie była „niegotowość" do złożenia wniosku. Teraz w retoryce m.in. Berlina słychać, że przed kolejną falą rozszerzenia Unii musi nastąpić przykładowo reforma jej systemu głosowania (czyli rezygnacja z systemu opartego na zgodzie wszystkich).

Mnożenie takich i podobnych warunków to sposób na blokowanie akcesji Ukrainy czy państw Bałkanów Zachodnich. Wielu z największych unijnych graczy zdaje sobie sprawę, że ukraińskie członkostwo w fundamentalny sposób zmieniłoby obecny układ sił na korzyść regionu Europy Środkowej – i na niekorzyść tzw. starych członków.

Wygrać wojnę

Są to jednak rozważania na odległą przyszłość. Dzisiaj Ukraina wciąż walczy z nacierającymi siłami rosyjskimi, a końca wojny nie widać.

Po tygodniach walk Rosjanie zdobyli Siewierodonieck, naciskają na Łysyczańsk i opanowanie przez nich całości obwodu ługańskiego wydaje się już tylko kwestią czasu. Ciężkie walki trwają również w pozostałej części Donbasu. Codziennie dochodzi też do rosyjskich ataków rakietowych na cele w różnych ↦

regionach całej Ukrainy. 27 czerwca rakieta trafiła w centrum handlowe w Krzemieńczuku, zabijając bądź raniąc prawie stu ludzi. W miniony piątek, 1 lipca, kolejne rakiety uderzyły w bloki mieszkalne w Odessie; kilkudziesięciu cywilów zginęło lub odniosło rany. Potwierdza to, że Rosja nie rezygnuje z ataków o charakterze terrorystycznym, wymierzonych w ludność cywilną.

Kijów regularnie skarży się na niewystarczające dostawy ciężkiego uzbrojenia z Zachodu. Zarazem armia ukraińska dokonuje cudów męstwa, starając się utrzymać pozycje w obliczu tak nierównego potencjału, gdy idzie o artylerię, czołgi i lotnictwo. Nieprzypadkowo właśnie teraz, w obliczu intensywnej rosyjskiej ofensywy w powietrzu, prezydent Zełenski co i rusz apeluje o dostarczenie jego krajowi systemów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. Ważnym sukcesem Ukrainy jest doprowadzenie do wycofania garnizonu rosyjskiego z Wyspy Wężowej – ważnej strategicznie, gdyż położonej w pobliżu Odessy.

Odpowiedź na stawiane przez chyba wszystkich pytanie, jak długo może potrwać ta wojna, zależy w dużej mierze od tego, jak szybko i w jakich ilościach państwa zachodnie będą mogły (i chciały) dostarczyć Ukrainie właśnie artylerię, broń przeciwlotniczą, czołgi, wozy bojowe, amunicję oraz inne zaopatrzenie, jak np. paliwo czy wsparcie dla szpitali wojskowych, które w coraz szybszym tempie zapełniają się rannymi.

Bez wszystkich tych dostaw siły ukraińskie nie będą w stanie stawiać skutecznego oporu agresorowi, nie mówiąc już o przejściu do kontrataku i wyzwoleniu okupowanych terenów.

„Najważniejsze i bezpośrednie zagrożenie"

W cieniu trwającej wojny odbywał się oczekiwany od dawna szczyt Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Jeszcze przed rosyjską inwazją z 24 lutego wiadomo było, że w Madrycie zostanie przyjęta nowa koncepcja strategiczna NATO – było to nieuniknione w obliczu wydarzeń z ostatnich ośmiu lat (aneksja Krymu, wojna w Donbasie). Natomiast jej kluczowe zapisy zostały w ostatnich miesiącach wzmocnione. Teraz dokument stawia sprawę jasno: „Rosja jest najważniejszym i bezpośrednim zagrożeniem dla bezpieczeństwa Sojuszu oraz pokoju i stabilności na obszarze euroatlantyckim". Biorąc pod uwagę, że w poprzedniej strategii z 2010 r. za główne zagrożenie uznano terroryzm, z Moskwą zaś zamierzano budować partnerstwo, mamy do czynienia ze zmianą fundamentalną – nawet jeśli w obecnej sytuacji naturalną.

Aby nie było wątpliwości, w nowej strategii mowa jest też o tym, że NATO nie szuka konfrontacji z Rosją i nie stanowi dla niej zagrożenia. Zarazem jednak obiecuje odpowiedź na rosyjskie zagrożenie i na wrogie działania, w tym poprzez wzmocnienie obrony i odstraszanie.

Jednak z punktu widzenia najbardziej zagrożonych sojuszników, czyli państw bałtyckich, Polski i innych krajów wschodniej flanki, ustalenia szczytu – choć idące w dobrą stronę – są niewystarczające.

Stany Zjednoczone, bez których Europa nie byłaby w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa, zapowiedziały zwiększenie swoich sił w Europie (prawdopodobnie do 100-120 tys. żołnierzy), a liczebność natowskich sił wysokiej gotowości, wykorzystywanych w razie zagrożenia, ma wzrosnąć z 40 tys. do 300 tys. ludzi. Z punktu widzenia Polski kluczowa jest decyzja o umieszczeniu części dowództwa V Korpusu armii amerykańskiej w Poznaniu wraz z batalionem wsparcia. Choć polskie oczekiwania były dalej idące, i tak oznacza to pierwszą stałą (a nie rotacyjną) obecność USA na polskim terytorium. Ponadto do Rumunii ma trafić dodatkowo brygada wojsk lądowych, a do Niemiec i Włoch kolejne elementy systemu obrony powietrznej.

Długa konfrontacja

Rozczarowani mogą być Bałtowie, którzy zabiegali o znaczące zwiększenie wojskowej obecności sojuszników na swoim terytorium, co udało się tylko częściowo. Stało się tak, choć przed szczytem władze trzech państw bałtyckich postawiły na alarmistyczną retorykę – co najlepiej oddają słowa premier Estonii Kaji Kallas, że w wyniku działań rosyjskich jej kraj „może zostać wymazany z mapy".

Ważne jest również wycofanie przez Turcję weta w sprawie zaproszenia Finlandii i Szwecji do Sojuszu. Nie oznacza to jeszcze automatycznie przyjęcia obu tych państw – proces ratyfikacji przez obecnych członków NATO zajmie wiele miesięcy. Niewątpliwie jednak obecność Finów i Szwedów znacząco zwiększy bezpieczeństwo obszaru Morza Bałtyckiego, w tym przede wszystkim Litwy, Łotwy i Estonii.

Dla Kijowa ważne jest potwierdzenie przez szczyt NATO dalszego wzrostu wsparcia w formie dostaw uzbrojenia i szkoleń. Odpowiedzialne za to będą jednak poszczególne państwa, a nie Sojusz jako taki. Słowa prezydenta Joego Bidena w Madrycie – o dalszym wspieraniu Kijowa aż do zwycięstwa – są istotnym sygnałem, że Waszyngton wciąż jest gotów nieść pomoc Ukraińcom. Nie ma natomiast mowy o ewentualnym przyszłym członkostwie Ukrainy. Jest jasne, że dopóki trwa wojna, temat nie istnieje.

Ustalenia madryckie potwierdzają, że NATO przygotowuje się do długiej konfrontacji z agresywną Rosją, licząc się z tym, że działania militarne mogą się rozlać poza Ukrainę. Moskwa jest – słusznie – traktowana jako przeciwnik nieprzewidywalny. Szczególnie że z Kremla płyną wojownicze sygnały, które nie pozostawiają wątpliwości, iż jego celem jest nie tylko zawładnięcie Ukrainą, ale też gruntowna przebudowa systemu bezpieczeństwa w Europie zgodnie z rosyjskim ultimatum z grudnia 2021 r. Rosja chce, aby państwa wschodniej flanki były strefą buforową.

Trudniej o jedność

Kluczowym arsenałem rosyjskim pozostaje wojenna retoryka. Propagandowe media oraz politycy z Kremla regularnie straszą Europę rozpętaniem konfliktu na dużą skalę i możliwością użycia broni nuklearnej. Na lidera agresywnej narracji wyrósł były prezydent Dmitrij Miedwiediew, który okazuje się „godnym" następcą zmarłego niedawno Władimira Żyrinowskiego – miał on ugruntowaną opinię największego klauna rosyjskiej polityki.

Prowadząc działania wojenne na Ukrainie i regularnie strasząc Europę, Rosjanie stawiają zarazem na postępujące zmęczenie Zachodu wojną. Niestety Kreml nie jest bez szans. Rosnące ceny energii, możliwy deficyt gazu i węgla, wysoka inflacja i wzrost cen – wszystko to sprawia, że w zamożnych społeczeństwach zachodnioeuropejskich narasta przekonanie, iż wojnę trzeba zakończyć możliwie szybko. Nawet za cenę ukraińskich

GENYA SAVILOV / AFP / EAST NEWS

51-letni Giennadij został ranny w ataku rakietowym na centrum handlowe. Szpital w Krzemieńczuku, 29 czerwca 2022 r.

ustępstw – i to, w opinii niektórych, nie tylko terytorialnych, lecz także dotyczących jej niezależności od Rosji.

O ile w Polsce i państwach bałtyckich powszechne jest przekonanie, że jest to również „nasza wojna" – gdyż jej skutki dotykają nas w bardzo wielu wymiarach – o tyle w Niemczech czy Francji sytuacja jest diametralnie inna. Wciąż brakuje tam zrozumienia, że chodzi nie tylko o Ukrainę, lecz że to stawka o wiele wyższa – jest nią przyszłość porządku międzynarodowego.

Rosyjskie „niespodzianki"

Kreml próbuje wzmacniać te tendencje, choć – na szczęście – wiele jego działań przynosi efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego. Codziennie rosyjskie ataki na cele cywilne na Ukrainie sprawiają, że wojna pozostaje czołowym tematem w mediach zachodnich, dobijając się do zachodnich sumień. Z kolei działania Gazpromu, ograniczające dostawy gazu dla odbiorców unijnych (w przypadku Niemiec i kilku innych państw spadły one w ostatnich tygodniach o 40 proc.), nie tyle wywołują gotowość do „dogadania się", lecz potwierdzają, iż kraje długo postrzegane jako „tradycyjnie rusofobiczne" – zwłaszcza Polska i Bałtowie – miały wiele racji, ostrzegając w minionych latach przed rosyjskim zagrożeniem.

Elity i społeczeństwa zachodnioeuropejskie nie mogą się nadziwić, że Moskwa, robiąc Zachodowi kolejne „niespodzianki", zdecydowała się działać – jak jest to postrzegane – wbrew własnym interesom. Raz jeszcze dowodzi to, że niemal nierozwiązywalnym problemem jest nieumiejętność postrzegania Rosji taką, jaką ona jest, a nie taką, jak wciąż wyobraża sobie wielu Europejczyków.

Możemy być pewni, że w kolejnych miesiącach Rosjanie postarają się maksymalnie utrudnić życie społeczeństwom zachodnim, w tym – co jest coraz bardziej prawdopodobne – wstrzymując dostawy gazu. Instrument energetyczny jest bowiem jedynym (jeśli nie liczyć tego militarnego), który Moskwa posiada wobec Europy. I jak już pokazała, nie zawaha się go użyć.

Po pierwsze, konsekwencja

Za sprawą rosyjskich działań Europa znalazła się w wyjątkowo niebezpiecznym momencie. Słowa premiera Hiszpanii, który na szczycie NATO mówił, iż widzimy „tektoniczne zmiany w porządku międzynarodowym", dowodzą, że właściwie wszyscy są dziś świadomi wyzwań, przed jakimi stanął Zachód. Inna sprawa, że trudno o jedną receptę na podołanie zagrożeniom i rozwiązanie problemów wywołanych przez Moskwę. A można mieć pewność, że nie jest to koniec, lecz dopiero początek radykalnych zmian.

Europa jest bowiem w punkcie zwrotnym: system międzynarodowy podlega głębokim zmianom, zmierzając w stronę nowej epoki politycznej. Jej ostateczny kształt i treść wciąż są niejasne i będą uzależnione od stopnia determinacji Zachodu w obronie Ukrainy. Jeśli Europa ma wyjść obronną rękę z obecnego kryzysu, niezbędna jest też konsekwencja w działaniu. Rosja zakłada, że swoimi działaniami militarnymi i pozamilitarnymi zmęczy w końcu Europejczyków, a tym samym – mimo wysokiej ceny – osiągnie zwycięstwo. Z historii wiadomo, że Rosjanie umieją działać konsekwentnie.

Ważnym punktem wyjścia są słowa prezydenta Bidena z Madrytu, że „atak na jedno z państw jest atakiem na nas wszystkich", i że „będziemy bronić każdego cala terytorium NATO". W ostatnich miesiącach słychać je było kilkukrotnie i dobrze, że one powracają. Polityka skutecznego odstraszania jest niezbędna, aby w Moskwie nikt nie uznał, iż można zaryzykować i przetestować gotowość NATO do zrealizowania tych deklaracji.

Od Madrytu po Odessę

Rosja liczy się bowiem tylko z silnymi i pogardza słabymi. Jak długo będzie uznawać, iż Zachód pozostaje jednością w sprawach fundamentalnych, tak długo nie zaryzykuje bezpośredniego starcia militarnego.

Wciąż jednak będzie podrywać jedność Zachodu i generować dla niego rozliczne problemy, gospodarcze i w efekcie społeczne. Trzeba być gotowym, aby im przeciwdziałać – równocześnie zwiększając wysiłek na rzecz ukraińskiego zwycięstwa w wojnie. Nigdy wcześniej w historii przyszłość porządku międzynarodowego w Europie nie kształtowała się na wschód od linii Dniepru. Czyż jest lepsze potwierdzenie, że Ukraina zasługuje na pełne uznanie jej ambicji? Zarówno tych unijnych, jak też tych zupełnie elementarnych – jak wybór własnej drogi, życie w wolności i demokracji.

Im szybciej zachodnioeuropejskie społeczeństwa zrozumieją, że stabilność kontynentu zależy nie tylko od sytuacji na Półwyspie Iberyjskim, w delcie Dunaju, nad Wisłą i w okolicach estońskiej Narwy, ale również w Krzemieńczuku czy Odessie, tym bezpieczniejsi będziemy my wszyscy. © WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 1 lipca.

Jedyny syn

TEKST I ZDJĘCIA WOJCIECH PIĘCIAK
Z ZIEMI LWOWSKIEJ

Ukraina się broni, ale za coraz wyższą cenę. Ludzie na tyłach drżą o bliskich na froncie. Oto kilka historii: o śmierci i życiu, smutku i przetrwaniu, gdy emocje szaleją.

Nad Polem Żałoby powietrze jest ciężkie, gęste. W tę czerwcową sobotę upał jeszcze nie przygniata, ale jest odczuwalny. Niebo w oddali ciemnieje.

Luba i Wiktor przyszli odwiedzić Andrija. Na początku przychodzili codziennie, teraz co kilka dni. – Ale w domu codziennie modlimy się za niego – mówi Luba. Jakby chciała się wytłumaczyć, że nie jest u syna każdego dnia.

Pole Żałoby: tak nazwano łąkę na północnych peryferiach Drohobycza, w sąsiedztwie cmentarza komunalnego. Wtedy, w schyłkowym Związku Sowieckim, odrodzenie narodowe w jego poszczególnych republikach szło w parze z odkrywaniem ponurych kart komunizmu. Tu, w Drohobyczu, powiatowym miasteczku na ziemi lwowskiej, latem 1991 r. na terenie byłego więzienia NKWD ekshumowano szczątki kilkuset ludzi, zamęczonych w latach 40. i 50.

Łąka, na której ich wówczas pochowano, w zbiorowych mogiłach-kurhanach – nazwana właśnie Polem Żałoby – po 2014 r. stała się miejscem spoczynku tych, którzy zginęli w Donbasie. Po 24 lutego zaczęły dochodzić kolejne mogiły.

„Mamo, jadę"

Raz tylko jej się przyśnił od tamtej chwili, gdy dowiedzieli się, że zginął. Zobaczyła go, jak zmywa naczynia w ich kuchni. Rozchlapał mnóstwo wody. „Po co to, synku, przecież sama umyję" – powiedziała do niego. Nic nie odparł, odwrócił się, uniósł ręce i jakby zamienił w świetlisty pył, rozpłynął się w powietrzu. Czy chciał im coś powiedzieć?

Dzień jest pogodny, ale powietrze coraz cięższe.

Andrij pięknie tańczył. Takim chcieliby go dziś pamiętać: jak ma beztroskie jedenaście lat i z zapałem wywija: walce, tanga, fokstroty. Czy mogło być inaczej w rodzinie, w której oboje rodzice byli nauczycielami tańca? Luba klasycznego, Wiktor ludowych. On był ich jedynym dzieckiem. Adoptowali go z domu dziecka.

– Jedyny syn – mówi matka.

Luba i Wiktor, dwoje samotnych emerytów, stoją i milczą. On odwraca się, udaje, że poprawia coś przy mogile. Nie chce pokazać, że płacze.

Gdy ich Andrij pierwszy raz poszedł na wojnę, miał 28 lat. Było to jeszcze w 2014 r. Na początku tego roku chciał już kończyć służbę, odejść z wojska. W poniedziałek 21 lutego przyjechał do garnizonu w Jaworowie. Poprosił o przepustkę, by odwiedzić rodziców. Nie dostał, sytuacja była już napięta. A potem przyszedł czwartek 24 lutego. Nie mogli osobiście się pożegnać. Zadzwonił tylko i powiedział: „Mamo, jadę".

Andrij Skrypnik zginął 29 marca, jako żołnierz Dwudziestki Czwórki. Tak tutaj mówi się na 24. Brygadę Zmechanizowaną imienia króla Daniela (XIII-wiecznego monarchy Rusi, założyciela miasta Lwowa), w czasach pokoju stacjonującą w regionie lwowskim.

Została im po nim wnuczka. Gdy o niej mówią, serdecznie się uśmiechają. Choć jest daleko, w Polsce, razem z mamą (Andrij z żoną się rozwiedli), to teraz ich pociecha, największa. – Chodzi do polskiej szkoły, świetnie się uczy – mówią z dumą.

Tatuaż ze skorpionem

Tamtego dnia przyszli do nich z rady miejskiej i powiedzieli, że zginął. Oraz że pogrzeb będzie uroczysty, jak się należy bohaterowi. Jednak szybko okazało się, iż pogrzeb nie może się odbyć, bo nie ma ciała. Zaginęło gdzieś między pozycją, na której padł, a zapleczem. Ściślej: gdzieś po drodze musiały zaginąć jego dokumenty. Ponieważ nie miał nieśmiertelnika (wielu żołnierzy go nie ma; tj. mają, jeśli sporządzą go prywatnie), do kostnicy na tyłach musiał trafić jako NN, żołnierz nieznany.

Ciała nieznanych żołnierzy, którzy polegli na wschodniej Ukrainie, zwykle trafiają do Dnipra – to główny hub logistyczno-medyczny. Są tu też specjalne chłodnie i cmentarz dla żołnierzy nieznanych.

Praktyka stosowana jeszcze od roku 2014 – gdy po takich bitwach jak Iłowajsk

zwożono liczne niezidentyfikowane ciała – jest taka, że ciało jest fotografowane, opisywane są znaki szczególne (jak tatuaże), pobierane jest DNA. Następnie ciało powinno spocząć na cmentarzu dla nieznanych (w Dniprze założono go jeszcze w 2014 r.), w grobie oznaczonym numerem – z nadzieją, że w przyszłości uda się ustalić tożsamość i oddać je rodzinie.

Takie są procedury. Praktyka siłą rzeczy jest dziś podobno inna: niezidentyfikowanych ma być tylu, że służby pogrzebowe nie nadążają. Podobno w chłodniach leżą setki ciał. Mają czekać na opis, pobranie DNA i pochówek. Podobno oficer odpowiedzialny za jedną z takich chłodni nie wytrzymał – zgłosił się na front. Tak mówią.

Andrija znalazła Aleksandra Woźniak, wolontariuszka. Dzwoniąc do kolejnych kolegów z jednostki, a potem kolejnych instytucji, zrekonstruowała drogę, jaką odbył Andrij: z miejsca, gdzie zginął, aż do cmentarza dla NN w Dniprze.

Na szczęście miał charakterystyczny tatuaż: skorpiona na lewym ramieniu.

Luba i Wiktor Skrypnikowie przy grobie syna Andrija na Polu Żałoby. Drohobycz, czerwiec 2022 r.

Ciało ekshumowano. W połowie maja przyjechało do domu.

„Hrihorij, to ty?"

A potem zadzwonił telefon. Dzień po tym, jak Andrij przyśnił się matce.

Bo to było tak: wraz z ciałem rodzice dostali telefon komórkowy, zawinięty w folię i uszkodzony. Oddali do naprawy, naładowali i włączyli. Próbowali odblokować – nie udało się, nie przyjmował kodu PIN, który znali. Zdziwili się. Ale trudno, odłożyli go na półkę.

I nagle – zadzwonił. Luba odebrała.

– Hrihorij, to ty? – usłyszała kobiecy głos.

– Jaki Hrihorij? – zdziwiła się. – To telefon mojego syna Andrija.

– Jakiego Andrija?! – głos w słuchawce zawibrował. – To komórka mojego Hrihorija!

W ten sposób Luba i Wiktor dowiedzieli się, że telefon, który dostali, nie należał do Andrija. Matka Hrihorija, gdzieś spod Połtawy, dowiedziała się, że jej syn – ten, z którym kontakt urwał się jakiś czas temu – bez wątpienia nie żyje. A Aleksandrze przyszło teraz szukać Hrihorija. Znalazła go, także w Dniprze. Szczęśliwie też miał tatuaże.

– Biedna matka, tak strasznie płakała – przypomina sobie Luba.

Spadają pierwsze krople. Luba i Wiktor dotykają mogiły, żegnają się. Odchodzą.

Nad Polem Żałoby płacze niebo.

Algorytm

„Jedyny syn", „jedyna córka": takie pojęcia pojawiają się często w pożegnaniach. W kraju, gdzie dzietność z roku na rok spadała – w 2019 r. na Ukrainie notowano statystycznie 1,23 dziecka na kobietę – ten syn czy córka (bo na wojnę poszło też kilkadziesiąt tysięcy kobiet) to często jedyne dziecko.

Choć władze nie informują o stratach (czasem ktoś coś powie, np. że codziennie ginie stu żołnierzy, ale to nieoficjalnie), jakieś o nich pojęcie dają właśnie pożegnania – zwłaszcza te publikowane przez lokalne strony internetowe i profile w mediach społecznościowych, prowadzone przez miasta czy gminy.

Jest ich coraz więcej. Informują, czasem niosą pociechę. W treści zwykle krótkie, powtarzalne. „Sanitariuszka, oddała życie ratując innych". „Zginął osłaniając kolegów". „Bronił naszych domów". „Zostawił żonę i dwoje dzieci". „Teraz czuwa nad nami z nieba".

I twarze: bardzo młode, a także starsze, pięćdziesięcioletnie. Galerie twarzy.

Algorytm Facebooka sprawia, że ukraiński użytkownik ma je codziennie przed oczami.

To nie będzie tanio

Gdyby rozrysować nastroje społeczne na Ukrainie w ostatnich czterech miesiącach, powstałaby skacząca sinusoida, która w ostatnich tygodniach zamienia się chyba w stałą.

Bo na początku była to emocjonalna huśtawka. Pierwsze tygodnie to przerażenie, że za chwilę padnie Kijów. To okopy, których kopanie rozpoczęto wokół skrzyżowań na obwodnicy Lwowa. ↦

↦ Potem, na przełomie marca i kwietnia, zaczyna się uniesienie, nawet euforia: Rosjanie cofają się od Kijowa, Czernihowa, Charkowa. Ale później, w drugiej połowie maja, rozkręca się rosyjska ofensywa w Donbasie. Trzeba oddawać kolejne miasta. Moskale (jak wielu tutaj mówi) okrzepli i robią to, co umieją najlepiej: ich artyleria zdobywa teren, który potem zajmuje piechota. Jak sto lat temu. Powoli, ale stale idą naprzód.

Jakie emocje są więc teraz?

Jest determinacja, cały czas. Ale inna niż wcześniej: teraz już i bez histerii, i bez euforii. Determinacja bardziej spokojna, bardziej realistyczna. Jest też więcej smutku i bólu. I nie ma już nadziei na szybki koniec (a miało ją wielu). Wydaje się, że większość – zdecydowana – wierzy, iż Ukraina się obroni (jeśli tylko – słychać często to zastrzeżenie – jeśli tylko Zachód nie znuży się nami i nie przestanie pomagać). Ale wierze tej towarzyszy świadomość, że – jak ktoś powie – „to nie będzie tanio, przeciwnie, będzie bardzo drogo". W wymiarze i ludzkim, i materialnym. Widać dziś, że wojna, którą prowadzi Rosja, swoimi rakietami niszcząc czy rafinerię, czy centrum handlowe, ma na celu zniszczenie kraju: nie tylko gospodarki i infrastruktury, ale także – zniszczenie chęci do życia tutaj.

Społeczeństwo najwyraźniej jest gotowe na takie ofiary. Na pytanie, skąd ta gotowość, można usłyszeć odpowiedź:

– Ludzie zobaczyli, co dzieje się na terenach okupowanych. Nikt nie chce, żeby to przyszło do nas. Żeby Bucza była tutaj.

Żona zbiera na termowizor

Ale nastroje społeczne to jedno, a indywidualne to coś trochę innego. Tutaj huśtawka emocji jest nadal nieunikniona. Doświadczają jej zwłaszcza ci, których bliscy są na froncie.

Technologia – smartfony i komunikatory, od Messengera przez Facebooka po Telegram i Viber (dwa ostatnie bardzo tu popularne) – okazuje się, zależnie od okoliczności, albo błogosławieństwem (jeśli jest zasięg i sieć), albo przekleństwem. Bo gdy przez kilka dni nie ma kontaktu z mężem, synem, bratem – wtedy trudno znaleźć sobie miejsce. Wtedy człowiek ma poczucie, że traci kontrolę nad życiem.

Różne są strategie przetrwania w warunkach takiej huśtawki.

– Dużo moich przyjaciółek, których mężowie poszli na wojnę, rzuciło się w aktywność, w wolontariat – to Aleksandra, też wolontariuszka od 2014 r.

– Każda żona chce kupić dla męża, który jest na froncie, trzy rzeczy: termowizor, noktowizor i samochód dla jego plutonu – to Wołodymyr (w cywilnym życiu dyrektor oddziału banku, w wojennym logistyk w miejscowej obronie terytorialnej).

Wołodymyr mówi to trochę żartobliwie, ale tylko trochę. Bo wielu z tych, których bliscy są na wojnie, to właśnie robi: zbierają pieniądze, na Ukrainie i poza nią, aby kupić im to, co może ułatwić przeżycie. Nie musi być to od razu termowizor (na Ukrainie trudno je już dostać, prędzej w Polsce, ale porządny kosztuje kilka tysięcy złotych). Więc choćby leki na brzuch lub krem na grzybicę.

Prozaiczne? Nie wtedy, gdy wszystkim żołądki wariują, a grzybicę stóp ma prawie każdy żołnierz piechoty.

Maria siada pod drzewem

Od ponad roku jest wdową, mieszka sama. I sama przeżywa.

W armii są jej 45-letni syn Jura oraz 19-letni wnuk Wołodia. Wnuk szkoli się w garnizonie na tyłach. Syn jest pierwszoliniowym ratownikiem medycznym w oddziale obrony terytorialnej. Oficjalna nazwa oddziału to 67. Samodzielny Batalion OT imienia hetmana Petra Sahajdacznego (hetman dowodził wojskami kozackimi walczącymi wspólnie z armią Rzeczypospolitej pod Chocimiem w 1621 r.; został ranny i po kilku miesiącach zmarł). Pierwszoliniowy to ktoś, kto wynosi rannych spod ognia. Od dwóch miesięcy oddział jest na froncie.

Maria, rocznik 1943, o tym nie wie. Przeżywała, gdy syn zgłosił się, jeszcze na początku marca, kiedy formował się tu batalion teroborony (tak mówią w skrócie). Bliscy powiedzieli więc Marii, że Jura pojechał na poligon, dlatego nie może jej odwiedzać. Poligon się przedłuża, więc rodzina podejrzewa, że Maria domyśla się prawdy. Ale o nic nie pyta.

Tu, na zachodniej Ukrainie, mało kto biegnie do schronu, gdy wyją syreny alarmu przeciwlotniczego. A wyją codziennie, zwykle nocą. Maria mieszka w pobliżu instytucji, którą Rosjanie mogliby uznać za strategiczną (choć od dawna taką nie jest). Bliscy chcieli ją stąd zabrać, odmówiła – kto zajmie się kurami, kto przygarnie koty? Jura poprosił, aby choć nie ignorowała syren.

Zatem gdy w nocy syrena ostrzega, że na niebie nad ziemią lwowską lecą rosyjskie rakiety, Maria bierze koc, poduszkę i kładzie się do wanny. Tu najbezpieczniej. Drzemie, aż kolejna syrena ogłosi odbój alarmu.

Czasem alarm zastaje Marię za dnia w polu. Jej kawałek ziemi, gdzie rosną własne ziemniaki i inne warzywa (ważny element w strategii przeżycia, gdy jest się na emeryturze), sąsiaduje z instytucją, w którą teoretycznie mo-

ARCHIWUM PRYWATNE

Pomoc dla walczącej Ukrainy

CZYTELNICY, którzy chcieliby wesprzeć obywateli Ukrainy – tych, którzy zostali w kraju i organizują jego obronę oraz troszczą się na miejscu o cierpiących – mogą to uczynić pomagając Fundacji, którą utworzyły środowiska polskich i ukraińskich wolontariuszy z Drohobycza i Krakowa (w jej zarządzie jest m.in. Wojciech Pięciak, kierownik działu zagranicznego „TP", a od 2014 r. także wolontariusz i organizator pomocy dla Ukrainy): Fundacja S.O.S. Ukraina. Numer KRS: 0000962758. Adres: ul. Wspólna 2G, 35-205, Rzeszów. Numery kont (Bank PKO BP):

Złotówki: 28 1020 4391 0000 6102 0217 8408 **Euro:** PL 57 1020 4391 0000 6802 0217 8416
Dolary: PL 62 1020 4391 0000 6602 0217 8424 **Funty:** PL 67 1020 4391 0000 6402 0217 8432

Tytuł przelewu: **Czytelnicy „TP" dla Ukrainy**

Na zdjęciu: sprzęt medyczny dostarczony przez Fundację w szpitalu frontowym w Mikołajowie, maj 2022 r.

głyby uderzyć rakiety. Wtedy Maria siada na ławeczce pod drzewem i czeka, aż alarm przeminie.

Wydaje się, że jej osobisty sposób na przetrwanie to codzienne czynności, praca przy kurach („Przecież ich nie zostawię") i na grządkach. Oraz modlitwa. Modli się dużo, po kolei za wszystkich. Gdy się z nią żegnamy, błogosławi znakiem krzyża. Robi to zawsze, gdy żegna się z bliskimi.

Nie ona jedna – to gest, który teraz można zaobserwować często.

Z Liszni do Mariupola

Jak wygląda „sztafeta"? Weźmy np. system dojść dokostnowych, czyli, w uproszczeniu, „wiertarki" do kości: aby pokonał on 2415 km i dotarł z Akwizgranu do Jurija, szefa chirurgii w przyfrontowym szpitalu wojskowym w Mikołajowie, potrzebna jest właśnie „sztafeta".

Kilkuetapowa: najpierw „wiertarki", podarowane przez Politechnikę i Szpital Uniwersytecki w Akwizgranie (tam rzecz koordynuje Iwona, chirurg), jadą do Zabrza, do Zbyszka i Łukasza z Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii (od końca lutego prowadzą oni tranzytowy magazyn darów z Niemiec). Stąd kolejni Polacy, z Fundacji S.O.S. Ukraina, transportują je (i wiele innych rzeczy) do punktu koordynacyjnego blisko granicy. Stamtąd pojadą dalej, już ukraińskimi busami, do kolejnego punktu koordynacyjnego gdzieś na zachodniej Ukrainie. A stąd – do Mikołajowa.

„Sztafeta", którą zorganizował Pawło Nedelko, ma trochę inny charakter: rodzinny. Pawło – ukraiński Żyd, przedsiębiorca z branży spożywczej – w swoją osobistą „sztafetę" zaangażował całą rodzinę: tę z Ukrainy i tę z Izraela oraz Niemiec. Wszystko, co akurat jest potrzebne na froncie, a co można zorganizować lub kupić za zebrane pieniądze (jak m.in. trzy używane auta), wędruje do firmy Pawła w wiosce Lisznia. Stąd zaś dalej na front. Wszędzie, gdzie tylko można dojechać.

Na etykiecie konserw Pawło pisze do żołnierzy:
„Wielka prośba! Po zwycięstwie proszę o zwrot słoika do wioski Lisznia powiatu drohobyckiego. Chwała Ukrainie!".

Dopóki bronił się Mariupol, także do Mariupola. Jego obrońcy postanowili się Pawłowi odwdzięczyć. Podarowali mu obraz z popularnym motywem, który trafił na znaczki i kartki pocztowe: ukraiński żołnierz, stojący na plaży, pokazuje krążownikowi „Moskwa", gdzie jego miejsce. Plażę wykonano z drobin czarnomorskiego bursztynu.

Przeżyj i oddaj słoik

Biznes zaczynał od małego sklepu, dziś ma piekarnię i wędzarnię. Rzemieślnicze produkty Pawła, jak domowy chleb i sało (wędzona słonina, przysmak), cieszą się uznaniem.

Pomaga też na miejscu. Gdy w Szkole Podstawowej nr 17, zamienionej na schronisko dla prawie setki uciekinierów, zabrakło jedzenia, podarował chleb i wędlinę. Dziewięciu wygnańców przyjął u siebie w domu.

Pawło Nedelko – mężczyzna około pięćdziesiątki, uśmiechnięty entuzjasta, dla którego taka aktywność to, być może, także sposób na przetrwanie – jest też kimś więcej: psychologiem. Z każdej cotygodniowej produkcji trzysta konserw jedzie na front: żołnierze dostają półlitrowe słoiki, weki, a w nich – czytamy na etykiecie – „wyborną wieprzowinę", podaną w sosie własnym. Najwięcej miejsca na etykiecie zajmuje apel do odbiorcy: „Wielka prośba! Po zwycięstwie proszę o zwrot słoika do wioski Lisznia powiatu drohobyckiego. Chwała Ukrainie!".

Pawło sam to wymyślił. To jego osobista wartość dodana do wybornej, w rzeczy samej, wieprzowiny w sosie własnym. Pozytywne przesłanie do nieznanego żołnierza: wierzę, że przeżyjesz i wrócisz.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

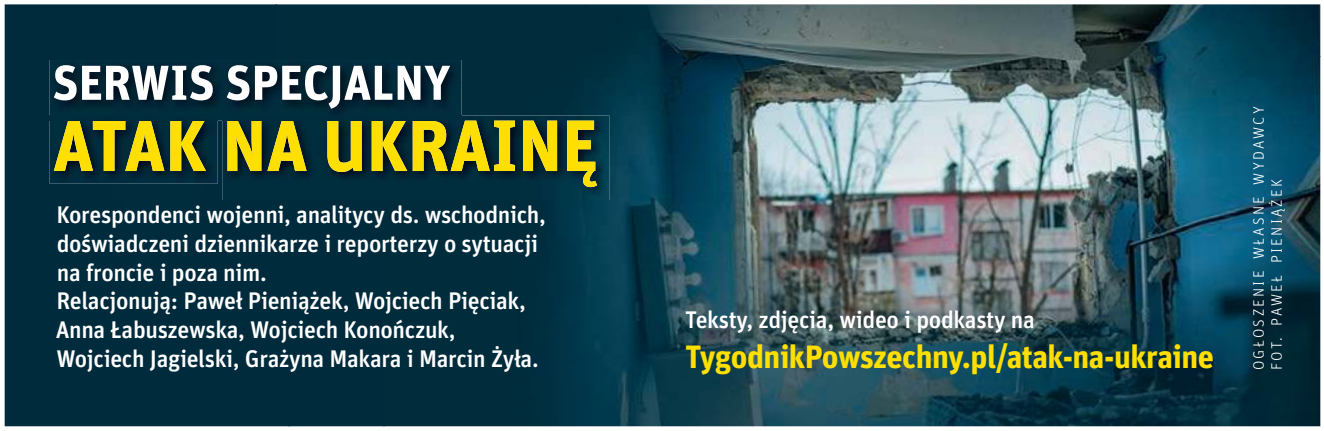

FRANK AUGSTEIN / AP / EAST NEWS

Tłumy na londyńskim lotnisku Heathrow, 22 czerwca 2022 r.

Drogo, coraz drożej

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Niepodległościowe dążenia Szkotów, strajki na kolei, inflacja, chaos na lotniskach – długa jest lista kłopotów premiera Johnsona. Brytyjskie lato nie będzie niefrasobliwe.

Królowa Elżbieta II była jak zwykle uprzejma. „To bardzo miłe znów tu wrócić" – stwierdziła w rozmowie ze szkocką premier Nicolą Sturgeon w Pałacu Holyrood, rezydencji królewskiej w Edynburgu.

Można by sądzić, że ich spotkanie jest niezręczne – dzień wcześniej Sturgeon przedstawiła plan przeprowadzenia referendum w sprawie niepodległości Szkocji i podała jego datę: 19 października 2023 r. Ale mimo groźby rozpadu Zjednoczonego Królestwa, na udostępnionym mediom nagraniu obie panie zdają się być w dobrych humorach i swobodnie pochylają się nad butelką whisky z limitowanej serii, którą Sturgeon podarowała monarchini. O czym mówiono później, nie wiadomo.

Spotkanie było częścią „Królewskiego Tygodnia" – co roku królowa spędza tydzień w Szkocji, uczestnicząc w licznych uroczystościach. Np. teraz, następnego dnia po spotkaniu ze Sturgeon, przyjmowała wojskową paradę w ogrodach Pałacu Holyrood. Sądząc po zdjęciach, sprawiło jej to przyjemność.

Co by się stało, gdyby Szkocja uzyskała niepodległość? Rządząca tutaj Szkocka Partia Narodowa (SNP) zapewnia, że kraj pozostałby monarchią parlamentarną, a królowa formalną głową państwa. Na razie to kwestia teoretyczna, bo i referendum, i jego wynik są niepewne.

Tak czy nie?

Sturgeon podkreśla, że pragnie, by referendum było legalne. Nie interesuje jej takie głosowanie, jak w Katalonii w 2017 r. – uznane za bezprawne przez Madryt i zakończone brutalną interwencją policji oraz aresztowaniem liderów ruchu niepodległościowego.

Ponieważ rząd w Londynie wcześniej zapowiadał, że na kolejne referendum się nie zgodzi – Szkoci głosowali już w 2014 r.; wtedy opowiedzieli się za pozostaniem w Zjednoczonym Królestwie – to szkocki rząd autonomiczny skieruje zapytanie w tej sprawie do brytyjskiego Sądu Najwyższego. Jeśli ten uzna, iż organizacja referendum nie leży w gestii szkockich władz, Sturgeon chce wykorzystać kolejne wybory parlamentarne jako rodzaj plebiscytu. To umocniłoby być może mandat SNP, ale wciąż nie dałoby prawnych podstaw do secesji.

Kwestia prawnego umocowania referendum to tylko jedno z wyzwań przed zwolennikami niepodległości. Przede wszystkim: w tej sprawie Szkoci są nadal podzieleni niemal pół na pół. W ostatnim sondażu – opublikowanym przez dziennik „The Scotsman" dwa dni po deklaracji szkockiej premier – 44 proc. ankietowanych deklarowało głos za niepodległością, a 46 proc. przeciwko. Aż 10 proc. deklarowało niezdecydowanie i to od nich może zależeć wynik.

Jest jeszcze jeden problem, który dla Nicoli Sturgeon może okazać się niemiłym zaskoczeniem: według tego sondażu aż 53 proc. Szkotów zadeklarowało, że w ogóle nie chce głosować w październiku przyszłego roku.

Po pierwsze: inflacja

Tym jednak, co naprawdę zaprząta dziś i Szkotów, i wszystkich Brytyjczyków, jest inflacja. Jako główny problem kraju wskazuje ją czterech na dziesięciu ankietowanych w czerwcowym sondażu Ipsos. Trzech na dziesięciu martwi się stanem gospodarki. Takie kwestie jak jedność państwa, a także pandemia bądź edukacja są niżej na liście zmartwień.

Nie bez powodu – w maju inflacja w Wielkiej Brytanii przekroczyła 9 proc.; to poziom najwyższy od 40 lat. Dla porównania: w maju 2021 r. wynosiła tylko 2,1 proc. Do takiego wzrostu przyczyniają się m.in. rosnące ceny paliw i energii. Wielka Brytania ma też własne problemy, jak negatywne skutki brexitu – np. braki na rynku pracy. Według prognoz Banku Anglii w październiku inflacja ma sięgnąć 11 proc. Wśród krajów z grupy G7 Brytyjczycy z inflacją radzą sobie najgorzej, a jej skutki są już mocno odczuwane przez obywateli.

Gdy pod koniec czerwca przez trzy dni strajkowali pracownicy kolei – był to największy strajk od 30 lat – skomplikowało to życie tysiącom Brytyjczyków. Mimo to jedna trzecia społeczeństwa deklarowała poparcie dla protestujących, a w sondażu Opinium, prowadzonym w trakcie akcji strajkowej, odsetek ten wzrósł do 45 proc.

Teraz strajk rozważają pracownicy ochrony zdrowia i według badania Ipsos mają jeszcze większe, bo 50-procentowe poparcie społeczne. Na dozę sympatii w razie strajku mogą liczyć też nauczyciele, a na nieco mniejsze zrozumienie pocztowcy i obsługa lotnisk (odpowiednio: 36 i 31 proc.). Nie są to rozważania teoretyczne: wszystkie te profesje rozważają protesty lub podjęły już taką decyzję. Strajk zapowiedzieli np. pracownicy British Airways na londyńskim lotnisku Heathrow. Na Wyspach szykuje się „lato niezadowolenia".

Program darmowych posiłków

Postulatem łączącym wszystkie grupy są podwyżki płac, które teraz zostają w tyle za inflacją. Rosnące koszty utrzymania mocno dotykają Brytyjczyków, z których wielu nie może zaspokoić podstawowych potrzeb lub dokonuje wyboru: żywność czy rachunek za prąd.

Skalę problemów pokazał w maju raport The Food Foundation – okazuje się, że jeden na siedmiu dorosłych mieszkańców Wielkiej Brytanii boryka się z niedostatkiem jedzenia. To znaczy, że ponad 7 mln ludzi nie dojada. Ponad 2 mln z nich czasem nie je przez cały dzień. Problem dotyka też ponad 2 mln dzieci. Gwałtowny wzrost tych liczb fundacja obserwuje od stycznia.

Widać też rosnące zapotrzebowanie na paczki z banków żywności, przy czym część potrzebujących prosi tylko o żywność niewymagającą gotowania – bo oszczędzając na energii elektrycznej lub gazie, nie korzystają już ze swoich kuchenek.

The Food Foundation przyznaje, że przed publikacją sprawdzała dane dwukrotnie, bo okazały się tak szokujące. Tymczasem wszyscy są zgodni, że przy rosnącej inflacji i podwyżkach cen energii będzie coraz gorzej. „Społeczeństwo zawodzi w podstawowy sposób. Te dane dotyczące braku bezpieczeństwa żywnościowego są przerażające, gdyż ten problem da się przecież rozwiązać" – komentował prof. Michael Marmot z University College London. Jak? The Food Foundation proponuje m.in., by rząd zwiększył zasiłki adekwatnie do inflacji oraz rozszerzył program darmowych posiłków w szkołach.

Sygnał ostrzegawczy

Sygnał tego, jak bardzo rozczarowani i sfrustrowani są jej wyborcy, rządząca Partia Konserwatywna otrzymała w drugiej połowie czerwca, gdy w dwóch okręgach odbyły się wybory uzupełniające i w obu konserwatyści stracili mandaty. Szczególnie bolesna była utrata mandatu w Wakefield na północy Anglii, gdzie dopiero co w poprzednich wyborach w 2019 r. wygrali z Partią Pracy, która utraciła wówczas ten mandat po raz pierwszy od 1932 r. Jak widać, nie na długo.

Wśród powodów porażki konserwatystów, poza sytuacją gospodarczą, wymienia się osobę premiera – skompromitowanego ciągnącym się za nim skandalem „Partygate" (seria spotkań towarzyskich, organizowanych w siedzibie premiera wbrew restrykcjom pandemicznym). Co prawda Boris Johnson przetrwał niedawno partyjne głosowanie nad wotum nieufności i przez najbliższy rok ma być niezagrożony na stanowisku premiera i szefa partii. Ale głosowanie, w którym ponad 40 proc. konserwatywnych posłów zagłosowało przeciwko niemu, nie uspokoiło ani opinii publicznej, ani jego partii.

Porażka w wyborach uzupełniających to sygnał ostrzegawczy dla torysów, co może stać się z ich mandatami w wyborach parlamentarnych. W tej sytuacji wiele zależy od Borisa Johnsona. Tymczasem on sam wprawdzie przeprosił za swoje zachowanie, ale jednocześnie zapowiada, że chce pozostać premierem po kolejnych wyborach. Wzdycha też, że swojego charakteru nie zmieni, a w sprawie inflacji niewiele ma do zaoferowania. „Jestem całkowicie pewny, że nasza presja inflacyjna z czasem osłabnie i sytuacja zacznie się poprawiać" – stwierdził ostatnio. Z czasem? Niewielka to pociecha dla obywateli.

Na wakacje? Ale jak?

Nastroje wśród Brytyjczyków są więc dość ponure, a pewność siebie konsumentów niższa niż w czasie pandemii czy nawet kryzysu gospodarczego w 2008 r. Coraz częściej mówi się o grożącej recesji. Mimo to – a może dlatego – ludzie, zmęczeni politycznymi skandalami i wysokimi rachunkami, chcieliby zapomnieć na chwilę o trudach codzienności.

Pierwsze w pełni wolne od pandemicznych restrykcji lato okazuje się jednak pod tym względem trudne. Od kilku tygodni media pełne są frustrujących doniesień o chaosie na największych lotniskach: stosach niedostarczonych bagaży, odwołanych lotach, wielogodzinnych kolejkach do odprawy.

Powodem jest zwiększony po pandemii apetyt na podróżowanie przy jednoczesnych niedoborach personelu. Pracowników zwolniono w czasie pandemii, gdy loty były wstrzymane lub ograniczone. Teraz trzeba przeszkolić nowych, a to trwa. Zdenerwowani są wszyscy – i pasażerowie, i szefostwo linii lotniczych, zmuszanych do odwoływania lotów i ponoszenia kolejnych strat, które w końcu miały przecież nadzieję odrobić.

W kraju czy za granicą

W tej sytuacji spędzenie wakacji w kraju może wydawać się sensowne, choć i ta opcja nie jest wolna od ryzyka ze względu na możliwe dalsze strajki na kolei. Jeśli zaś chodzi o wakacyjną wyprawę samochodem, tu barierą może być rekordowa cena paliwa.

Wakacje w kraju pozostają jednak atrakcyjną alternatywą. Według danych organizacji Visit Britain jeszcze z marca, ponad 60 proc. Brytyjczyków zamierzało spędzić wakacje w ojczyźnie, a prawie 40 proc. planowało przynajmniej dwudniowe wycieczki. Rezerwacje na polach kempingowych wzrosły o 40 proc. w porównaniu do i tak rekordowego roku 2021.

W czasie pandemii na zainteresowaniu wakacjami pod namiotem zdecydowało się skorzystać wielu farmerów, organizując na swej ziemi pola kempingowe. W tym roku w Anglii i Walii nieco usztywniono obowiązujące w tej kwestii przepisy, za to w Szkocji władze zalecają „rozsądne tymczasowe wykorzystanie przestrzeni na zewnątrz" aż do września, co ułatwia właścicielom ziemi organizację takich obozowisk.

Szkocja miała być też wiosną jednym z najpopularniejszych turystycznych kierunków w Wielkiej Brytanii. Jak będzie latem, dopiero się okaże. To ważne, bo według prognoz z początku roku od tego sezonu będzie zależeć przetrwanie co trzeciego turystycznego biznesu w Szkocji.

Brytyjskie lato niesie w tym roku wiele wyzwań. ©

Niemcy na rosyjskiej kroplówce

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Fetysz niskich cen, tak powszechny w Niemczech, właśnie upada. To skutek rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Kraj szykuje się na drożyznę i zimowe racjonowanie gazu.

Dla żadnego innego państwa konsekwencje tamtej wojny nie były tak dotkliwe, jak dla Niemiec. Wzrost cen nabierał tempa i przerodził się w hiperinflację. Mieszkańcy europejskiej potęgi musieli zaciskać pasa i godzić się, że ich pieniądze z dnia na dzień tracą na wartości. W najgorszym okresie, by kupić chleb lub ziemniaki, trzeba było przynieść do sklepu worek banknotów.

Kryzys, który przetoczył się przez Republikę Weimarską po I wojnie światowej, zapisał się trwale w niemieckiej pamięci. Ekonomiczne turbulencje nie doprowadziły jedynie do zubożenia milionów ludzi – powszechnie uważa się, że powojenna „smuta" utorowała Adolfowi Hitlerowi drogę do władzy.

Dlatego niemieckie państwo do dziś panicznie boi się wielkich kryzysów i całą mocą stara się im zapobiegać. Berlin grał więc pierwszoplanową rolę, gdy trzeba było ratować strefę euro, oraz gdy jako następstwo wojny w Syrii nastał kryzys migracyjny. Również w pandemii państwo wysupłało z publicznej kasy setki miliardów euro, byle tylko uspokoić i obywateli (drżących o miejsca pracy), i przedsiębiorców (niemogących przewidzieć przyszłości).

Polityczne zaniedbanie

Nie powinny dziwić więc społeczne emocje, które w ostatnich miesiącach wywołują wypowiedzi Roberta Habecka, wicekanclerza i ministra gospodarki oraz klimatu.

Ten polityk partii Zielonych, którego resort ustala ramy rozwoju największej gospodarki w Europie, od początku rosyjskiej inwazji uderza w hiobowe tony i roztacza wizje, które przywołują najtrudniejsze momenty w historii Niemiec. Według Habecka tej zimy może dojść do sytuacji, gdy przedsiębiorstwa będą zmuszone przerwać produkcję, a obywatele będą się zadłużać, żeby ogrzać mieszkania. W Berlinie nie ma bowiem wątpliwości, że skutki wojny w Ukrainie będą miały ogromny wpływ na wypracowany przez powojenne dekady niemiecki dobrobyt.

Za Odrą dojrzewa też refleksja, że nieprzygotowanie Niemiec na obecne kryzysowe czasy to konsekwencja ogromnego zaniedbania całej klasy politycznej. Kraj, który ślepo stawiał na import rosyjskich surowców, wkrótce może przypominać narkomana, który – słaniając się na nogach – będzie żebrać o dawkę. A jedynym dilerem, który dysponuje towarem w wystarczającej ilości i strzykawką w postaci gotowych rurociągów, pozostaje Władimir Putin.

Ma być tanio i dobrze

Wprawdzie pozornie wygodne życie zwykłych Niemców, pani i pana Schmidt, wciąż nie wydaje się zagrożone. Oczywiście również w Niemczech na stacjach benzynowych pada obecnie wiele niecenzuralnych słów. Ceny benzyny i diesla od początku inwazji wystrzeliły w górę i utrzymują się na poziomie ok. 2 euro za litr (trochę ponad 9 zł). To więcej niż w Polsce, ale biorąc pod uwagę siłę nabywczą niemieckiego konsumenta, tankowanie do pełna nie bije po kieszeni tak mocno, jak w innych krajach Unii.

Również ceny w supermarketach rosną, choć wolniej niż w Polsce. Po pierwsze, inflacja jest tu niższa: w czerwcu wyniosła 7,6 proc. Po drugie, potężne sieci supermarketów, jak Lidl, Aldi czy Netto, na rodzimym rynku zawsze sprzyjały oczekiwaniom klientów. A Niemiec lubi, gdy produkt jest dobry i tani. W niemieckim słowniku jest nawet rozróżnienie na coś, co jest *billig* (czyli tanie, ale słabej jakości) oraz *günstig* – to słowo oznacza przystępną cenę i dobrą jakość. Właśnie poszukiwanie produktów, które są *günstig*, jest prawdziwym niemieckim wariactwem. Nawet wśród zamożnych Niemców nie ma nic nietaktownego w śledzeniu sklepowych gazetek, zaznaczaniu promocji, a następnie sporządzaniu skrupulatnych list zakupów. Niemcy nie cierpią przepłacać, a mając do wyboru całą gamę supermarketów, mogą liczyć na to, że sieci zrobią wszystko, aby utrzymać jak najniższe ceny.

W ich zbijaniu pomaga też fakt, że Niemcy, które liczą ok. 83 mln mieszkańców, są także gigantycznym rynkiem zbytu, a wiele produktów trafia również na półki supermarketów rozsianych po całej Europie. Ceny artykułów spożywczych w Niemczech były więc już przed rosyjską inwazją zbliżone do tych w Polsce – przy czym znów warto przypomnieć o przeciętnych zarobkach w Niemczech, kilkukrotnie wyższych.

Nie zmienia to faktu, że choć wolniej niż u nas, to artykuły spożywcze za Odrą też drożeją, i jak wykazują najnowsze badania opinii, ok. 40 proc. Niemców chce ograniczać wydatki na jedzenie i używki.

Szczodre państwo

Nastroje społeczne z miesiąca na miesiąc są więc coraz gorsze. Żeby uspokoić atmosferę, rząd Olafa Scholza wprowadził już kilka programów, głównie mających odciążyć kierowców samochodów. Niemcy lubią mówić o sobie, że są „*Autonation*", narodem motoryzacyjnym, który chętnie kupuje i używa samochody, najlepiej wyprodukowane przez rodzime koncerny.

W Niemczech ok. 20 mln osób dojeżdża do pracy, z czego kilkanaście milionów przemierza tę drogę własnym autem. To z myślą o nich rząd przygotował rabat na tankowanie, czyli na trzy miesiące obniżył podatek paliwowy. Pomysł jednak nie do końca wypalił, bo koncerny paliwowe postanowiły większość oszczędności zostawić na własnych kontach, a ceny paliw zmniejszyły się tylko minimalnie.

Lepiej sprawdził się specjalny bilet na wszystkie krajowe środki transportu publicznego. Za trzy miesiące podróży w okresie czerwiec-lipiec-sierpień wystarczy zapłacić 9 euro. Z wielu doniesień medialnych wyłania się obraz zwiększo-

FABIAN BIMMER / REUTERS / FORUM

Pracownicy portu w Hamburgu strajkują pod banerem „Zatrzymać potwora inflacji". 9 czerwca 2022 r.

nego ruchu w pociągach, ale jeszcze za wcześnie na wyrokowanie, czy i w jakim stopniu przełoży się to na stałą przesiadkę z aut do pociągów i autobusów.

W kryzysie Niemcom jest też łatwiej ze względu na szczodre transfery socjalne. Najubożsi, emeryci, ale także rodziny z dziećmi mają gwarancję comiesięcznych wpływów na konto, a dominująca w koalicji lewicowa socjaldemokracja (SPD) już zapowiada wypłaty jednorazowych premii antykryzysowych. Aby płace nadążały za inflacją, dbają też mocno powiązane z SPD organizacje związkowe, które na tle innych państw kontynentu wciąż wyróżniają się silnymi strukturami i realną siłą w rozmowach z pracodawcami.

Strach przed zimą

Jeśli jest tak dobrze, to dlaczego wicekanclerz Robert Habeck straszy apokaliptycznymi wizjami? Wszystko przez uzależnienie Niemiec od rosyjskich surowców.

Długoletnia ślepa wiara, że ropa, gaz i węgiel z Federacji Rosyjskiej będą trafiały do Republiki Federalnej bez względu na polityczne turbulencje, właśnie gwałtownie wali się w obliczu rzeczywistości. Ilość gazu, który płynie do Niemiec rurociągiem Nord Stream 1, od maja zmniejszyła się drastycznie. Berlin, nie patrząc na cenę, stara się zabezpieczyć wystarczającą ilość surowca na zimę. Kluczowe są rozmowy z Katarem i USA na temat dostaw gazu skroplonego LNG. W wielkim pośpiechu rząd zaczął budowę terminali, gdzie gaz ten będzie mógł zostać wtłoczony w krajowe sieci.

Michał Kędzierski, analityk ds. polityki energetycznej Niemiec w Ośrodku Studiów Wschodnich, uważa groźbę niedoboru gazu w Niemczech za jak najbardziej realną. – Nie wiemy, czy po planowanym na lipiec przeglądzie technicznym rurociągu Nord Stream gaz w ogóle popłynie, a jeśli tak, to w jakich ilościach – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem". – Jeśli Rosja utrzyma przesył na poziomie 40 proc. lub niższym, to scenariusz, w którym Niemcy najpóźniej zimą będą musieli racjonować gaz, będzie coraz bardziej prawdopodobny – dodaje.

Strach przed niedoborami w sezonie grzewczym jest tak wielki, że niemiecki rząd, mający na sztandarach ochronę klimatu, sięga nawet po węgiel.

– Rząd w Berlinie będzie chciał częściowo zawiesić ustawę o odejściu od węgla, dzięki czemu elektrownie węglowe wskazane wcześniej do wyłączenia będą mogły pozostać w rezerwie i w razie potrzeby być wykorzystywane do końca marca 2024 r. – tłumaczy Michał Kędzierski. – Dzięki temu zapasy gazu będzie można skierować głównie do przemysłu i gospodarstw domowych. Połowa mieszkań w Niemczech jest ogrzewanych gazem – podkreśla analityk OSW.

Kędzierski uważa jednak, że nawet największe turbulencje nie powstrzymają Niemców od wyłączenia ostatnich elektrowni atomowych z końcem roku: – Na to jest już za późno. Brakuje paliwa do dalszego funkcjonowania reaktorów, regulacji, zezwoleń, a przede wszystkim woli politycznej.

Co jeszcze zrobi Putin?

Jeśli Rosja zdecyduje się przerwać dostawy gazu, to ceny tego surowca, ale i prądu w niemal wszystkich obszarach wzrosną o ponad 100 procent – tak wynika z analizy firmy Oliver Wyman, do której dotarł branżowy dziennik „Handelsblatt". A ceny energii i tak są już w Niemczech najwyższe w Europie.

I tak, dwuosobowe gospodarstwo domowe wynajmujące mieszkanie będzie musiało liczyć się ze wzrostem rocznych opłat za gaz z 700 do nawet 1900 euro, a prądu z 800 do 1300 euro. Podwyżki dla przeciętnej piekarni mogą oznaczać wzrost z dotychczasowych 5,3 tys. do 16 tys. euro za gaz rocznie, a wyliczenia dla średniego zakładu produkcyjnego przewidują wzrost rocznych kosztów z 32 tys. do 107 tys. euro za gaz oraz z 138 tys. na 270 tys. euro za prąd. Jeśli czarny scenariusz się spełni, to właściciele będą mogli albo załamać ręce i wywiesić białą flagę, albo obciążyć kosztami konsumenta. Wszystko wskazuje, że wielkie podwyżki dopiero nadchodzą.

Wypowiedzi Habecka nie są więc jedynie scenariuszem nowego katastroficznego serialu. To realny scenariusz, którego skutki obejmą nie tylko Niemcy, ale całą Unię Europejską. W końcu nie tylko politycy w Berlinie lub Warszawie, ale we wszystkich europejskich stolicach na świecie poszukują dostępnych surowców, żeby zdążyć ze zmagazynowaniem źródeł energii przed zimą. Naruszenie stabilności Niemiec będzie miało oczywiście ogromne konsekwencje także dla polskiego przemysłu, który jest połączony z rynkiem niemieckim, jak z żadnym innym. Przestój w fabryce w Monachium będzie oznaczał również przerwę w zakładach nad Wisłą.

Najgorszy w tym nadchodzącym energetycznym trzęsieniu ziemi jest fakt, że za sznurki, a raczej za kurki, wciąż pociąga jeden człowiek. A Władimir Putin na pewno nie zawaha się dalej destabilizować sytuacji w Europie. ©

DANIEL MUNOZ / AFP / EAST NEWS

Nowo wybrany prezydent Kolumbii Gustavo Petro i wiceprezydentka Francia Marquez świętują wygrane wybory. Bogota, Kolumbia, 19 czerwca 2022 r.

Od partyzanta do prezydenta

DOMA MATEJKO

Pierwszy raz w historii Kolumbii wybory głowy państwa wygrał człowiek lewicy – Gustavo Petro. Większość Kolumbijczyków chciała zmiany. Ma rewolucję.

Tylko nieliczni mają okazję przeżyć w życiu taką niedzielę, jakiej doświadczył Jahfrann. W swoim centrum dowodzenia, otoczony trzema komputerami, analizował najnowsze dane. Gdy na ekranie wyświetliło się 50 proc., odepchnął się od biurka, zagarnął do tyłu kręcone włosy, zaplótł ręce na karku i znieruchomiał. Także w Kolumbii w tej chwili zapadła cisza. Tam, gdzie padał deszcz, tam, gdzie było gorąco, i tam, gdzie za kilka dni miał spaść śnieg – wszystko zastygło.

Ciszę, która na chwilę sparaliżowała kraj, przerwał dźwięk klaksonów. „Gustavo Petro jest prezydentem!" – krzyknął Jahfrann. Zza okna docierał huk. Połowa i pół procent Kolumbijczyków trąbiła z radości. Pozostałe 47 proc. w ten sposób wyrażało gniew i strach. Tylko nieliczni wstrzymali oddech i czekali na bieg wydarzeń.

Pasmo niespodzianek

W Kolumbii wszystko jest możliwe. To, co jeszcze niedawno było abstrakcją, dziś tworzy rzeczywistość. W drugiej turze wyborów, z poparciem 50,44 proc., wygrał człowiek, który 32 lata temu należał do partyzantki i walczył z rządem. Nigdy wcześniej, przez całe 212 lat niepodległości kraju, żaden reprezentant lewicy nie został prezydentem. Aż do 19 czerwca tego roku. Kampania prezydencka była pasmem niespodzianek. Zwolennicy Petro wierzyli, że wygra już w pierwszej turze, choć taki przypadek miał tu miejsce tylko dwa razy, w 2002 oraz 2006 r., i dotyczył tego samego konserwatywnego prezydenta Álvaro Uribe.

„Mam przygotowany paszport na wypadek, gdy wygra Rodolfo Hernández" – mówiła na tydzień przed wyborami Laura Guerrero, matka Nica Guerrero, który został zastrzelony przez policję w czasie protestów antyrządowych w 2021 r. Prawica z kolei była pewna, że przejdzie do drugiej tury, którą – zgodnie z tradycją – wygra.

Ale wszystko poszło nie tak. W pierwszej turze Petro zdobył 40,32 proc. głosów, a jego kontrkandydatem okazał się właśnie Rodolfo Hernández, multimilioner z miasta Bucaramanga. Federico Gutiérrez, oficjalnie kandydat niezależny, ale z poparciem konserwatystów, zdobył tylko 23,91 proc. Petro miał 11 mln głosów, Rodolfo 10 mln.

Wydaje się, że Kolumbia jest podzielona, jednak Jahfrann, komentator polityczny i fotograf, proponuje inną interpretację: – W pierwszej turze dowiedzieliśmy się, kto chce kontynuacji dawnej polityki, którą utożsamiał Gutiérrez. Takich osób było ok. 3 mln. Natomiast te 76 proc., które łącznie głosowały na Petro lub Hernándeza, chcą czegoś innego.

Po prawej stronie

Przez kolejne trzy tygodnie, między pierwszą a drugą turą, kraj dzielił się na zwolenników i przeciwników skrajnie lewicowego Petro. Rodolfo musiał walczyć nie tyle o głosy poparcia, co o głosy przeciwko Petro – w tym o głosy prawicy. – Wygrana Petro była tak nierealna, że w nocy po wyborach spodziewałem się obudzić i usłyszeć, że po ponownym przeliczeniu głosów wygrał jednak Hernández – mówi Jahfrann.

Dla elit Rodolfo Hernández stał się ostatnią deską ratunku. Konserwatyści i elity finansowe kraju liczyły, że multimilioner zadba o to, żeby ich sytuacja w kraju się nie zmieniła. Bo Petro chce całkowicie zreformować system podatkowy, a reforma najdotkliwiej ma uderzyć właśnie w najbogatszych. Do tej pory te elity pozostawały nietykalne.

– Niektóre zamożne osoby posiadające mieszkania i lokale wyrażały duże obawy, że część z nich może być im zabrana lub nałożone zostaną duże świadczenia z tytułu posiadania – opowiada Ania Róg, która od 13 lat mieszka w Kolumbii. – Jedna ze znajomych z tego grona umieściła mem, który głosił „*We don't share land here*" (My tutaj nie dzielimy się ziemią) i przedstawiał sylwetkę kowboja na koniu.

Dla tej części społeczeństwa Petro jest zagrożeniem dla demokracji, a lewica – niezależnie od kontekstu – jest synonimem dyktatury.

„Nie" dla USA

Do tej pory Kolumbia była jedynym państwem na kontynencie południowoamerykańskim, który od zawsze był wiernym sojusznikiem USA. Wraz z wyborem Petro wśród środowisk popierających aktualny rząd pojawiły się obawy, czy ten kierunek polityki zagranicznej zostanie utrzymany. Petro zapowiedział bowiem m.in. chęć renegocjacji traktatu o wolnym handlu. Według przyszłego prezydenta ułatwienia celne, jakie daje ten traktat dla eksportu towarów do USA, były wykorzystywane przez handlarzy narkotyków, którzy przemycali do Stanów kokainę.

Choć Biały Dom już zapowiedział, iż dwustronny traktat nie podlega negocjacjom, prawica obawia się, że obecność Petro w Casa Nariño (pałacu prezydenckim) zachwieje relacjami z Amerykanami.

Jeszcze przed drugą turą Petro spotkał się z reprezentantami amerykańskich spółek wydobywających ropę na terenie Kolumbii. Zapewnił ich, że jego prezydentura nie zmieni nic, jeżeli chodzi o aktualne umowy, ale zapowiedział też, że nie zamierza podpisywać kontraktów z nowymi kontrahentami. O ile aktualny rząd chciał zwiększyć eksport ropy do USA, Petro zamierza całkowicie zakończyć eksploatację złóż naftowych i kopalnianych w ciągu następnych 12 lat. Jednym z głównych postanowień rządu Petro jest bowiem ochrona środowiska.

Jego stanowisko może wpłynąć także na sytuację energetyczną w Polsce. Polski rząd, jeszcze przed kolumbijskimi wyborami, zapowiedział import ropy z Kolumbii, a w czerwcu poinformował o planach kupna kolumbijskiego węgla.

Wszyscy zbrodniarze

Dalszy los gospodarczy kraju to niejedyne zmartwienie tych, którzy nie głosowali na lewicowego kandydata. W Kolumbii od 60 lat trwa wojna domowa, w której młody Gustavo Petro walczył przeciw rządowi. Teraz jest głową państwa. Kolumbijska rzeczywistość lubi takie zwroty akcji.

„Gdybyśmy chcieli uczcić minutą ciszy każdą ofiarę konfliktu zbrojnego, Kolumbia musiałaby milczeć przez 17 lat" – powiedział Francisco de Roux, przewodniczący tutejszej Komisji Prawdy (Comisión de la Verdad). Komisja zajmowała się m.in. zbieraniem dowodów i informacji o przebiegu wojny domowej. To, o czym przez lata nie mówiło się głośno, teraz jest dostępne dla wszystkich na 896 stronach raportu końcowego, który został opublikowany w miniony wtorek, 28 czerwca.

W konflikcie zbrojnym biorą udział rząd, partyzantka i grupy paramilitarne. Pośrodku jest handel narkotykami, przynoszący gigantyczne zyski wszystkim. W czasie, gdy Petro był senatorem, ujawnił związki sił paramilitarnych i grup narkotykowych z wieloma senatorami z prawicy. Tym zyskał sobie zaufanie tych Kolumbijczyków, którzy wiedzą, że za konflikt nie odpowiada wyłącznie lewicowa partyzantka – mimo że konserwatywny rząd Uribe sprawę przedstawiał inaczej.

W Kolumbii nie ma dobrych i złych. Są rodziny ofiar i oprawcy. Podczas gdy tysiące ludzi ginęło z rąk partyzantów, a 34 tys. dzieci zostało przymusowo wcielonych do guerrilli, wojsko przebierało cywilów w mundury partyzantów FARC, by następnie strzelić im w tył głowy. Wszystko za premię lub dodatkowe dni wolnego. Dziś wiadomo o 6402 tzw. fałszywie rozpoznanych (*falsos positivos*), czyli ofiarach, które zgładzono w ten sposób.

Przez ostatnie 52 lata w Kolumbii zginęło łącznie 260 tys. cywilów. Tylko w czasie protestów antyrządowych, jakie miały miejsce w 2021 r. w Cali, policja oraz jednostki specjalne ESMAD zastrzeliły 80 osób. Młodzi ludzie, w tym wspomniany Nico Guerrero, protestowali przeciw nierównościom społecznym i reformie podatkowej, która najmocniej miała uderzyć w najuboższych i klasę średnią.

Prezydent w berecie

Gustavo Petro w latach 70. XX w. należał do partyzantki M-19. Była to grupa stworzona przez intelektualistów oraz studentów. Byli charakterystyczni: ubierali się w stroje khaki i nosili berety.

W 1985 r. grupa M-19 przeprowadziła atak na budynek Trybunału Sprawiedliwości, w wyniku którego zginęło 101 osób. W trakcie kampanii prezydenckiej przeciwnicy Petro szukali jego powiązań z tamtymi wydarzeniami. On sam zapewnia, że nie był zaangażowany w tamtą akcję, i twierdzi, że w momencie ataku był torturowany przez wojsko 12 kilometrów od miejsca masakry.

Pod koniec lat 80. Petro jako przedstawiciel M-19 brał udział w negocjacjach z rządem, które doprowadziły do rozwiązania tej grupy partyzanckiej. Byli jej członkowie weszli w skład konstytuanty i mieli wpływ na kształt konstytucji z 1991 r., która jest uważana za jedną z najlepszych ustaw zasadniczych na kontynencie.

Swoje doświadczenie z tamtych negocjacji Petro chce wykorzystać w rozmowach pokojowych z Ejército de Liberación Nacional (ELN), która jest obecnie najbardziej aktywną partyzantką w regionie. Już dzień po wyborach ELN wyraziła chęć wznowienia rozmów, które zostały zerwane w czasie prezydentury aktualnego szefa rządu, Ivána Duque.

Kolumbia na nowo

Większej rewolucji nie będzie. W Kolumbii już stały się rzeczy niemożliwe. Świadczy o tym chociażby fakt, że urząd wiceprezydentki będzie sprawowała ciemnoskóra kobieta, Francia Márquez.

– Niemożliwe jest możliwe – mówi Jahfrann. – Dzisiaj widzieliśmy zdjęcia Petro, który spotkał się ze swoim największym politycznym wrogiem, byłym prezydentem Álvaro Uribe. To coś, czego nigdy nie spodziewalibyśmy się zobaczyć.

Mimo że przeciwnicy Petro mają obawy, że lewicowy rząd przyjmie prędzej czy później charakter autorytarny i zgotuje im drugą Wenezuelę, to dziś Petro pisze własną historię. W jego gabinecie zasiądą lewicowcy, jak i znani prawicowi politycy. Zmiany, jakie ma w planach, będą duże. Ale ostatnie miesiące pokazały, że Kolumbijczycy tego właśnie chcą. ©

Generał i prezydent Leopoldo Galtieri – jeden z następców gen. Videli – przyjmuje Jana Pawła II w Buenos Aires w czerwcu 1982 r. Gdy junta upadła, Galtieri i Videla zostali osądzeni i skazani na więzienie.

TELEFON Z WATYKANU

DAMIAN NOWICKI

Ponad 40 lat temu papież Jan Paweł II spróbował zapobiec wojnie między dwoma krajami. Jak to się wówczas udało?

Koniec grudnia roku 1978 był niespokojny w południowej części subkontynentu amerykańskiego. Żołnierze po obu stronach granicy argentyńsko-chilijskiej postawieni byli w stan najwyższej gotowości bojowej. Wydawało się, że nic nie może zatrzymać rozlewu krwi w rejonie strategicznego Kanału Beagle, na odległym krańcu obu tych państw – nazwanym Ziemią Ognistą.

Konflikt o cieśninę

Jak do tego doszło? Aby to wyjaśnić, cofnijmy się o ponad stulecie.

Relacje między Argentyną a Chile nigdy nie należały do łatwych, szczególnie w kwestii granic – i sytuacja taka istniała właściwie od chwili, gdy w pierwszej połowie wieku XIX, w niewielkim odstępie czasu, oba kraje uzyskały niepodległość od królestwa Hiszpanii – Argentyna w 1816 r., Chile w 1818 r. W ich sporze granicznym szczególna uwaga koncentrowała się na Ziemi Ognistej,

czyli południowych rubieżach kontynentu.

Przez chwilę wydawało się, że konflikt będzie można zakończyć. 23 lipca 1881 r. oba kraje podpisały traktat, który ustalał finalny (jak sądzono) przebieg granicy i zasady neutralnego funkcjonowania Cieśniny Magellana – w tamtym czasie, zanim jeszcze w 1920 r. otwarto Kanał Panamski, była ona główną trasą żeglugową z Atlantyku na Pacyfik, a więc miejscem o znaczeniu strategicznym w skali wręcz globalnej. Traktat z Buenos Aires gwarantował „na wieczne czasy" swobodę międzynarodowej żeglugi w tym rejonie i zakazywał wznoszenia na brzegach cieśniny umocnień wojskowych.

Jednak kolejne argentyńskie rządy nie porzuciły marzeń o dominacji w regionie. W 1904 r. zgłosiły żądania, które dotyczyły trzech wysp: Lennox, Picton i Nueva. Były one niezaludnione, ale znajdowały się w ważnym miejscu, bo na wschodnim krańcu Kanału Beagle. Panowanie nad nimi dawało kontrolę nad żeglugą między Oceanem Spokojnym i Atlantyckim. Chile odmówiło spełnienia roszczeń Argentyny, co zapoczątkowało serię spięć, którą historycy nazwali „Beagle conflict" (konflikt o Kanał Beagle).

Spór ciągnął się przez kolejne dekady, aż w 1978 r. ówczesny argentyński dyktator, generał Jorge Rafael Videla, postanowił zakończyć go raz na zawsze. Videla uznał, że traktat sprzed prawie wieku źle zinterpretowano, i że trzy wyspy powinny należeć do jego kraju. Zmianę granicy postanowił dokonać przy pomocy wojska.

Operacja Soberanía

W grudniu 1978 r. wojna argentyńsko-chilijska była już bardzo prawdopodobna. Oba państwa zerwały stosunki dyplomatyczne i postawiły swoje armie w stan najwyższej gotowości. Próby pokojowego rozwiązania, które przewidywało prawo międzynarodowe, zakończyły się fiaskiem.

Videla odrzucił też propozycję mediacji ze strony prezydenta USA Jimmy'ego Cartera i ONZ. W telewizyjnym przemówieniu wytłumaczył obywatelom, że nie może się zgodzić na rozmowy ze względu na obecność w nich brytyjskich dyplomatów, których nazwał „wrogami okupującymi argentyńskie Malwiny". Argentyńska junta zgłaszała też roszczenia wobec tych położonych przy argentyńskim wybrzeżu wysp, które – pod nazwą Falklandy – należały (i należą do dziś) do Wielkiej Brytanii.

Videla miał już roboczą wersję deklaracji wojny i plan ataku, któremu nadano kryptonim „Operación Soberanía" (hiszp. „Operacja Suwerenność"). Według tego planu 22 grudnia, między godziną dwudziestą a północą, żołnierze argentyńskiej piechoty morskiej mieli zająć kluczowe wyspy oraz wyspy wokół Przylądka Horn (Freycinet, Hershell, Deceit i Wollaston) oraz zabezpieczyć wschodnie ujście Kanału Beagle.

W zależności od reakcji Chilijczyków, Videla planował kontynuować działania wojenne lub się zatrzymać. Najbardziej agresywny scenariusz zakładał rozpoczęcie inwazji na kontynentalne Chile o trzeciej rano 23 grudnia: argentyński Piąty Korpus Armijny zająłby Punta Arenas i Puerto Natales (dwa największe miasta chilijskiego regionu Ziemi Ognistej), a argentyńskie lotnictwo miało uderzyć na chilijskie siły powietrzne. Argentyńczycy szacowali, że podczas tej wojny może zginąć 30-50 tys. ludzi. Argentyna zażądała też od Peru, swojego sojusznika, by jego armia uderzyła na północ Chile, ale Peru odmówiło.

Przygotowania trwały też po drugiej stronie – np. chilijski biochemik Eugenio Berríos miał pracować nad planem zatrucia wody w Buenos Aires w przypadku wybuchu wojny.

W dniu planowanego ataku silna burza uniemożliwiła desant morski i operację przesunięto o dobę. Ale wtedy, na sześć godzin przed lądowaniem, „Soberanía" znów została wstrzymana. Czynnikiem *deus ex machina* okazał się Jan Paweł II, nieco ponad dwa miesiące wcześniej wybrany papieżem. Osobiście zadzwonił do generała Videli.

Interwencja

Zaniepokojony sytuacją i poproszony o interwencję przez prezydenta Cartera, papież powiedział w rozmowie z argentyńskim dyktatorem, że jest gotów zrobić wszystko, aby nie dopuścić do wybuchu wojny. Nie wiadomo, ile trwała ich rozmowa, ale po jej zakończeniu do światowych mediów trafiły dwie informacje: że Watykan jest gotów do mediacji, i że w drodze do Buenos Aires jest już papieski wysłannik kardynał Antonio Samorè (jeden z najbardziej doświadczonych watykańskich dyplomatów).

Działanie papieża było nie tylko zręczne – Videla podawał się za głęboko wierzącego katolika, więc trudno mu było odmówić zwierzchnikowi Kościoła – ale też skuteczne. Junta zezwoliła na papieską mediację i zamiast wznowić operację militarną przy następnej możliwej okazji, odwołała ją całkowicie.

Samorè zjawił się w Buenos Aires 26 grudnia. W ciągu następnego tygodnia pięciokrotnie spotkał się z Videlą oraz dwukrotnie poleciał do Chile na rozmowy z prezydentem Augusto Pinochetem. Po każdej odbytej rozmowie raportował telefonicznie o ich przebiegach Watykanowi, a następnie odprawiał mszę i spotykał się z dziennikarzami.

W ramach tej „dyplomacji wahadłowej" Samorè latał między Santiago de Chile a Buenos Aires, dopóki warunki i cele mediacji nie zostały osiągnięte, wraz z podpisaniem Aktu z Montevideo 9 stycznia 1979 r.: w obecności prezydenta Urugwaju i kardynała Samorè ministrowie spraw zagranicznych Chile i Argentyny podpisali dokument, w którym oba państwa zobowiązywały się do bezwarunkowego udziału w mediacjach.

Obie strony zgodziły się też nie stawiać żadnych ograniczeń dotyczących negocjacji i „nie sprzeciwiać się wyrażanym przez Stolicę Apostolską ideom w celu przyczynienia się do pokojowego i akceptowalnego rozwiązania".

Propozycja

Dziś historycy oceniają, że watykańskie mediacje miały cztery fazy.

Pierwsza była najkrótsza i najbardziej krytyczna – miała zapobiec wojnie i uzyskać zgodę na dalszą deeskalację. Druga faza zaczęła się w maju 1979 r., gdy negocjacje przeniosły się do Rzymu. 12 grudnia 1980 r. Jan Paweł II przyjął obie delegacje i przekazał im swoją propozycję rozwiązania sporu. Warunki opracowano w tajemnicy i nie planowano ich ujawniać, aby uniknąć debaty publicznej, która mogłaby ograniczyć swobodę działania obu rządów.

Ku zaskoczeniu prawie wszystkich uczestników negocjacji, 22 sierpnia 1981 r. argentyńska gazeta „La Nación" opublikowała warunki papieskiej propozycji. Chile miało zachować wszystkie wyspy, a Argentyna byłaby uprawniona ↦

FRANÇOIS LOCHON / GETTY IMAGES

JAN WOITAS / DPA / PAP

Latarnia morska na północnym brzegu Kanału Beagle. Ziemia Ognista w pobliżu argentyńskiego miasta Ushuaia na granicy z Chile.

↦ do utrzymywania pewnych ograniczonych obiektów (wspólne stacje radarowe i pogodowe) na niektórych wyspach oraz otrzymałaby ważne prawa nawigacyjne. Najważniejsze było jednak stworzenie obszaru oceanicznego zwanego „Morzem Pokoju", na którym Chile musiałoby dzielić z Argentyną równy udział w eksploatacji zasobów, badaniach naukowych i ochronie środowiska.

Mimo zastrzeżeń Chile przyjęło propozycję papieską, natomiast Argentyna nigdy oficjalnie na nią nie odpowiedziała. W tym samym roku przekazała watykańskim mediatorom notę, w której wyraziła obawy co do jej treści, zarówno z powodu nieprzyznania Argentynie żadnych wysp, jak i dlatego, że projekt watykański pozwalał Chile na utrzymanie tak dużej obecności na Atlantyku.

Wojna (o Falklandy) i rewolucja

Trzecia i najdłuższa faza trwała od początku 1981 r. aż do grudnia 1983 r. Wspomniane wyżej fiasko papieskiej propozycji sprawiło, że negocjacje stanęły w martwym punkcie, a napięcie między oboma krajami znowu zaczęło narastać. W marcu 1982 r. argentyński okręt wojenny zakotwiczył u brzegu wyspy Deceit, należącej do Chile, i pomimo chilijskich żądań odmówił opuszczenia zatoki.

Miesiąc później, 2 kwietnia 1982 r., Argentyna najechała Falklandy. Równolegle z inwazją na to brytyjskie terytorium, plan argentyńskich wojskowych obejmował też sporne wyspy nad Kanałem Beagle. Brygadier Basilio Lami Dozo, szef argentyńskiego lotnictwa, stwierdził w wywiadzie dla argentyńskiego magazynu „Perfil", że „Chile będzie następne".

Stało się inaczej. Wbrew ambitnym planom junty, Argentyna poniosła szybką i bolesną klęskę w starciu z Wielką Brytanią. Gdy już było wiadomo, że Argentyńczycy przegrają, 14 czerwca 1982 r. Jan Paweł II złożył niezaplanowaną wizytę w Buenos Aires. Swoją obecnością chciał zapobiec dalszej eskalacji – zarówno między Argentyną i Wielką Brytanią, jak też Argentyną i Chile, w związku z wciąż niezakończonymi negocjacjami.

Mediacje wznowiono 15 września 1982 r., ale postępowały powoli. Chile wykazywało większą gotowość do negocjowania jakichś modyfikacji papieskiej propozycji, ale wojenna klęska sprawiła, że gen. Videla stracił społeczne poparcie i jego rząd nie był w stanie osiągnąć porozumienia w sprawie Ziemi Ognistej, które by uzyskało poparcie społeczne.

Ostatnia faza negocjacji zaczęła się tuż po upadku argentyńskiej junty, gdy w grudniu 1983 r. Raúl Alfonsín został demokratycznie wybranym prezydentem Argentyny. Sformowany przez niego rząd zaangażował się w jak najszybsze rozwiązanie konfliktu z Chile. Aby uprościć negocjacje, spotkania delegatów odbywały się częściej w Ameryce Południowej niż w Rzymie.

W kwietniu 1984 r. watykański sekretarz stanu (odpowiednik ministra spraw zagranicznych) Agostino Casaroli poprosił osobno delegacje obu rządów o przedstawienie swoich oczekiwań na temat finalnego rozwiązania. Opierając się na nich, Casaroli sformułował ostateczną ofertę Watykanu. Chile ponownie zaakceptowało warunki, natomiast Alfonsín przeprowadził referendum konsultacyjne. Według oficjalnych wyników 82,6 proc. głosujących, czyli ponad 10 mln Argentyńczyków opowiedziało się za proponowanym przez papieża traktatem pokojowym.

Papież pokoju

W ciągu następnych ośmiu miesięcy osiągnięto porozumienie, a treść Traktatu o Pokoju i Przyjaźni między Chile a Argentyną sformułowano 18 października 1984 r., natomiast 2 maja 1985 r. w Watykanie szefowie MSZ obu państw w obecności Jana Pawła II podpisali traktat (za nim wszedł w życie, przeszedł jeszcze długą drogę przez wszystkie szczeble legislatury obu krajów).

Uznawał on postanowienia traktatu z 1881 r., a tym samym przynależność do Chile „na wieki" i „w imię Boga Wszechmogącego" wysp Lennox, Picton i Nueva. Z kolei Argentyna otrzymała w zamian więcej wód terytorialnych w obszarze Kanału Beagle. Traktat rozwiązał również kilka innych nie mniej ważnych kwestii, jak suwerenność nad pozostałymi wyspami Archipelagu Ziemi Ognistej oraz granice morskie na południe od Przylądka Horn i dalej; zawierał też obszerny zbiór przepisów dotyczących rozwiązywania sporów, prawa żeglugi statków oraz dokładną definicję granicy w Cieśninie Magellana. Tego samego dnia, 2 maja 1985 r., armie obu krajów wydały rozkaz powrotu do stanu rozmieszczenia z początku 1977 r.

Dwa lata później, w marcu-kwietniu 1987 r., podczas dwutygodniowej podróży do Ameryki Południowej Jan Paweł II odwiedził zarówno Chile, jak i Argentynę – i wszędzie witano go jako „papieża pokoju".

Kardynał Antonio Samorè nie doczekał wyniku swoich starań – zmarł na atak serca w Rzymie w 1983 r. Kilka lat później, w geście wdzięczności za jego wysiłki, Przełęcz Puyehue – jedna z głównych górskich przełęczy w południowych Andach, wzdłuż granicy argentyńsko-chilijskiej – została przemianowana na Przełęcz Antonia Samorè.

© DAMIAN NOWICKI

Korzystałem m.in. z: Alejandro Corbacho „Predicting the Probability of War During Brinkmanship Crises: The Beagle and the Malvinas Conflicts", Mark Laudy „The Vatican Mediation of the Beagle Channel Dispute: Crisis Intervention and Forum Building", Simon de Collier, William F. Sater „A history of Chile, 1808-1994" oraz z mediów hiszpańsko- i anglojęzycznych.

TOMASZ

Stawiszyński:
I kto tu jest reptilianinem?

Niedawna wypowiedź Edyty Górniak, która autorytatywnie orzekła, że ludzka powłoka nikogo jeszcze z automatu nie czyni człowiekiem, pod nią bowiem kryć się mogą molekuły subtelnych ciał niemających z człowieczeństwem zgoła nic wspólnego, wywołała w mediach społecznościowych intensywne poruszenie. Nie jest to jednak w żadnym razie jakaś szczególna rewelacja. O tym, że są wśród nas jaszczuroidalne istoty, które cechuje zmiennokształtność – czyli zdolność do przybierania dowolnej postaci, w tym do złudzenia przypominającej *homo sapiens* – od lat naucza przecież David Icke. Ten były dziennikarz sportowy z Wielkiej Brytanii doznał kiedyś specyficznej iluminacji, dzięki której ujrzał rzeczy takimi, jakie są, nie zaś takimi, jakimi starają się je uczynić rozmaite siły po kryjomu władające ziemskim globem. W tym także – oczywiście – rzeczeni reptilianie, drapieżne kreatury przybyłe przed tysiącami lat z odległej konstelacji Draco, przebiegłe, żerujące na ludzkości w sposób bezwzględny i totalny.

Chronologicznie i logicznie rzecz ujmując, wiedzę o tym akurat spisku przekazał Icke'owi – tak przynajmniej on sam twierdzi – pewien niesłychanie charyzmatyczny zuluski szaman Credo Mutwa (polecam – istnieją z jego prelekcjami nagrania na YouTubie), niemniej to właśnie Icke sprawę spopularyzował i uczynił ją dostępną dla masowego odbiorcy. Efekty są takie, że – to dane z 2013 r., zasadnie można założyć, iż dziś wskaźniki wzrosły – w samych Stanach Zjednoczonych w istnienie tej osobliwej konspiracji wierzy kilkanaście milionów ludzi. Są na jej temat liczne książki, a na rozmaitych stronach internetowych i w serwisach streamingowych z łatwością znaleźć można nie tylko precyzyjne instrukcje, jak reptilianina zidentyfikować, ale także filmiki, na których – o czym głęboko przekonani są ich autorzy – uwieczniono spontaniczne gadzie przeistoczenia. Na moim ulubionym widać, jak ochroniarz Baracka Obamy (jednego z najważniejszych reptilian, jak wiadomo) dosłownie na mgnienie oka ujawnia niepokojąco obłe rysy twarzy, by za moment znowu stać się konwencjonalnie człekokształtnym agentem Secret Service.

Zwolenników tezy o istnieniu reptilian nie przekonuje oczywiście argumentacja, że na tym, podobnie jak na wszystkich innych filmikach krążących w sieci z mniej lub bardziej sensacyjnymi opisami, widać w najlepszym razie jakieś drobne załamania światła, w najgorszym zaś są to gołym okiem widoczne fejki. Nie przekonuje ich również żaden inny materiał dowodowy, a raczej jego brak. Na tym właśnie polega istota myślenia spiskowego, że brak dowodów liczy się jako dowód. W tym przypadku na to, jak bardzo potężni są reptilianie (a także iluminaci, masoni, Żydzi, cykliści *et consortes*), bo przecież skoro tak skutecznie zacierają ślady swojej obecności, to faktycznie muszą dysponować nieprawdopodobną potęgą. Bezwzględnie logiczne, nieprawdaż?

Podobnie jak bezwzględnie logiczny jest inny scenariusz, w pewnych kręgach zwolenników teorii spiskowych czasami rozważany. Taki mianowicie, że Icke, choć oficjalnie reptilian demaskuje, w gruncie rzeczy sam się do jaszczurzej nacji zalicza. Albo przynajmniej pozostaje na jej usługach. Przesłanką ma tu być jego cokolwiek niepoważny wizerunek oraz przyczepiona mu – ale i noszona przezeń z dumą – łatka propagatora teorii spiskowych. O to wszak właśnie – dowodzą nieufni wobec Icke'a badacze-amatorzy – przebiegłym jaszczurom chodzi: żeby samą ideę jaszczurczego bractwa ośmieszyć i umieścić na półce z napisem „fantazje i teorie spiskowe". Słowem, skompromitować ją w oczach większości. Niebagatelne znaczenie ma tutaj również fakt, że Icke jest osobą rozpoznawalną, znaną na całym świecie, zarabiającą na książkach i wykładach niemałe pieniądze, a zatem... przynależącą bez wątpienia do elity. W myśl zaś ortodoksyjnych ujęć tego tematu, reptilianie to bez wyjątku elity czy też raczej należałoby powiedzieć: elity to bez wyjątku reptilianie. Icke odpowiada na to wprawdzie, że jest akurat odwrotnie, to znaczy ci, którzy twierdzą, że to on jest reptilianinem albo agentem reptilian, są właśnie reptilianami próbującymi zdeprecjonować tego, kto ich demaskuje. Ale czy faktycznie jest to przekonująca linia obrony? Na to pytanie każdy musi sobie odpowiedzieć sam.

Oczywiście, ja nic nie sugeruję, zwracam jedynie uwagę, że i w przypadku Edyty Górniak – niewątpliwie zaliczającej się do finansowej i kulturowej elity, a zarazem mającej tu i tam wizerunek osoby cokolwiek ekscentrycznej – można by sformułować podobną wątpliwość, co w przypadku Icke'a, nieprawdaż?

No więc kto tutaj tak naprawdę jest reptilianinem, a może reptilianką, hm? ©

POŻEGNANIE

Panom Profesorom

Andrzejowi i Fryderykowi Zollom

serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Żony i Matki

Ś.† P.

Wiesławy Zoll

składa

Tygodnik Powszechny

NAUKA

ZABAWIĆ SIĘ JAK ZWIERZĘ

Zużywa energię, zwiększa ryzyko urazu, sprawia, że jest się bardziej widocznym dla drapieżnika. Dlaczego więc tak wiele zwierząt oddaje się zabawie?

MARTA ALICJA TRZECIAK

BRIAN BEVAN / ARDEA.COM / EAST NEWS

Niełatwo wyjaśnić, dlaczego zwierzęta się bawią. Mamy nawet duży kłopot ze zrozumieniem, czym – z naukowego punktu widzenia – jest zabawa i jak wygląda ona u organizmów ewolucyjnie od nas odległych. Blisko spokrewnione z nami ssaki, których zachowania często rozumiemy intuicyjnie, nie nastręczają zbyt dużych trudności interpretacyjnych. Obserwowanie udających walkę czy goniących się szczeniąt samo w sobie jest dla nas zabawne, ponieważ rozumiemy, co robią te zwierzęta, i spodziewamy się, jak się przy tym czują. Ale psy to przykład szczególny: te ssaki podlegały długotrwałemu procesowi udomowienia, przez co ich mimika, mowa ciała i intencje są dla nas bardzo czytelne. A co z kangurami, sikorami, jaszczurkami czy rybami? Czy one też mogą się bawić? A jeśli tak – to w jaki sposób mamy to stwierdzić?

Lisia przesada

Jedną z najszerzej akceptowanych definicji zabawy, opisującą tę czynność z perspektywy ewolucji i etologii (nauki o zachowaniach zwierząt), sformułował Gordon M. Burghardt z Uniwersytetu Tennessee. Zgodnie z tą koncepcją istnieje pięć cech, na podstawie których możemy rozpoznać u zwierząt zabawę. Po pierwsze, podejmowana przez zwierzę czynność powinna być niefunkcjonalna lub nie w pełni funkcjonalna. Kiedy wrona zjeżdża z ośnieżonego dachu lub samochodu, nie robi tego, by osiągnąć jakiś praktyczny cel – nie szuka pokarmu, nie ucieka przed drapieżnikiem; robi to po prostu dla przyjemności. To prowadzi do drugiej składowej definicji Burghardta: zabawa jest czynnością przyjemną, spontaniczną i dobrowolną. Kiedy cielęta zaczynają nagle wysoko podskakiwać i ścigać się same ze sobą, nie robią tego, ponieważ ktoś je przegonił, lecz dlatego, że same nabrały na tę czynność ochoty i – mamy prawo przypuszczać – czerpią z niej zadowolenie. Oczywiście często trudno ocenić, co zwierzęciu sprawia radość i czy w ogóle taką emocję dany gatunek może odczuwać.

Trzecia charakterystyczna cecha zabawy to przesada lub brak typowego kontekstu dla jakiegoś zachowania. Przesadne są na przykład „walki", które toczą się pomiędzy młodymi lwiątkami, wilczętami czy lisiętami. Towarzyszące im warknięcia, wyolbrzymione gesty i ruchy są niewspółmierne do realnego efektu; w tych zachowaniach więcej jest teatralności niż faktycznej krzywdy wyrządzanej „przeciwnikowi".

Burghardt uważa, że zabawę charakteryzują jeszcze dwie cechy: powtarzalność oraz rozpoczynanie jej w warunkach pozbawionych stresu.

Większość prób wyjaśnienia sensu zabawy sprowadza się do dwóch rodzajów podejść: odpowiedzi na pytanie, jakie korzyści przynosi zabawa, lub ustalenia, w jaki sposób się rozwinęła. Przyjrzyjmy się najpierw tej drugiej kwestii.

Nadwyżka zasobów

Część badaczy opiera genezę zabawy na tzw. teorii nadwyżkowych zasobów. Zgodnie z nią, czynność ta miałaby się rozwinąć spontanicznie u tych zwierząt, które spełniają co najmniej dwa kryteria.

Po pierwsze, mają wystarczająco wysokie tempo metabolizmu, by od czasu do czasu posiadać nadwyżki energetyczne. Jest to charakterystyczne zwłaszcza dla osobników młodych, będących ciągle na garnuszku i pod opieką rodziców, które nie muszą zużywać energii w tych wszystkich zachowaniach, które zapewniają dorosłym przetrwanie (żerowanie, obrona terytorium, czuwanie itd.). Po drugie, metabolizm powinien być na tyle intensywny, by umożliwić zaawansowaną aktywność oraz realizację złożonych zachowań; również takich, które wymagają pracy mózgu (koordynacja ruchów, orientowanie się w przestrzeni, szybkie reagowanie na bodźce zmysłowe itp.).

Po uwzględnieniu tych kryteriów łatwiej zrozumieć, dlaczego zabawę kojarzymy przede wszystkim ze zwierzętami stałocieplnymi, zwłaszcza ssakami (głównie młodymi, które mają najwyższe tempo metabolizmu), i to takimi, które nie żyją w ekstremalnie trudnych warunkach środowiska i nie muszą zużywać całej energii na zabezpieczenie swojej egzystencji. Mogą więc przeznaczyć ją na coś, co nie da im natychmiastowych korzyści.

Podobne uzasadnienie sprawdziłoby się w odniesieniu do zwierząt udomowionych przez człowieka, u których także często obserwujemy zabawę. To opiekun zabezpiecza ich podstawowe potrzeby. Zwierzęta udomowione znane są z tego, że bawią się nawet po osiągnięciu dojrzałości, co w przypadku gatunków żyjących na wolności jest znacznie rzadsze.

Korzyści z zapasów

Teoria nadwyżkowych zasobów sugeruje zatem, że zabawa wyewoluowała u tych zwierząt, które mogły sobie na nią energetycznie pozwolić. Nie oznacza to bynajmniej, że czynność ta służy tylko do zużycia nadmiaru energii. Przeciwnie, wiele badań wskazuje, iż przynosi ona szereg korzyści, zwłaszcza u tych zwierząt, które żyją długo i muszą opanować złożone umiejętności, zachowania społeczne oraz zdolności percepcyjne.

Zwierzęta społeczne czerpią ogromne korzyści z zabawy, ponieważ pozwala ona ćwiczyć komunikację, zwracanie na siebie uwagi innych członków stada, ustalanie hierarchii, a także konfrontowanie się z innymi osobnikami bez robienia sobie nawzajem krzywdy. Co najmniej od lat 40. XX w. (kiedy to w „The American Naturalist" ukazała się publikacja Franka A. Beacha) wiemy też, że zabawa pozwala młodym zwierzętom ćwiczyć umiejętności kluczowe dla ich przyszłego przetrwania. To dlatego młode antylopy ćwiczą ucieczkę i wysokie skoki, koty domowe skradanie się, a gepardy – pogoń za ofiarą. Funkcja ta zdaje się zresztą oczywista również u ludzi, u których – w zabawach dzieci – bardzo często pojawiają się motywy naśladowania życia: domowego, zawodowego, a także interakcji społecznych.

Wydaje się jednak, że ćwiczenie ważnych, życiowych umiejętności w toku zabawy nie odbywa się jedynie na zasadzie utrwalania. Zdaniem Marca Bekoffa z Uniwersytetu Kolorado w Boulder chodzi raczej o ćwiczenie różnych scenariuszy, kreatywność i zdolność do reagowania na różne wyzwania, które szykuje dorosłe życie. Innymi słowy, według badacza zabawa pomaga przygotować się na to, co nieoczekiwane, niespodziewane. Przebieg nawet tej samej zabawy może być inny za każdym razem. Jeśli czynność ta jest społeczna, towarzysze mogą zareagować na różne sposoby; rzucona piłka odbije się w różne strony, zjazd ze ślizgawki raz skończy się sukcesem, a raz upadkiem w połowie trasy.

Kluczowe jest to, że nie każda zabawa daje takie same benefity. Etolodzy wyróżniają trzy główne rodzaje zabaw: ↦

Biorąc udział w zabawie, małe liski ćwiczą różne umiejętności.

KONRAD WOTHE / BE&W

Możemy się domyślać, że zapasy w wodzie sprawiają frajdę niedźwiadkom. Bawarski Park Narodowy.

społeczne (zapasy, gonitwy, odgrywanie ról itp.), angażujące jakiś obiekt (piłkę, patyk, bąbelki powietrza w akwarium) oraz samodzielne, lokomotoryczne (turlanie się, tarzanie, podskoki, zwieszanie się na czymś, bujanie się). Wszystkie one mogą służyć nieco odmiennym celom, przy czym oczywiście wiele zwierzęcych igraszek stanowi mieszankę powyższych typów. Jednak zrozumienie, iż istnieją różne rodzaje zabawy, a co za tym idzie: czynność ta może mieć bardzo różnorodne funkcje, jest kluczem do badania zabaw u gatunków odległych od nas ewolucyjnie. U nich bowiem intuicyjne rozumienie zachowania może prowadzić na manowce.

O ile z łatwością identyfikujemy zabawę u wilków, koni czy szczurów, o tyle rozpoznanie tej czynności u ryb czy żółwi nastręcza pewnych trudności. Przede wszystkim, nadrzędny aspekt zabawy, czyli przyjemność, zadowolenie, człowiekowi u tych zwierząt trudno rozpoznać – nie jesteśmy ewolucyjnie przystosowani do identyfikowania stanów emocjonalnych gadów czy płazów. W związku z tym przydatne może się okazać uwzględnienie pozostałych czterech kryteriów Burghardta. Część badaczy uważa, że udało im się odnaleźć te cechy u bardzo odległych od nas taksonomicznie gatunków.

Nuda w akwarium

Występowanie zabawy u ryb jest tematem dyskutowanym w nauce co najmniej od XIX w., kiedy to Charles Holder opisał zachowanie belon (drapieżnych ryb o silnie wydłużonym ciele i szczękach układających się w charakterystyczny „dziób"), które przeskakiwały nad unoszącymi się na wodzie patykami. Zdaniem badacza zachowanie to miało znamiona zabawy, ale nie wszyscy uczeni podzielali jego opinię. Duża część uważała, że jest to nadinterpretacja i antropomorfizacja. W tym kontekście warto zwrócić uwagę na to, że nauka o behawiorze innych niż człowiek gatunków przeżyła co najmniej dwa duże przewroty.

Początki obserwacji zwierząt to postrzeganie ich z typowo antropocentrycznego punktu widzenia. Potem, w pierwszej połowie XX w., nadeszła drastyczna zmiana i badacze zaczęli odcinać się od wszelkich prób uczłowieczania innych gatunków. Niosło to za sobą wiele pozytywnych konsekwencji, ponieważ niektóre zachowania zwierząt da się zrozumieć tylko wtedy, gdy uwzględni się kontekst ewolucyjny i środowiskowy bardzo odmienny od ludzkiego. Z drugiej jednak strony, przesadne unikanie wszelkiej antropomorfizacji nadmiernie komplikuje interpretowanie pewnych zachowań. Dlatego wielu współczesnych etologów (z prymatologiem Fransem de Waalem na czele) uważa, że czasem warto zaryzykować i zamiast mówić, że szympans „wydaje sygnały wokalne i szybko oddycha", nazwać sprawy po imieniu i powiedzieć: „szympans się śmieje". De Waal twierdzi wręcz, że w nauce zapanował „antroponegacjonizm". Jego zdaniem nie należy negować występowania „ludzkich" cech u zwierząt, zwłaszcza najbliżej z nami spokrewnionych. Byłoby dziwne, jego zdaniem, gdyby podobne zachowanie obserwowane u ludzi i szympansów opierało się na zupełnie różnym podłożu psychologicznym.

Jeszcze dalej posunęli się autorzy publikacji, która ukazała się w 2014 r. w „Ethology". Opisali oni pielęgnice (inteligentne, drapieżne, okoniokształtne ryby), które spełniały wszystkie kryteria zabawy. Bawiły się one wrzuconymi do akwarium przedmiotami: atakowały je w przesadny sposób, podrzucały i obracały na różne strony. Zachowania te były spontaniczne i powtarzalne. Istnieje zresztą całkiem sporo udokumentowanych zabaw (lub zachowań, które zabawę przypominają) wśród ryb – zwłaszcza pielęgnic, mruków, ale też np. wśród płaszczek, choć większość z tych obserwacji ma charakter anegdotyczny.

Najwięksi imprezowicze

Najmniej kojarzoną z zabawą gromadą kręgowców są płazy. Prawdopodobnie wynika to z kilku przyczyn. Po pierwsze, zwierzęta te są zmiennocieplne, a tempo ich metabolizmu nie jest szczególnie wysokie w porównaniu z ssakami czy ptakami. Po drugie, większość z tych zwierząt wiedzie bardzo skryty, często nocny tryb życia, co zarazem nie promuje wystąpienia zabawy, jak i zmniejsza szansę na wiarygodną obserwację takiego zachowania. Ponadto, większość płazów żyje samotnie, a nie w stadach, podejmowane zaś przez nie w dorosłym życiu reakcje behawioralne nie są tak złożone, jak u wielu kręgowców stałocieplnych. Możliwe jednak, że nawet u tej gromady da się rozpoznać pewne przejawy zabawy.

W 2015 r. na łamach „Current Biology" zespół wspomnianego już Gordona M. Burghardta opisał zachowanie drzewołazów (niewielkich, jaskrawo ubarwionych żab) spełniające kryteria zabawy: od czasu do czasu płazy te urządzają sobie zapasy, niemające funkcji rozrodczej czy terytorialnej i nienoszące znamion prawdziwej walki. Według Burghardta drzewołazy są wyróżniającymi się wśród płazów imprezowiczami, ponieważ wiodą dzienny, a nie nocny tryb życia, mają relatywnie łatwy dostęp do pokarmu (a więc możliwe są u nich nadwyżki energii), są dość socjalne, a do tego... trujące. Ten ostatni czynnik miałby decydować o tym, że drzewołazy nie muszą być tak skryte, jak inni przedstawiciele tej grupy; mogą sobie pozwolić na odrobinę beztroski i – bez obawy, że

zostanie się zjedzonym – rzucić się w wir igraszek z innymi osobnikami.

Gady również mogą się bawić. Zachowanie to obserwowano np. u jaszczurek, krokodyli i żółwi, zwłaszcza tych utrzymywanych przez człowieka. Szczególnie skłonne do zabawy wydają się warany (smoki) z Komodo. Zwierzęta te są znane głównie za sprawą swojej zabójczej śliny czy zdolności powalenia, a następnie zjedzenia ogromnej ofiary. Jednak żywot tych jaszczurek to coś więcej niż mord i konsumpcja. Warany wykazują szereg złożonych zachowań i zabawa wydaje się jednym z nich.

Gdy do wybiegu smoków z Komodo wrzuci się obiekty takie jak wiadro, papierowa torba czy piłka, zwierzęta nie tylko okażą zainteresowanie i zaczną eksplorować nowe przedmioty, ale też będą z nimi wchodzić w powtarzalny, przedłużający się kontakt. Szczególnie chętnie pozwolą, by wiadro lub papierowa torba tkwiło umieszczone na ich głowie i w tej pozycji – ze zmienioną obiektem percepcją – chętnie pozostaną przez dłuższy czas. Zachowanie takie udokumentowało w 2019 r. BBC. Burghardt, komentując ten materiał, stwierdził, że zachowanie waranów spełnia wszystkie kryteria zabawy, jakie tylko – jako ludzie – jesteśmy w stanie rozpoznać. Badacz uważa, że szczególnie przedłużony kontakt z nowymi obiektami świadczy o tym, iż zwierzęta się bawią, a nie tylko sprawdzają, czy przedmiot im nie zagraża. Typowe zachowanie eksploracyjne – bez elementów zabawy – polega bowiem na zapoznaniu się z nowym przedmiotem, a następnie na powrocie do zwykłych czynności, takich jak odpoczynek czy jedzenie. Co więcej, uczony zauważa, że gdyby obejrzeć nagranie z bawiącymi się waranami w przyspieszonym tempie, okazałoby się, że ich zachowanie bardzo przypomina bawiące się psy. Tym samym staje się dla człowieka bardziej rozpoznawalne jako coś, co jest dla zwierzęcia rozrywką.

Tańce żółwi

Wielu opiekunów nie ma również wątpliwości, że bawić potrafią się i lubią żółwie. Wpisanie w wyszukiwarkę po angielsku hasła „zabawki dla żółwia" zwraca 16,5 mln wyników, a do szczególnie polecanych przez doświadczonych opiekunów akcesoriów z tej kategorii należą piłki, płotki wspinaczkowe, zraszacze, zabawki węchowe (np. akcesoria z ziołami lubianymi przez te zwierzęta), ale także kostki lodu. Istnienie żółwiej zabawy potwierdzają również niektóre publikacje naukowe, choć nie jest ich szczególnie wiele. W 1998 r. na łamach „Ethology" opisano zachowanie żółwi czerwonolicych, które – pływając w swoim zbiorniku wodnym – spełniały wszelkie kryteria zabawy społecznej. Młode osobniki pływały w parach, skierowane ku sobie głowami niczym w tańcu lub jeden nad drugim – tak jakby bawiła je synchroniczność ruchów lub reakcja drugiego osobnika.

Drzewołazy mogą sobie pozwolić na dobrą zabawę: te żaby wiodą dzienny tryb życia, są towarzyskie, nie brakuje im jedzenia i są... trujące.

Zabawa jest nie tylko najczęściej obserwowana, ale też – jak się zdaje – najpotrzebniejsza u tych kręgowców, które są inteligentne, społeczne, długowieczne i rozwinięte metabolicznie. Nie oznacza to jednak, że inne gromady są tego behawioru całkiem pozbawione. Trudno jednak oczekiwać, by bardzo odległe od nas ewolucyjnie zwierzęta bawiły się w ten sam sposób co my. Z drugiej strony, istnieją takie akcesoria jak piłki czy kartony, które zdają się dostarczać rozrywki niemal wszystkim grupom taksonomicznym. Potwierdzi to chyba każdy opiekun: zarówno kota czy psa, warana i żółwia, jak i ludzkiego niemowlaka.

© MARTA ALICJA TRZECIAK

Lalki, autka i małpi gender

W SKLEPACH z zabawkami trafimy na produkty adresowane do dziewczynek (głównie lalki i pluszaki) oraz do chłopców (klocki i samochodziki). Taki podział najwyraźniej sprawdza się z marketingowego punktu widzenia, ale budzi także dyskusje dotyczące kształtowania się płci kulturowej. Czy dziewczynki częściej bawią się lalkami, a chłopcy klockami i samochodzikami, bo uczy je tego społeczeństwo, przy okazji wpajając im własne oczekiwania i tradycyjne wzorce zachowań, czy też te preferencje dają się wyjaśnić na gruncie biologii? Pytanie to zainspirowało całą serię badań, m.in. eksperymenty, w których różnymi rodzajami zabawek pozwalano się bawić małpom.

GERIANNE ALEXANDER I MELISSA HINES oferowały koczkodanom kilka „ludzkich" zabawek, a potem mierzyły czas, jaki spędzają z nimi przedstawiciele różnych płci. Okazało się, że samce preferowały zabawki mechaniczne, takie jak samochodziki czy piłki. Lalki nie wzbudzały u nich zbyt wielkiego zainteresowania – najczęściej sięgały po nie samice. W innym badaniu Kim Wallen i Janice Hassett podobnym testom poddali makaki – oferowano im zabawki „miękkie" (lalki i pluszaki) bądź zabawki na kółkach. Samce preferowały te drugie, samicom równie mocno podobały się wszystkie.

SPÓJNE Z TYMI WYNIKAMI wydają się m.in. doniesienia Sonyi Kahlenberg i Richarda Wranghama, poczynione na podstawie wieloletnich obserwacji szympansów żyjących na wolności. Samce i samice szympansów chętnie bawiły się kamieniami i kawałkami drewna – ale na różne sposoby. Samice przytulały je i nosiły jak niemowlęta z miejsca na miejsce – czasem budowały dla nich gniazda na noc (zachowanie to zanikało, gdy samice zostawały matkami). W przypadku samców kamienie czy pieńki nie były traktowane równie delikatnie.

FRANS DE WAAL, który różnicom płciowym u ludzi i małp poświęcił swoją najnowszą książkę („Different: Gender Through the Eyes of a Primatologist"), zauważa w kontekście tych doniesień, że młode samice szympansów wykazują olbrzymie zainteresowanie noworodkami – próbują je dotykać i brać na ręce. Młode samce wolą spędzać czas na zapasach i gonitwach. Przynajmniej w populacjach małp różnice płciowe w kontekście zabawy wydają się mieć zatem podłoże biologiczne. ©℗ ŁK

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

KULTURA

SZAMAN W BECZCE

Przez jego styl bycia i pisania prześwieca niesformatowana mądrość. Ale Miron nie był typem intelektualisty. Lepiej powiedzieć, że wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny.

ELIZA KĄCKA

O Mickiewiczu mawiano per Adam, o Słowackim – Julo. Ale dziś mówi się po imieniu tylko dwóm pisarzom. Jednym jest (w trybie pośmiertnym) Bruno Schulz, drugi przez większą część życia, a i do teraz, funkcjonował i funkcjonuje jako Miron. Pomylić go z nikim nie sposób. Tak oto sprywatyzował swoje imię. Uwłaszczył się na nim. I na wszystkim, co wchodzi w jego zakres.

Żółta nylonowa torba

Jak z tego wynika, Miron Białoszewski (obok Schulza) funkcjonuje dziś w micie zbiorowym na prawach wieszcza. Znakomitości denotowane z nazwiska, choć je kochamy lub wręcz przeciwnie, stoją szczebelek niżej. (Dotyczy to także przydawek. Nie mówi się, wiadomo o kim, Wisława, tylko „Pani Wisława").

A za co kochamy Mirona? Wiadomo: za to, że był sobą. W każdych okolicznościach i codziennościach, wzniosłościach i trywialnościach. Z tym jednym paradoksem, co go Kot Jeleński wyraził najtrafniej (a Anna Sobolewska spisała): „Nikt nie był do niego podobny, a on był podobny do wszystkich". Andrzej Bursa napisał grubo przed pół wiekiem wierszyk o poecie, który cierpi za miliony do chwili, gdy zaczyna uwierać go pęcherz. Wychodzi, wraca i „apiat' cierpi za miliony". Do Białoszewskiego się to nie stosuje. On ten wzorzec rozwalił. Po pierwsze – nie cierpiał za miliony. Po drugie – nie praktykował podziału na poezję i resztę. Jak najdosłowniej. I w tym jego siła. Niepodrabialna. Mówić „Miron" to najwyższy stopień lubienia, jaki może osiągnąć poeta. Mamy więc teraz Rok Białoszewskiego i stulecie urodzin poety, z którym jesteśmy po imieniu.

W 1982 r. na samolot do Stanów odprowadzał Mirona Tadeusz Sobolewski. Za cały bagaż miał Białoszewski żółtą nylonową torbę. „Obserwowałem, jak ze swoją żółtą torbą przechodzi lekko przez kontrolę. Celnicy jakby go w ogóle nie zauważyli. Było w tym coś z nonszalancji i coś z pokory. Pokorniutko poleciał do Ameryki. Duchem. Tak sobie pomyślałem wtedy, na lotnisku".

Ten obraz nie daje mi spokoju. Duch. Duchem poleciał... Ależ tak, Duchamp! Marcel Duchamp! Podobieństwo nawet w rysach, zwłaszcza w sile wieku, uderzające. Twarze, które mogłyby, gdyby nie bystre spojrzenie, należeć do każdego. Twarze człowieka z ulicy. I nie tylko. Oto dwaj abnegaci. Mają analogiczny stosunek do rzeczy, które – tknięte wzrokiem artysty – zyskują rangę sztuki. Co Duchamp robił z wyrobami fabrycznymi: szuflą do śniegu, suszarką do butelek i pisuarem, to Białoszewski robił w swoim teatrze ze znalezionymi w ruinach mątewką do jajek, kryształową solniczką i pogiętym cedzakiem. A także, w wierszach, ze słowami: słowem „piec", słowem „klucz", słowem „szafa". A potem z kawałkami słów. Obaj teatralizowali życie na potęgę, organizowali wokół siebie celebrę. Każdy ich gest był znaczący.

Dalej: Duchamp od czasu wystawienia sławetnego pisuaru (1917), a Białoszewski od „Było i było" (1965) odeszli od konstrukcji na rzecz przypadku. Jeden przestał malować „obrazy", drugi przestał budować „wiersz". Szło o to, by znaleźć jakiś klamot i go „uświęcić". Podsłuchać jakąś rozmówkę i podać ją za „utwór" (albo pisuar jako fontannę). A potem w ogóle odrzucić maskaradę sztuki. Grać w szachy, spisywać kalambury, przebierać się za kobietę. Albo „latać" nocami po ulicach, artystycznie leżeć w łóżku, zapraszać i napuszczać na siebie gości. Działać magią własnej osoby, tym, co się zwie „charyzmą".

Diogeniczność

Nikt poważnie nie zarzucił Duchampowi mistyfikacji. Przeciwnie: o poszczególnych dziełach, a raczej gestach twórczych Duchampa organizowano w opactwie Royaumont pod Paryżem uczone konferencje. Polska nie ma instytucji intelektualnej tej miary, ale Białoszewski także, i to nieraz, dostępował naukowego wyniesienia. Nikt chyba nie zarzucił mu pozerstwa. Było jasne, że za jego praktykami kryje się osobliwa praca. Że w Mironie coś siedzi. Po zachwycie dla poety przyszła fascynacja osobą. Przeczucie, że przez jego styl bycia i pisania prześwieca jakaś niesformatowana mądrość. Gdyż Miron nie był typem intelektualisty. Lepiej powiedzieć, że wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny.

„Diogenes mieszka w beczce – ale na forum, wśród ludzi – wskazywał w eseju „Strategia Diogenesa" (1972) Jan Błoński. – Pragnie być filozofem dla siebie, błaznem dla pospólstwa. Beczka to mieszkanie wcale wygodne, zwłaszcza duchowo! ↦

Miron Białoszewski w roli Poety w spektaklu „Wesele", luty 1962 r.

↦ Nie można zostać Diogenesem bez cnót tak pospolitych, jak niedbalstwo, niechlujstwo i bezmierna pycha (taka pycha, która pozwoli zostać sobą nawet w beczce). (...) Słowem, tylko wyjątkowy kaprys natury stworzyć może Diogenesa". Ściśle według tej receptury Miron zamieszkiwał kolejne beczki: przy Poznańskiej, przy placu Dąbrowskiego, przy Lizbońskiej, wciąż mając wdzięczną publiczność, a pod jej nieobecność oddając się kontemplacji. Co kontemplował?

Ma się rozumieć, jako Diogenes współczesny pogłębiał świadomość własnej diogeniczności. Swoją osobność i swoją pamięć, słowem – zasady przyglądania się sobie. Jest przecież bohaterem przeważającej większości swoich tekstów. Nawet wówczas, gdy absorbują one i przetwarzają doświadczenia i obserwacje cudze. W swoich kolejnych „numerowanych grotach" Miron diogenizował fakty docierające do niego ze świata. Że na przykład na Wspólnej obrywają się balkony. Ćwiczył hart ducha w obliczu niedostatku dóbr doczesnych: „pół szyby dawno stłuczone / szczęście że to dubelt". Rozważał kosmiczne memento: „przed tobą w czasie po tobie / miliony / małpiliony / takich". A przede wszystkim pogłębiał wolność wewnętrzną. Tu przytoczenie musi być dłuższe: „I jeszcze ten luksus że można / już przestać pisać, zacząć czytać, / przestać czytać, chcieć pisać, / a nie zapisać, zacząć czytać i czy- / tać do rozespania, straszyć się wybudzaniem, łowić tekst, pozwolić / sobie zgasić światło. I na ostatek / cieszyć się z całego bezwstydu / wyznawania tego sobie z nadzieją, / że inni się dowiedzą i to powiedzą". Wszystkie przykłady pochodzą z tomu „Było i było".

To właśnie jest diogeniczność. Składa się z dwóch strategii. Pierwsza – to śledzenie komedii metafizycznej własnego życia (ton na wpół komiczny). Druga – to gromadzenie świadectw poczucia uwięzienia w sobie samym (ton na wpół tragiczny). Program na całe życie.

Rozpamiętywanie

W jednym z przebojowych wierszy („szlagiery, szlagiery", jak mówił Miron), które znalazły się w tomie „Obroty rzeczy" (1956) Białoszewski oddaje hołd zardzewiałemu durszlakowi. W jego teatrze durszlak zastąpił Kantowskie niebo gwiaździste. A w wersji lirycznej: „Jakżeś nieprzecedzona w bogactwie, / łyżko durszlakowa!". Sam był taką łyżką durszlakową, zbierającą bogactwa bez ich cedzenia, skarby, w których można potem do upojenia gmerać. Mowa oczywiście o pamięci.

Spod jego uroku nie sposób się było wyplątać. Wiedzą o tym członkowie „dworu", uczestnicy wtorkowych spotkań w jego lub zaprzyjaźnionych mieszkaniach. Wokół łóżka, na którym leżał-królował Miron, trwała rywalizacja o uwagę i aprobatę.

Miron miał pamięć niebywałą, bynajmniej niezardzewiałą. I starannie ją kultywował. Na przykład Warszawę obmapowywał chodzeniem (nie on jeden: warto pamiętać o Władysławie Kopalińskim). A jednak to właśnie Miron najpełniej spełnił misję łącznika między „było" i „jest". Rolę świadka i nasłuchiwacza. Rozmawiał z miejscowymi. Co było w danym miejscu przed wojną, co się z tym stało w powstaniu i jak (byle jak) zapełniono dziurę podczas odbudowy. W swoich zapisach i rozmowach ukazuje się nie jako żywa kronika miasta, lecz jako obecność peregrynująca od wyrwy do wyrwy, od pęknięcia do pęknięcia, od cmentarza do cmentarza, od ściany do ściany. To jego obecność ma podtrzymywać ciągłość. Jeśli światem Mirona rządzi jakaś metafizyka, byłaby to metafizyka, jakkolwiek to brzmi, transmisji trwania. „Trzymajmy" – mógłby brzmieć najkrótszy testament Mirona. Wciąż do tego słowa powracał. Trzymajmy, bo jak puścimy, to miejsce zatrze się, zniknie. Nie będzie komu powidoków dawnych świątyń wstawiać w leje po bombach. To odpowiednik poczętego w świetle dziurek durszlaka „prawa moralnego we mnie".

Dla przykładu dość wspomnieć Mironowe powidoki ulicy Chłodnej. Wiersz mówi: „Sklep / Przedtem był tu step // Ale przed stepem to tu był sklep za sklepem / sklep za sklepem". Zapis wydanego pośmiertnie, w roku 2012, „Tajnego dziennika" rozbudowuje ten obraz: „Przed cyrkiem spacerowaliśmy Chłodną ulicą. Dziwna to ulica. Niby na niej resztki tego, co było. Ale właściwie już nie jest tym, czym była kiedyś dawniej, ani trochę. Ludwik powiedział, że to w mojej wyobraźni jeszcze coś tam tej Chłodnej zostało. Jest pusta, ma dużo drzew, traw, dziczyzny. Tu fabryki, tu tyły fabryk, tu szkoła, tu trawa na chodniku, tu dwie stare kamienice. Nie jest tym, czym była, nie wiadomo, czym będzie. Jest między czymś a czymś". Ale między czymś a czymś, między ulicą handlową a spustoszonym stepem było coś jeszcze. „Naprzeciw siebie zatrzaśnięte / żelaznym chwieją się lamentem / drzwi Małego Getta, / drzwi Dużego Getta - - - (...) I wówczas / migają: / siwe plamy bród, / przekrwione oczy, / toboły, / ruchy rąk, / tramwaje konne, / kolumny riksz... // Na straży / niemieckie twarze / wlane w spiż". To fragment poematu „Jerozolima" z datą 17 czerwca 1945 r. – prawdziwego debiutu Białoszewskiego, zamieszczonego w powielanym piśmie studenckim „Akademik".

W roku 1971 Miron ofiarował studentce Artura Sandauera, Agnieszce Kostrzębskiej-Petelskiej, biedzącej się nad pracą magisterską, konspekt, a właściwie parodię rozprawy o sobie – ze zdaniem: „Białoszewski, jako »właściciel« (tak mówi) całego polskiego języka (...) głosi się również właścicielem Warszawy". Ciężkie to było brzemię.

Rzeczy elementarne

Wbrew pozorom, a zgodnie z tym, o czym była już mowa, pisanie Białoszewskiego należy do literatury mądrościowej. Mądrość, zawsze nieoczywista, przydać się może na ciężkie czasy. Do sprawozdania z naprawdę ciężkich czasów Miron szykował się całe życie, aż po zaawansowany wiek dojrzały. Gdy już przelał zapis magnetofonowy na papier, otrzymaliśmy rzeczy elementarne.

A co to ma być? – zapytamy. Na przykład to: „Do tej pory pamiętam zasadę. Pytam nieraz – może być gorzej? – kogoś doświadczonego – tak – może być najgorzej, i jeszcze gorzej od najgorszego – o, bez dna – i takie stopniowania... straszne, wiemy, co potrafi być. Dlatego nieraz zły, zmęczony, na zimnie idąc nie o głodzie, do ciepłego schowka, myślę sobie nagle – nie siedzę w obozie ani w więzieniu, nie biją mnie, nie złapią mnie za

rogiem... o, kałuża, skok i już, i nikt nie każe mi nagle paść i pełzać w niej żabką, i co tu narzekać?". I na tę refleksję, właściwą wszystkim, którym udało się przetrwać ciężkie czasy, nakłada się obraz eleganckiego starszego pana z laseczką, w kapeluszu – ostatni, jaki zapadł w pamięć uciekającego wraz z rodzicami we Wrześniu z Warszawy siedemnastolatka.

Cała ta „Rajza" (tak też nazywano wrześniowe ucieczki przed Niemcami) sprzed lat czterdziestu zyskała właśnie aktualność. Trudno tego nie dostrzec, czytając: „Ile to kosztowało istnień? Za jedną godzinkę, za byle co... za jeden rząd wciąż idących i bądź co bądź napadających, włażących w cudze, bandzioro-chamów wybijających drzwi od mieszkań, łapiących cudze rzeczy, dzieci, ciuchy, świnie, tramwaje, dzwony, włosy". Od czasu do czasu na to rady nie ma. Kto zdoła przeżyć, opowie – i jego relacja będzie tylko literaturą. Pewnego razu Miron napisał: („Z dziennika" w zbiorze „Było i było"): „Się nauczyłem / nie przeżywać. / Człowiek jest straszne zwierzę". Może żartował. Ale niekoniecznie.

Jedna refleksja „Rajzy" komentuje wstecz wcześniejszy „Pamiętnik z powstania warszawskiego" (1970). Czym jest „Pamiętnik", dużo by mówić. „Osiem kondygnacji, ale tylko siedem do przebicia, bo ósme – to my". Lecz pod lawiną zdarzeń tai się w nim także wiedza, jaką Miron, jeśli wierzyć „Rajzie", nabył już wcześniej: „Nauczyłem się więc błyskawicznie, jak to sytuacja ogólna składa się z iluś sytuacji szczególnych i poszczególnych, jak to się wszystko plącze ze wszystkim, a jednocześnie ciągle wymaga rozwiązywania, które jest nowym supłaniem. A w tym wszystkim ludzie dalej jedzą, idą spać, nawet się śmieją". I to właśnie tak wściekało, a pewnie wciąż irytuje, wrogów tej książki.

Ale „Pamiętnik" ma własne dna, do których w spisywanej po latach relacji dotrzeć można było tylko za pośrednictwem ironii. Zgiełk dopełniającej się katastrofy tłumi tu szept głębszego wtajemniczenia. Pora więc na małą antologię. „To wszystko zresztą zupełnie jest tak jakby jednym złudzeniem. (...) Ale tylko to mi pasuje. Do tego, co się wtedy odczuwało. Bo nie trzeba było być aż poetą, żeby się troiło w głowie". „Zobaczyliśmy, że za ścianą naszego schronu jest dół i wydobywają coś białego. I to nie jedno. A wiadomo, że jak zamiast domu i piwnicy – dół (otwarty) i wydobywają coś białego, i coś jeszcze białego leży, to naginęło sporo ludzi. Ano, przebiło do piwnic". „Bo pierwsze – co rozwalali – to młodych". „Co nie uciekło, nie odfrunęło, nie spaliło się, nie padło, nie zdechło, to zostało upolowane. Koty znikły. Psy znikły. O fruwających mowy nie ma. Jedno co, to ten świerszcz w ścianie po ciemku. A potem we wrześniu – wszy". To się sprawdza i będzie sprawdzać przy każdej takiej okazji. Diogenes, jak wiadomo, żył w czasach wojny peloponeskiej i znał z pewnością iluzoryczny walor ochronny beczki.

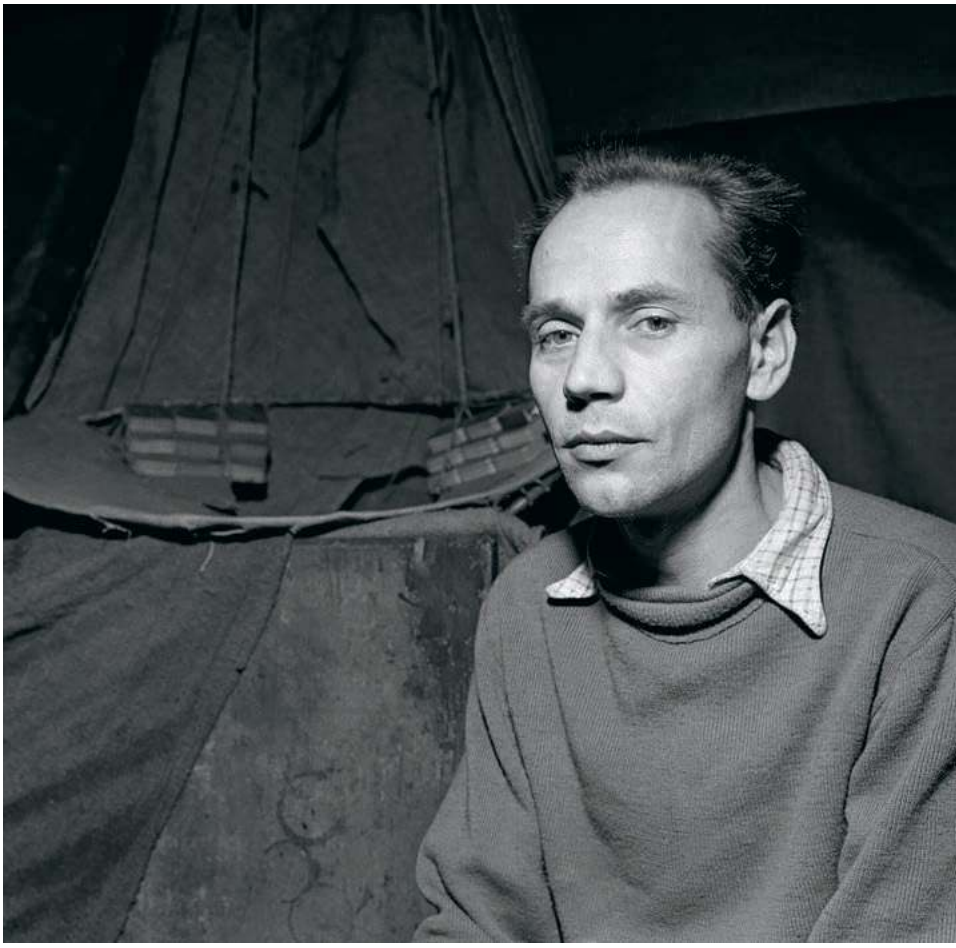

LUCJAN FOGIEL / EAST NEWS

Miron Białoszewski, 1958 r.

Recykling

Był (zapożyczam to od Tadeusza Sobolewskiego) szamanem, władcą sił mediumicznych. Podróżnikiem wstecz, „cofaczem" czasu. Na podobieństwo szamana odbywał podróże w głąb siebie, wiodące w głąb czasu. Tamten świat, który zwiedzał, opowiadając o nim, leżał u korzeni chwili obecnej. Tam właśnie rozgrywał swój teatr, który – czasem – udawało się wydobyć na powierzchnię.

W eksperymentalnym Teatrze na Tarczyńskiej, którym władał antyiluzjonizm, wystawił w 1955 r. epickie „Wyprawy krzyżowe". Był to unaoczniony bigos lektur, od „Krzyżowców" Zofii Kossak-Szczuckiej po przedwojenne również „Dzieje Bizancjum" (1938) Kazimierza Zakrzewskiego, gdzie jeden z przedstawiających (Miron) odgrywał rycerza Baldwina, a drugi (Lech Emfazy Stefański) – zmiennokształtną Hybrydę, chcącą zrabować mu koronę królów Jerozolimy. Wszystkie krucjaty zlewały się w jeden chaos, upstrzony absurdalną tytulaturą i przekręconymi faktami – gdy wreszcie szał bitewny mijał i „rozkulbaczano kobyłę historii", miało się wyrażenie ocknięcia z ciężkiego koszmaru. Nie był to jednak szczyt możliwości Mirona.

Hanna Kirchner, inicjatorka i redaktorka nieocenionego zbioru świadectw „Miron. Wspomnienia o poecie" (1996) w swoim szkicu przywraca do istnienia osoby, które Białoszewski usunął ze swej pamięci i życiorysu. Jednym z tych, których po latach przywrócił do łask, był ↦

↦ mentor artystyczny i życiowy, niespełniony pisarz i artysta teatru – Ludwik Hering. To z nim właśnie walczył o dominację nad Białoszewskim Artur Sandauer. Przegrali obaj, Miron poszedł własną drogą, lecz cała sprawa położyła się cieniem na ścieżkach biograficznych.

Jak dziś wiadomo, Miron połknął artystycznie sporo konceptów poetyckich, a nawet całych wierszy Heringa (i tu mamy ambiwalencję: bo i współpraca tu, i zależność, i jakieś niedopełnienie w życiu samego Ludwika). Nie kto inny jak Hering ustawiał głos poecie, mającemu za młodu skłonność do językowego baroku. „W początku lat pięćdziesiątych – pisze Kirchner – Ludwik przeczytał wiersz Mirona o morzu, gęsty od metafor, bogaty, ozdobny i skierował uwagę poety ku ciurkaniu wody z rury sterczącej gdzieś w ruinach (...). Zwrócił jakby Mironowi to gospodarstwo poetyckie, które poeta wyniósł z plebejskiego, warszawskiego życiorysu".

„Osmędeusze" (1957) – arcydzieło (mówię to z pełną powagą) Teatru Osobnego, które napisali wspólnie. Są to parodystyczne współczesne „Dziady", traktat o zmarłych obcowaniu z żywymi, osadzone „tam, gdzie osiem jest cmentarzy", wokół Powązek, w fikcyjnej dzielnicy Parysów. W wymiarze serio „Osmędeusze" to lament nad utraconym folklorem podmiejskim, w wymiarze buffo – sceniczna imitacja rozdzierających tragedii miłosnych rodem z podwórzowych ballad.

Znów dwie osoby, Przedstawiacz i Pomagierka, odtwarzają osiemnaście postaci i dwa chóry (cmentarnych wiańczarek i gości weselnych), uczestników i świadków miłości podwórzowego żonglera Sylwestra do pięknej Teosi, która jednak ma zostać wydana za rzeźnika. By zyskać godny jej status, Sylwester morduje cmentarną żebraczkę Katakumbową, o której wieść niesie, że ukryła w którymś grobowcu niezmierzone skarby. Skarbu nie ma, Sylwester odbiera sobie życie, Teosi pęka serce. Wszystko to unaoczniały „szyldy" (dzieło autorzy nazwali „Oratorium szyldowe") malarki Ludmiły Murawskiej, zasłaniające figury aktorów – inne (namalowane) postacie wykonywały ruchy za pociągnięciem sznurka. „Białoszewski buduje swój świat z ruin, ze szczątków, ze sztuki przedmieścia, która zanika, i z pojęć, które giną" – pisał Bogdan Wojdowski.

Warto zauważyć, że jest to ściśle program Brunona Schulza: „Są to fragmenty dawnych i wiecznych historyj, budujemy, jak barbarzyńcy, nasze domy z ułamków rzeźb i posągów bogów" („Mityzacja rzeczywistości", 1936). I program mistrzów recyklingu – Tadeusza Kantora i Władysława Hasiora.

Dar

Trzeba Białoszewskiego uznać za największego po Stanisławie Przybyszewskim uwodziciela w dziejach naszej literatury. Spod jego uroku nie sposób się było wyplątać. Wiedzą o tym członkowie „dworu", uczestnicy wtorkowych spotkań w jego lub zaprzyjaźnionych mieszkaniach. Ci (było ich paruset), z których wyciągał historie rodzinne, sny, dziwne przypadki życiowe, perypetie małżeńskie, plotki, najlepiej skandaliczne, z miejsc zamieszkania, przejawy wariactwa, sprawdzone przeczucia, relacje z obrzędów kościelnych, podróży i chorób. Wokół łóżka, na którym leżał-królował Miron, trwała rywalizacja o jego uwagę i aprobatę. Czasem śpiewano, czasem tańczono, czasem poeta odczytywał coś ze świeżego urobku. Co więcej, ten sam urok roztaczają jego teksty – w codzienności i banalnych przygodach niemłodego, poważnie już chorego mistrza jest coś narkotycznego.

Jedna z jego wielbicielek, anglistka i buddystka Anula Żurowska, zauważyła całkiem odkrywczo: „Twórczość przegrywała z nim samym. Mimo że on nie mówił tak, jak pisał. Ale poza tym miał całą magię gestów. Ile on wyrażał półobrotami ręki, małym palcem! (...) To była magia". Po czym dodaje, że w jej oczach Miron, zależnie od humoru, „zalewał się kolorami". Szarością, sinością, błękitem. Niech nam to jakiś znawca społecznych interakcji wyjaśni!

Dla wielu ludzi, w tym rzecz jasna czytelników, był i jest z lekka nadprzyrodzonym darem. Cieszył swoim istnieniem i sam tropił w sobie zagadkę własnego sposobu istnienia, która nikogo nie pozostawiała obojętnym. © ELIZA KĄCKA

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | **www.radiokrakow.pl**

Trzy owacje

DARIUSZ KOSIŃSKI

Kończące sezon premierowe przedstawienia z Krakowa i Warszawy wyznaczają rozchodzące się szlaki polskiego teatru. Na szczęście nie wszystkie są ślepe.

Trzy premiery na „o"? To zakrawa niemal na żart: na zamknięcie sezonu teatralnego 2021/22 w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie Katarzyna Minkowska wyreżyserowała przedstawienie za-

MAGDA HUECKEL / STARY TEATR

„Orlando. Bloomsbury", reż. Katarzyna Minkowska. Kraków, 24 czerwca 2022 r.

tytułowane „Orlando. Bloomsbury", a w Teatrze Powszechnym w Warszawie Agnieszka Błońska przygotowała „Orlando. Biografie" (oba spektakle według Virginii Woolf, rzecz jasna). Jakby tego było mało, w tym samym Powszechnym pokazano „Odpowiedzialność" w reżyserii Michała Zadary. Okazja do odczytania obowiązujących objaśnień? Owszem.

Obłaskawianie odmieńców

Podtytuł krakowskiego przedstawienia sugerował, że obiektem zainteresowania twórców nie będzie powieść ani nawet sama Virginia Woolf, ale legendarna grupa artystyczna, do której należała. I rzeczywiście – scenę wypełnia tłumek różnych osób, które nerwowo poruszają się w przestrzeni do granych na żywo dźwięków i strasznie dużo mówią o sztuce i skomplikowanych relacjach erotycznych między całą tą ekipą.

Wszyscy ci elokwentni ludzie myślą, że tworzą jakąś elitę, ale od razu widać, że są głęboko nieszczęśliwi, a pod pozorami sukcesu, wyluzowania i wyrafinowania ukrywają zbolałe dusze. A potem po kolei umierają pod skrzydłami wielkiego wypchanego motyla nocnego zawieszonego nad sceną i objaśnionego czytanym na głos fragmentem eseju Woolf „Śmierć ćmy", który na dodatek zamieszczono w programie, żeby wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Na takich niemal łopatologicznych oczywistościach zbudowane jest całe przedstawienie. Tyle że po scenie snuje się niema postać, nosząca imię jej bohatera i najwyraźniej uosabiająca „niewysłowione". Pojawia się ono – oczywiście – jako nagie ciało i jako śmierć, u stóp której ściele się spuszczona na koniec całości ćma. Symbolizm, że hej!

Nie bardzo wiadomo, czemu powinniśmy się tym zajmować w Polsce roku 2022, ale w sumie też nie wiadomo, czemu nie – wszak grupa z Bloomsbury jest ciekawa, a o ciekawych rzeczach posłuchać ciekawie, więc można w upalny piąteczek dodać do atrakcji kulturalnego miasta Krakowa wizytę w teatrze, któremu zdają się coraz jaśniej przyświecać wiekopomne słowa padające kiedyś z jego sceny: „Co cię obchodzi, że coś jest anormalne, jeżeli my jesteśmy normalni".

„Orlando. Bloomsbury" to narodowy teatr dla „zdrowego i normalnego", który współczuje dziwactwu pisarki, ale przecież koniec końców wie, że Woolf oszalała, bo nie mogła mieć dzieci, a zamiast zająć się rodziną, stawała w oknie i patrzyła na umierające ćmy. I nie tam, że jakiś patriarchat ją dręczył. Żyć trzeba po prostu normalnie – rodzinnie, troskliwie, dbając o spokój, bezpieczeństwo i dostatek. Widać w spektaklu Minkowskiej, że wszelka ponadprzeciętność jest albo udawana, albo skazuje na cierpienia. Więc lepiej wymościć sobie strefę komfortu i z niej nie wychodzić. Tak jak zespół Starego Teatru, który w tym graniu oczywistości oczywiście dobrze się czuje, bo zna to na pamięć i nikt od nikogo niczego nie wymaga ponad spokojny profesjonalizm zawodowego aktora, który w środę machnie lekarza w kolejnym odcinku popularnego serialu, a w sobotę da się podziwiać na żywo w czymś zaspokajającym potrzebę.

Czy to właśnie jest ten „powrót do teatru", o którym tyle teraz słychać? Zadumać się nad dawno nieżyjącą pisarką, przekonać, że nie ma się z nią na szczęście nic wspólnego, pożałować jej trochę i potem spokojnie do siebie wrócić. A co jeśli w nocy przyśni się Virginia i trawestując Pawła Demirskiego zapyta, czy chciałabyś, by twoje życie ktoś tak przedstawił? ↦

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TEATR POWSZECHNY

„Odpowiedzialność", reż. Michał Zadara. Warszawa, 25 czerwca 2022 r.

Otwieranie otwartych

↦ Naprzeciwko Krakowa – Warszawa. Naprzeciwko „zdrowego i normalnego" – „teatr, który się wtrąca". Zamiast Starego Miasta – Praga. Zamiast patronki Modrzejewskiej – Hübner. Agnieszka Błońska w Powszechnym zaprosiła na scenę zabudowaną imponującą rzeźbiarską instalacją Katarzyny Kozyry ucieleśnione niebinarności: uważanego za pierwszą polską drag queen Andrzeja Szwana – Lullę La Polaca, rozwalającą dwupodziały Filipkę Rutkowską czy zadającego kolejne niepokojące pytania Anu Czerwińskiego (by wymienić tylko osoby podejmujące role protagonistów).

Zaczyna się od queerowego rozmontowywania oczywistości, kulminującego w chwili, gdy wszystkie osoby sceniczne siadają na froncie sceny, a Anu pyta o to, co widzimy, gdy spoglądamy na nie, korzystając z uprzywilejowanej pozycji teatralnych widzów. I następują długie minuty milczącego patrzenia, które z każdą sekundą nabiera męczącego ciężaru. Próbuję, jak mogę, ale co chwila łapię się na tym, że nie widzę tych osób, tylko nasze o nich wyobrażenia. Czy nie stąd ta gwałtowna potrzeba kontrolowanej nomenklatury? Transseksualna, transgenderowa, niebinarna? Niebinarna, czyli jaka? I co – jak pyta Filipka Rutkowska – „zostaje po przemianie w człowieku takie samo?".

Arkadiusz Brykalski zakłada sukienkę, a Klara Bielawka intensywnie ćwiczy w gorsecie, by go w końcu z ulgą zerwać, powtarzając buntowniczo i świeżo gest, który dawno wykonały prababki sufrażystki. Czyżby dokonały na darmo? A może samo przedstawienie jest takim właśnie gestem powtarzanym przez i dla ludzi spotykających się w teatrze, by poprawić sobie samopoczucie i zapomnieć o tym, co właśnie w tych dniach powiedział o niebinarności najważniejszy człowiek w kraju? I o tym, że ten „żarcik" to nie eksces, ale sposób myślenia tych, do których „inteligent z Żoliborza" przy wsparciu arcybiskupów i kuratorek oświaty znów się odwoła, by z potwora dżendera zrobić sobie paliwo do utrzymania władzy?

Stopniowo te pytania okazują się retoryczne i drugi „Orlando" staje się tyleż zaangażowany, mniejszościowy i umacniający, co nieskuteczny. Tuż po seansie patrzenia, w autoironicznym (a może podlanym rozpaczą) geście, reżyserka mówi z offu, że „naprawdę chce dobrze". Słowa te zapętlają się i powtarzają, wyznaczając dalszy ciąg spektaklu, w którym chęć robienia dobrze dominuje. Niepokojące pęknięcia w oczywistościach prowokowane wiek temu przez Woolf są porzucane na rzecz edukacyjno-terapeutycznego seansu „wsparcia dla inności". W ramach seansu anty-transfobicznej hipnozy podaje serię życzeniowych recept na kolejne drobne kroczki, które mają uczynić świat lepszym. Oczywiście wszyscy na widowni już dawno te kroczki dzielnie stawiają, więc są z siebie zadowoleni i biją brawo, gdy Lulla woła: „Ludzie, kurwa, zróbmy coś!". Na szczęście dla oklaskujących nikt nie pyta, co też można by zrobić, i nikt nie psuje dobrego samopoczucia, owacji na stojąco i wręczania kwiatów.

Wstając w końcu, by moje siedzenie nie wyglądało na niechęć do osób niebinarnych (ot, taki mechanizm łagodnego przymusu społecznego), miałem poczucie kolejnej powtórki z tego samego: kolejna w tym teatrze eksplozja chwilowego wsparcia po przedstawieniu, które przekonująco przekonuje przekonanych. Aż chce się strawestować Gogola: „Komu klaszczecie? Samym sobie klaszczecie". Klaszczecie tak samo, jak sobie klaskali wczoraj kulturalni widzowie krakowscy. Swojemu wyróżnieniu klaszczecie, swojej postępowości kwiaty wręczacie, by móc równie spokojnie jak tamci zająć się swoimi sprawami w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. „Teatr, który się wtrąca", nie wtrąca się wam do niczego. I tak jak w Krakowie, tak na warszawskiej Pradze wszyscy mają się dobrze.

Odpowiedz objawieniu

Ale to nie koniec wieczoru. Odetchnąwszy chwilę w parku Skaryszewskim wracam do Powszechnego, by obejrzeć pokaz „Odpowiedzialności", którą Michał Zadara zrealizował ze swoją Centralą, a której pokazy zorganizowano pospiesznie w Powszechnym, gdy okazały się z powodów politycznych niemożliwe w planowanym wcześniej miejscu.

MAGDA HUECKEL / TEATR POWSZECHNY

„Orlando. Biografie", reż. Agnieszka Błońska. Warszawa, 25 czerwca 2022 r.

Formuła „Odpowiedzialności" jest podobna do niedawnej „Sprawiedliwości" Zadary, w której pytano o winnych wygnania z Polski obywateli żydowskiego pochodzenia po Marcu 1968. Tym razem dokumentalno-prawnicze dochodzenie zorganizowanej przez Zadarę grupy artystów, prawników i studentów Wydziału Artes Liberales UW dotyczy jednak nie wydarzeń historycznych, ale współczesnych: działań prowadzonych od jesieni 2021 r. przez służby państwa polskiego na granicy z Białorusią i odpowiedzialności za ich skutki, przede wszystkim za śmierć osób uciekających przed wojną, które polskie władze bezprawnie pozbawiły możliwości starania się o status uchodźców, a Straż Graniczna wypychała i wywoziła z powrotem na Białoruś.

Scenariusz zawierający wyniki tego dochodzenia prezentowany jest przez trójkę aktorów (Piotr Głowacki, Maja Ostaszewska i Barbara Wysocka) w sposób najprostszy z możliwych – tekst czyta się z prompterów (o czym jesteśmy na początku informowani z wyjaśnieniem, że chodzi o uchronienie wykonawców przed potencjalnymi zarzutami) przy minimalnym udziale środków ekspresji, za to z prezentowanymi na ekranach materiałami dowodowymi. Mamy więc na scenie troje wybitnych aktorów nie tylko rezygnujących z gry, ale też co chwilę mylących się i sprawiających wrażenie, jakby o tym, że występują, dowiedzieli się wczoraj. Do tej nieporadnej prezentacji dodane są fragmenty nagrania „Pasji" Mateuszowej Bacha. Tani chwyt? Puszcza je z czarnej płyty Barbara Wysocka, sprawiająca wrażenie, jakby nie do końca wiedziała, który fragment kiedy włączyć. Zaskakująca nieporadność, zwłaszcza u reżyserki operowej.

Czy ci wszyscy zawodowcy rzeczywiście nie potrafią zrobić tego przedstawienia lepiej? A może nie chcą? Może właśnie o to chodzi, żeby się swoim profesjonalizmem, talentami, popularnością i siłą scenicznej obecności nie popisywać? Teatr już nawet nie ubogi, ale zanegowany, bo to, o co w nim chodzi, jest radykalnie nieartystyczne? W porządku, ale w takim razie po co w ogóle robić teatr? Nie lepiej przeprowadzić samo dochodzenie i jeśli nie da się (jak po „Sprawiedliwości") przygotować wniosku do prokuratury (ostatecznie też nie złożonego), to zrobić coś bardziej medialnie nośnego?

Odpowiedzią jest jednak „Pasja". Jednym z dwójki głównych bohaterów przedstawienia jest Issa Jerjos, dwudziestokilkuletni Syryjczyk, który zmarł z wyziębienia po polskiej stronie, ukrywając się przed mundurowymi, którzy zapewne ponownie wywieźliby go na Białoruś. Jak przypominają twórcy przedstawienia, polskim odpowiednikiem imienia Issa jest Jezus. „Pasja Issy/ /Jezusa" zmarłego w Polsce z winy polskiego państwa odgrywana jest więc w teatrze w sposób świadomie nieporadny, porwany, poszarpany, a zarazem niepokojąco dosłownie – jakby strzępy czegoś, co kiedyś było całe i funkcjonalne, trzepotały na wietrze.

Pod dokumentalnym dochodzeniem ukryty jest proces dowodowy dotyczący symboli i wartości, którego konkluzje można by w wyostrzeniu streścić tak: w nominalnie chrześcijańskim kraju „Pasja" okazuje się nic już nie znaczącym śmieciem, bo lud celebrujący od wieków własną mesjańską ofiarę spokojnie patrzy na śmierć Jezusa, a nawet kibicuje oprawcom. Spektakl tego wątku nie wystawia, jedynie sugeruje, ale sama obecność śpiewanego opisu Męki odsyła do kluczowych analiz René Girarda umieszczającego „Pasję" w kontekście mechanizmu wyboru kozła ofiarnego.

Nie sposób wszak nie zauważyć, że osoby blokowane na granicy polsko-białoruskiej były kozłami ofiarnymi, dzięki którym rozładowany został długo ciągnący się kryzys, a w dalszej perspektywie – możliwe było pozorne oczyszczenie w postaci szczodrej pomocy „dobrym uchodźcom" z Ukrainy. Według Girarda ewangeliczny opis Męki to rewelacyjne objawienie niewinności ofiary. W tym sensie spektakl Zadary rzeczywiście jest „Pasją" – ujawnia, że ci, którzy zginęli przy granicach, byli niewinni, a to, co nas łączy, jeśli milczymy, to sekret niewypowiedzianej zbrodni, która ma niezwykłą wręcz siłę wytwarzania wspólnoty.

„Pasja Issy/Jezusa" nie jest zastępczym dochodzeniem czy procesem sądowym. To nadal teatr – teatr odpowiedzialności, a więc pytania o moją odpowiedź, zwrócony przeciwko mechanizmom indywidualnego i zbiorowego usprawiedliwienia, przeciwko samopocieszającemu „ja naprawdę chcę dobrze". Oglądając kolejne kiksy, trudno nawet na najprostszym poziomie uznać tę chęć. Albo inaczej – uznać, że ta chęć do czegokolwiek wystarczy.

Oczywiście, po tym „O" też są brawa i kolejne seanse odbudowywania dobrego samopoczucia: owacje na cześć syryjskiej rodziny, której historia jest częścią scenariusza, szeregi podziękowań, wyrazy wsparcia. Ale niezależnie od tych ceremonii i tego, czy wszystko, o czym piszę, zostało uruchomione świadomie, teatr odpowiedzialności, pracujący na mechanizmach ukrytych od założenia świata, błysnął na koniec sezonu swoim bezwzględnym światłem. Mimo całego bogactwa oferty wszelakich stref komfortu wierzę w siłę tego blasku. © DARIUSZ KOSIŃSKI

Grupa tej ziemi

JAN BŁASZCZAK

Kiedy odmienne pochodzenie było pretekstem do przemocy, zespół Ferkat Al Ard tworzył muzykę czerpiącą z dorobku wielu kultur. Nagrana w trawionym wojną Bejrucie kultowa płyta „Oghneya" doczekała się właśnie wydania.

Zanim znajdzie czas na rozmowę, Issam Hajali musi zamknąć sklepik z biżuterią, który prowadzi przy jednej z głównych ulic Bejrutu. Słucham go więc późną nocą: – Pierwszą gitarę dostałem od przyjaciela, który widział, jak bardzo pasjonował mnie rock. To był tani, prymitywny model. Trzeba go było stroić w specyficzny sposób, by w ogóle dało się grać. A jednak właśnie ta gitara stała się moją przepustką do muzycznych podróży. Minęło kilka lat i ten przyjaciel zginął. Cóż, w tej historii nie brakuje ofiar.

Z Bejrutem łączy go głęboka, lecz trudna relacja. W piosenkach Hajaliego jest nie tylko tchnienie wielokulturowej śródziemnomorskiej metropolii, lecz także dramat wojny, strachu i śmierci. Artysta otarł się o nią w 1976 r., kiedy do Libanu wkroczyły wojska syryjskie. Tylko refleks uchronił go wówczas od kuli snajpera. Wtedy, jedyny raz, zdecydował się opuścić ukochane miasto. W przebraniu dostał się na pokład kontenerowca płynącego na Cypr, skąd wyruszył do Paryża. I choć ta dramatyczna ucieczka jest godna szpiegowskiej powieści, Hajali uważa, że najciekawsze wyprawy odbył z gitarą w rękach.

Niestety, nie było ich wiele. Nakładem wytwórni Habibi Funk, która specjalizuje się w wynajdowaniu pereł z archiwów arabskiej fonografii, ukazały się dotąd dwa albumy prezentujące jego niezwykły talent. Wydana właśnie „Oghneya" była debiutancką płytą grupy Ferkat Al Ard, którą Hajali powołał tuż po swoim powrocie z Paryża. Nagrany w 1978 r. album nie odbił się szerokim echem. Trudno, aby było inaczej w kraju pogrążonym w wojnie domowej. Mimo to „Oghneya" nie przepadła. Wraz z upływem lat legenda wydanego w mikroskopijnym nakładzie albumu rosła. Jego egzemplarze sprzedaje się za kilka tysięcy dolarów.

CZAS DOBROBYTU I POZORÓW | Nie ma przypadku w tym, że Hajali uciekł akurat do Francji. Liban ogłosił niepodległość na początku lat 40., ale Francja zachowała tu wiele wpływów. Hajali, jak wielu jego rówieśników, obok języka arabskiego uczył się też francuskiego i angielskiego. Bejrut był miastem wielokulturowym i międzynarodowym. Odwiedzali go liczni turyści, bankowe zagłębie ściągało kadry, a w eleganckim Casino du Liban występowali Duke Ellington i Jacques Brel. Libańska młodzież była też pod wrażeniem rockowej rewolucji, która wybuchła w Wielkiej Brytanii.

– O, tak! Beatlesi, The Hollies, Family, Procol Harum... byłem uwiedziony tą muzyką – wspomina Hajali.

W pierwszej połowie lat 70. muzyk dołączył do zespołu Rainbow Bridge, nazwanego tak od wydanej wówczas kompilacji utworów Jimiego Hendriksa. Najpierw grał na perkusji, ale kiedy tylko zrobił się wakat na stanowisku gitarzysty, zmienił instrument. Bębniarz, który go zastąpił, zginął kilka lat później od kuli snajpera.

Rainbow Bridge nagrali singiel w języku angielskim, ale Hajaliemu coraz bardziej przeszkadzał rozrywkowy charakter przedsięwzięcia: – Podziwiam oryginalność i konsekwencję wielu zachodnich twórców, ale zacząłem zadawać sobie pytanie o moją rolę w tym wszystkim. Tym bardziej że na naszej wrażliwości piętno odcisnął kolonializm, co u wielu Libańczyków rodziło kompleksy dotyczące rodzimej kultury. M.in. dlatego postanowiłem, że będę wyrażać się w ojczystym języku i podążać własną drogą.

Ważnym punktem odniesienia stała się dla niego założona w latach 50. libańska wytwórnia Voix De L'Orient. Zwłaszcza nagrania braci Rahbani – kompozytorów, aranżerów i producentów, do których pielgrzymowali artyści z całego Bliskiego Wschodu. Przy czym duet nie potrzebował gwiazd z importu – żoną Assiego, starszego z braci, była Fairuz – wokalistka, jedna z największych gwiazd arabskiej sceny muzycznej.

Zdominowane przez chrześcijan rządy nie kryły swojej zależności od mocarstw Zachodu. Kiedy w 1958 r. pojawiło się zagrożenie konfliktem ze Zjednoczoną Republiką Arabską, prezydent Szamun poprosił władze USA o zbrojną interwencję. Chrześcijańskich maronitów niepokoił także szybki przyrost ludności muzułmańskiej. Na przełomie lat 60. i 70. przyspieszyła go wojna 1967 r. i nieudany przewrót w Jordanii, w wyniku czego

MATERIAŁY PRASOWE HABIBI FUNK X2

Obok:
Ziad Rahbani i Issam Hajali podczas nagrywania debiutu zespołu Ferkat Al Ard. Bejrut, 1978 r.

Po lewej:
Issam Hajali na ulicach Bejrutu. Ok. 1978-79 r.

do Libanu uciekły setki tysięcy Palestyńczyków.

MIŁOŚĆ W CZASACH WOJNY | – Przez kraje arabskie Palestyńczycy byli traktowani z jednej strony jak wzniesiony sztandar, od którego opinia publiczna nie pozwala się uwolnić, a z drugiej jako rewolucyjna siła, stanowiąca zagrożenie dla stabilności regionu – tłumaczy Krzysztof Strachota, kierownik Zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej w Ośrodku Studiów Wschodnich. – Pojawienie się w Libanie setek tysięcy Palestyńczyków, niekiedy sfrustrowanych, nabuzowanych komunizmem i nacjonalizmem, mających przeświadczenie, że są latarnią arabskiego świata, okazało się dla tego kraju dynamitem.

Mimo to Hajali konsekwentnie opowiadał się po stronie uchodźczego narodu. Podkreśla, że robił to nie ze względu na kwestie religijne, lecz humanitarne: – W głoszeniu swoich poglądów idę do samego końca, do ściany. Nigdy jednak nie byłem fanatykiem żadnej sprawy. Moje serce nie pozwala mi odczuwać nienawiści do nikogo.

Z tym Libańczycy nie mieli łatwo. Strachota: – Konflikt libański to stale zmieniająca się konfiguracja. Lokalne grupy lawirują: zależnie od bieżącego układu i kalkulacji są aktywną stroną takiego albo innego konfliktu, takiego albo innego sojuszu.

Szaleństwo wojny w Libanie objawia się choćby tym, że rok później Hajali musiał uciekać z miasta nie dlatego, że zagrażali mu Izraelczycy, przeciwko którym opowiadał się jako adwokat palestyńskiej sprawy, lecz Syryjczycy. Wojska tego muzułmańskiego kraju wkroczyły do Libanu, by ratować stabilność regionu. Syryjczycy nie chcieli dopuścić ani do podziału kraju, ani do jego regularnej wojny z Izraelem. Przynajmniej w 1976 r., bo później bywało różnie.

To wtedy Hajali uciekł do Paryża. Nie on jeden. W stolicy Francji spotkał innych uchodźców z Bejrutu, w tym Rogera Fakhra. Był on nie tylko starym przyjacielem Hajaliego, ale także sprawnym kompozytorem i aranżerem, który pomógł mu napisać jego pierwszą płytę „Mouasalat Ila Jacad El Ard": – Ten album to opowieść o problemach, które dostrzegałem wokół siebie. Kiedy dorastasz w czasach wojny, nie możesz śpiewać tylko o miłości. Albo inaczej: możesz to robić, ale korzystając z innych obrazów, słów i pojęć. Bo śpiewając o wojnie, też możesz śpiewać o miłości.

Z braku funduszy muzycy nagrali album w jeden dzień. Trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę, jak wysmakowane są to utwory. „Mouasalat Ila Jacad El Ard" ma folk-rockowy charakter, ale w jego rozbudowanych kompozycjach i misternych aranżacjach słychać echa jazzu, art-rocka, a nawet szczyptę funku.

Jako teksty Hajali wykorzystał głównie wiersze lewicowego palestyńskiego poety Samiha al-Qasima. Album był gotowy w 95 procentach. Pozostało dograć jeszcze tylko kilka drobiazgów. Hajali postanowił, że zrobi to w Bejrucie.

PLANETA „OGHNEYA" | Kilka miesięcy po powrocie Hajaliego, do libańskiej stolicy przybył również Fakhr: – Ojciec udostępnił mi mieszkanie w Zachodnim Bejrucie, do którego zaprosiłem Issama. On z kolei ściągnął saksofonistę Toufica Farroukha. Założyliśmy zespół i czasem występowaliśmy w lokalnej restauracji. W 1978 r. udało nam się nawet zorganizować biletowany koncert w hali Uniwersytetu Amerykańskiego w Bejrucie.

W tym samym okresie Fakhr nagrał wspaniałą folk-rockową płytę „Fine Anyway", wznowioną w ubiegłym roku przez Habibi Funk. Wszystko to: nagrywanie piosenek, dystrybucja kaset, malowanie plakatów, granie koncertów – odbywało się w mieście pogrążonym w wojnie.

– Ona była bardzo specyficzna – tłumaczy Hajali. – Długie okresy walk przeplatały się z długimi okresami względnego spokoju. Nigdy jednak nie wiedziałeś, kiedy pokój się skończy. Czy samochód, koło którego przechodzisz, nie wybuchnie? Czy miejsce, w którym przypadkiem przebywasz, nie stanie się nagle twoim nowym domem? Jeśli mimo to potrafiłeś zachować zimną krew, mogłeś stworzyć swój własny świat, własną planetę.

Podobnych artystów było w Bejrucie więcej. Jednym z nich był Ziad Rahbani – syn Assiego i Fairuz, muzyk, aranżer i kompozytor, który wbrew wszystkiemu wraz ze wspólnikiem postanowił założyć wytwórnię Zida. Artysta przeprowadził się ze Wschodniego do Zachodniego Bejrutu, co stanowiło wówczas akt na granicy brawury.

– Każda ze społeczności zamieszkujących Liban była podzielona na szereg mniejszych ugrupowań dbających o swoje lokalne interesy – tłumaczy Strachota. – Dlatego życie w Bejrucie było skoncentrowane w swoistych gettach. Dzielnicach kontrolowanych przez poszczególne ugrupowania i zdominowanych przez ich społeczne zaplecze. Ta tendencja tylko ↦

↦ się umacniała, bo bezpieczniej mieszkać wśród swoich niż między obcymi.

Rahbani trafił na kopię „Mouasalat Ila Jacad El Ard", które momentalnie go zauroczyło. Komplementy, także pod adresem „Fine Anyway", zrobiły na muzykach wielkie wrażenie.

– Ziad był już wtedy najpopularniejszym, najważniejszym libańskim muzykiem – tłumaczy Fakhr. – A przy tym nigdy nie dawał odczuć, że wywodzi się z zupełnie innej klasy. Stąpał twardo po ziemi, był jednym z nas.

Rahbani nie tylko zaproponował wydanie debiutanckiej płyty Ferkat Al Ard – to jest założonego przez Hajaliego zespołu – ale także chciał być jego aranżerem. Nadawał się idealnie do tej roli. Nie tylko dlatego, że Hajali próbował rozwijać muzyczny język jego rodziców, ale także dzielił z nim miłość do muzyki brazylijskiej. Artyści mogli godzinami rozprawiać o twórczości João Gilberto czy Antônio Jobima. Przed wojną Fakhr i Hajali zaprzyjaźnili się z mieszkającym w Bejrucie brazylijskim gitarzystą, którego technikę podpatrywali. Efektem jest „Oghneya" – album, który stanowi rozwinięcie debiutu Hajaliego o elementy bossa novy i bogato orkiestrowanego popu.

Pomimo entuzjastycznego odbioru, jaki spotyka płytę po latach, Hajali wspomina tamte nagrania z mieszanymi uczuciami: – Towarzyszyły mi wtedy skrajne emocje. To był czas, kiedy adaptowałem się do nowych, bardzo trudnych realiów. Praca nad albumem ożywiała mnie, ale nie miałem pojęcia, dokąd mnie zaprowadzi.

Rok później wziął udział w nagraniu „Abu Ali" Rahbaniego. Pionierskie dzieło arabskiego disco i funku cieszy się dziś kultowym statusem, ale nie uchroniło próbującej działać w obliczu wojny wytwórni przed upadkiem. Ziad odezwał się więc do Fakhra, który dzięki tej znajomości trafił do zespołu Fairuz. W 1981 r. wyruszył z wokalistką w tournée po Stanach Zjednoczonych, w których postanowił zostać.

– Kiedy po raz pierwszy słuchałem „Oghneyi", byłem w szoku, jak piękne są te piosenki – wspomina Fakhr. – Issam śpiewał po arabsku, a w tle jazz, rock, folk, muzyka brazylijska i wiele więcej. I jeszcze ta nazwa: Ferkat Al Ard (Grupa Tej Ziemi) – on reprezentował nas wszystkich. W tamtych czasach... Nie mógłbym być z niego bardziej dumny.

© JAN BŁASZCZAK

MATERIAŁY PRASOWE BEST FILM

Kadr z filmu „Ennio", reż. Giuseppe Tornatore

Dowody na istnienie geniuszu

ANITA PIOTROWSKA

Powstały niedawno portret Ennio Morricone z powodzeniem próbuje ogarnąć dzieło mistrza. Film wejdzie na nasze ekrany dokładnie w drugą rocznicę jego śmierci.

Może wcale nie on – wbrew temu, co twierdzą niektórzy – wynalazł muzykę filmową. Być może wiele z ponad pięciuset napisanych przez niego ścieżek dźwiękowych nie wyrywa z butów, a niektóre powtarzają się przy różnych tytułach. Jedno jest pewne: niewielu kompozytorów odcisnęło tak wyraźny stempel na filmach sygnowanych swoim nazwiskiem. Zamiast ilustrować, aktywnie je współtworzył; był zaprzeczeniem wszelkiej służebności. Wystarczy usłyszeć kilka napisanych przez Morricone dźwięków, z „Wieku XX", „Misji" czy „Dawno temu w Ameryce", żeby przywołać w pamięci cały film.

Skoro za kamerą filmu o maestro stanął Giuseppe Tornatore, z którym po „Cinema Paradiso" (1988) współpracował jeszcze osiem razy, nie mogło być inaczej, jak tylko *con amore*. Zresztą „wszyscy święci" występujący w „Ennio", od uznanych reżyserów i aktorów po muzyków klasycznych, jazzmanów i gwiazdy rocka, używają wyłącznie superlatywów. Ciekawie jest wtedy, gdy bezwiednie zaprzeczają sobie nawzajem, próbując zdefiniować w skrzydlatych słowach fenomen Morricone. Wywodził się on bardziej z szachowych pasji czy z uduchowienia? Napędzał go intelekt czy raczej instynkt? Każdy z diagnostów ma swoją rację, bo będąc tak rozpoznawalnym, włoski artysta potrafił być za każdym razem inny. Film wykracza jednak poza montaż „gadających głów" przeplatanych wyimkami z filmów i soundtracków. Prawie każde przywołane osiągnięcie to osobne studium przypadku, potraktowane z filmoznawczą i muzykologiczną wnikliwością. Na szczęście reżyser zdążył oddać głos także głównemu bohaterowi. Skromny starszy pan w czerwonym sweterku, pochylony w swym gabinecie nad papierem nutowym, uosabia mówioną historię kina, nie tylko wło-

skiego, i snuje fascynującą opowieść o meandrach tworzenia muzyki filmowej.

Ta profesja uchodziła niegdyś za wstydliwą, stąd niedoszły lekarz, trębacz, dyrygent wojskowy i wzięty aranżer telewizyjny początkowo uprawiał ją pod pseudonimem. Z nazwiska Morricone zrobiła się marka, kiedy kumpel z podstawówki, niejaki Sergio Leone, zaprosił go do pracy przy „Za garść dolarów" (1964). Stało się to początkiem pięknej przyjaźni i od tej pory jego filmografia zaczyna pęcznieć od innych znamienitych nazwisk (jak Marco Bellocchio, Pier Paolo Pasolini, Dario Argento, Bernardo Bertolucci), od ważnych epokowo tytułów („Bitwa o Algier" Gilla Pontecorvo, „Śledztwo w sprawie obywatela poza wszelkim podejrzeniem" Elia Petriego) czy minimalistycznych arcydzieł („Pustynia Tatarów" Valeria Zurliniego). Normą było dlań kilkanaście filmów rocznie, w większości już zapomnianych, lecz nie chodziło o parcie na ekran za wszelką cenę – po prostu Morricone nie dzielił kina na niskie i wysokie. Projektował kameralnie, to znów wyżywał się symfonicznie, nie znając gatunkowych ograniczeń. Eksperymentował z muzyką atonalną i konkretną, poszukiwał „traumatycznych dźwięków", a jednocześnie cieszyło go pisanie otulających melodii. I jeszcze długo zarzucano mu, że będąc po konserwatorium, „prostytuuje się" pisaniem dla kina. Jest w tym jakaś ironia, bo nobilitując filmowe komponowanie, równocześnie skazywał na marginalność inne swe muzyczne osiągnięcia, choć u niego obie te dziedziny często się przenikały.

Dokument Tornatore uczy słuchania filmów. Czym innym byłyby przecież słynne spaghetti westerny z Clintem Eastwoodem, gdyby każda z postaci nie miała osobnego motywu muzycznego, gdyby zabrakło tych wszystkich gwizdów, harmonijek, dzwonów, „galopów na gitarach" i „trzepoczących trąbek". Morricone to artysta, któremu wszystko grało: turlające się puszki, stukot maszyny do pisania, strzelanie z bata, pęd pociągu czy wycie kojota. I nie wahał się tego użyć na równych prawach z kontrapunktami Bacha. Lecz i to bywało czasem kontrowersyjne – podobno John Huston odrzucił jego muzykę do „Biblii" (1966) jako... zbyt trudną. Choć za oceanem miał ugruntowaną renomę (pisał dla Terrence'a Malicka, Barry'ego Levinsona, Briana De Palmy) i w 2007 r. dostał honorowego Oscara za całokształt, dopiero dziewięć lat później, w dziewiątej dekadzie życia, doczekał się statuetki za konkretne dzieło – w „Nienawistnej ósemce" Quentina Tarantino.

„Ennio", mimo ponadprzeciętnego metrażu (bite 150 minut – ale czy z takim bohaterem dałoby się krócej?), próbuje znaleźć balans między analizą i anegdotą. Ta ostatnia pozwala dowiedzieć się, dlaczego nie doszło do współpracy Morricone ze Stanleyem Kubrickiem albo w jakich okolicznościach napisana dla Joan Baez piosenka „Here's to You" stała się w 1971 r. politycznym hymnem. Ponoć Leone ufał swemu kompozytorowi tak bardzo, że puszczał jego muzykę aktorom podczas zdjęć. Nazywał wręcz Morricone (i to akurat zdanie w owym dokumencie nie pada) swoim najlepszym scenarzystą i autorem dialogów. Zurliniemu wystarczyło parę nut, by zaprosić mistrza do pracy przy adaptacji prozy Dina Buzzatiego. Najbarwniej jednak opowiada o swojej muzyce sam Ennio. Choćby wtedy, gdy wspomina, jak pisząc utwory do „Misji" (1986) Rolanda Jofféego szukał połączeń między dźwiękami oboju i renesansowego motetu a rytmicznym brzmieniem wziętym z folkloru rdzennych mieszkańców Ameryki Południowej. I to też słychać z ekranu.

Właściwie ten film powinien nazywać się „Morricone", bo mało w nim Ennia prywatnie, aczkolwiek wzrusza zdolność, z jaką potrafi on przyznawać się do swych porażek lub pomyłek, tudzież rzadka u artystów tego formatu umiejętność słuchania innych. W końcu jeszcze za życia zyskał miano klasyka, inspirując muzyków różnej maści i metryki, wypełniając swoimi kompozycjami sale koncertowe i stadiony. „Ennio" przynosi również historię pewnej emancypacji. Dzisiaj, kiedy coraz częściej dyskutuje się na temat autorstwa w kinie, twórczość Morricone zaświadcza o tym, że film nie jest tworem jednego tylko demiurga, ale rodzi się ze spotkania indywidualności, danie zaś im kreacyjnej swobody może przynieść doskonałe efekty. Jeśli tej prawdzie miałoby służyć gadulstwo „Ennia" (nie Ennia!) i jego finałowy patos, warto je przełknąć. Najważniejsze, że główne dowody na istnienie autonomicznego geniuszu zostały tutaj świetnie udokumentowane i podane. ©

ENNIO – *reż. Giuseppe Tornatore. Prod. Włochy/Belgia/Holandia/Japonia 2021. Dystryb. Best Film. W kinach od 6 lipca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Służący

Dramat, reż. Joseph Losey, Wielka Brytania 1963, iTunes Store, Player, Canal+

Mimo upływu lat ten film nie starzeje się wcale. Z pomocą Harolda Pintera jako scenarzysty brytyjski reżyser przedstawia dialektykę pana i niewolnika, a zarazem uniwersalne studium pożądania, manipulacji i korupcji, pełne psychologicznych subtelności i rozgrywające się w ograniczonej przestrzeni. Plus wielka rola Dirka Bogarde'a.

2. Za drzwiami galerii Uffizi

Dokumentalny, reż. Enrique Sánchez Lansch, Corinna Belz, Niemcy 2021, Canal+

Florenckie muzeum o tej porze kojarzy się z tłumami turystów robiących selfie pośród arcydzieł renesansu. Twórcy dokumentu pozwalają zwiedzić je na spokojnie, również „od kuchni". Pokazują sposób funkcjonowania instytucji w obliczu historyczno-cywilizacyjnych przemian, a także współtworzących ją ludzi, w tym pierwszego niewłoskiego dyrektora, Eikego Schmidta.

3. Gadające głowy 2021

Dokumentalny, reż. Jan P. Matuszyński, Polska 2021, Ninateka

Z okazji 80. urodzin Krzysztofa Kieślowskiego uznani ludzie kina z różnych krajów otrzymali te same proste/nieproste pytania, jakie padły w słynnym dokumencie z 1980 roku. Są w tym gronie Irène Jacob, Jerzy Stuhr, Carlos Reygadas, Mariusz Wilczyński czy Asghar Farhadi. Odpowiedzi, z przyczyn pandemicznych, zostały nagrane wyłącznie online.

4. Mój syn

Thriller, reż. Christian Carion, Niemcy/Francja/Wielka Brytania 2021, MOJEeKINO, od 8 VII

Sensacyjna opowieść o porwaniu dziecka to jednocześnie eksperyment: James McAvoy, wcielający się w rolę zdesperowanego ojca, nie dostał wcześniej scenariusza i miał za zadanie improwizować w swych emocjonalnych reakcjach. Intryga ani klimat filmu na tym specjalnie nie zyskują, lecz aktorstwo ratuje całość.

JAN

Klata: *Paradoksy paragonów grozy*

Ponieważ z wszystkich miejsc w Sopocie przyszło mi pracować akurat w Krzywym Domku, może uchylę rąbka tajemnicy i napiszę, jak jest – w sensie, tam, w epicentrum polskiej wakacyjności, w jądrze turystyczności, wewnątrz atrakcji unikatowej na światową skalę. Zdarzają się nazwy, których znaczenie należy interpretować odwrotnie (np. Prawo i Sprawiedliwość), ale Krzywego Domku to nie dotyczy. Krzywy Domek bardzo konsekwentnie wciela w życie swą nazwę, zarówno z zewnątrz, jak i w środku, wciela niejednokrotnie nader wymyślnie. Co prawda z zewnątrz, niestety, Krzywy Domek zasłaniany jest przez proste drzewo, ale w środku drzew nie ma, za to są ściany i okna odpowiednio krzywe. Ech, gdyby potrafiły mówić... albo lepiej nie.

Można domniemywać, że znajdująca się na odpowiednim poziomie jakże przestronna i spektakularna sala, w której robimy próby farsy „Czego nie widać", swego czasu była w pewnym sensie balową, cyklicznie balową może i balową nawet całodobowo, pawiem narodu była i papugą, przynajmniej w szczycie sezonu, jedynie didżeje się zmieniali. Mrożący krew w żyłach węzeł sanitarny mógłby stanowić dekor Barbarelli, a bezpretensjonalny bling-bling ścian *à la* Swarovski do dziś grozi napadami śnieżnej ślepoty, zwłaszcza w towarzystwie tłustych bitów. Na szczęście w przedstawieniu nie używamy stroboskopu, bo cało byśmy z Krzywego Domku nie wyszli. Z przynależnego sali tarasu rozciąga się... tak, rozciąga się widok na permanentny *flash mob* na tzw. Monciaku, który uzmysławia nam, że warto pracować, bo i tak nie ma dokąd iść.

Po całym Sopocie inflacyjnie porozsiewane są czytelnie paragonów grozy, czyli punkty gastronomiczne oraz sklepiki z mydłem, powidłem i ciupagami znad morza. Uprzedzając Państwa pytanie: banany po dychu za kilogram (stan na początek lipca). Urlopnicy 2022 mogą sobie zabrać sopockie paragony grozy do domu na pamiątkę, przyczepić do lodówki, i w zimie popatrzeć na wakacyjne suweniry, konstatując nostalgicznie, że kiedyś to było tanio. Tylko proszę zafoliować, bo wyblakną. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

weź, czytaj!

Do każdej prenumeraty wyjątkowy notes kulinarny w prezencie.

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PAWEŁ

Bravo:
Przepisy na detoks

Dziesięć procent paskudztwa zwanego w naszym kolonialnym pidżynie „ałtdorem" ostało się w kluczowych miejscach Krakowa, od kiedy weszła skutecznie w życie tzw. uchwała krajobrazowa. Kluczowych, bo najbardziej uczęszczanych. Nikt przecież nie będzie pchał się z afiszem tam, gdzie nikt nie patrzy – badania nad tym, ile par oczu mija konkretne lokalizacje, były jednym z pierwszych cywilnych zastosowań technologii GPS, widziałem też najtęższe statystyczne głowy swojego pokolenia, które sprzedawały swój intelekt za górę monet przy wyliczaniu modeli przewidujących ludzkie potoki piesze i zmotoryzowane.

Widok niektórych skrzyżowań i poboczy arterii pozostanie mi pod powiekami jeszcze długo jako ślad upodlenia. Pokrycie całości najbliższego otoczenia grubą warstwą merkantylnego przekazu, który się zmieniał w rytm kolejnych kampanii, działało na nas destrukcyjnie nie tyle przez bezpośredni ból wywoływany przez obcowanie z wizualizacją trywialnych skojarzeń. Bo na głębszym poziomie toksyczna była przyswajana co dzień, w drodze do pracy, jak świecki pacierz mieszczucha pewność, że materialne ramy egzystencji są na sprzedaż. Że na pastwisku naszego bycia każdy kamień i kępa traw to tylko elementy, które pasterze mogą poprzestawiać w nocy, byle im przybyło dutków.

Życie w dużych miastach i tak gwałci wiele mechanizmów właściwych psychice i fizjologii zakorzenionej w rzeczywistości wspólnot wczesnej fazy agrarnej. Dla jednych narkotyczne, dla innych zgubne działanie metropolii jest dobrze rozpracowanym wątkiem XX-wiecznej kultury, której narzędzi dalej używamy, by się umościć w mieście. Częścią tego doświadczenia była i jest wizualna kakofonia szyldów, napisów, liter i plam. Ale nawet w dzikich eksperymentach ekspresjonistów panowała swego rodzaju umowa społeczna, że wzdłuż zgiełkliwych wąwozów ulic stoją rzędem budynki, jasne i ponure, ozdobne i surowe – dowolne, ale każdy z własnym trwałym charakterem.

Aż nadeszły wielkoformatowe tzw. siatki, które może i z bliska są ażurowe, ale z daleka przypominają wielką dyktę zasłaniającą całe fasady. Że myśmy tak właściwie bez piśnięcia, buntu, pozwolili sobie odebrać widok domów, że żaden rząd nie ruszył palcem, by zakazać tej kradzieży, to jest dla mnie niepojęty grzech wczesnej fazy transformacji ustrojowej, kiedy to spośród kluczowych rekwizytów republiki bananowej brakowało nam zasadniczo tylko plantacji bananów. Chodzę więc dziś jak radosne dziecię po Krakowie i rozdziawiam usta – wszak przepiękny dom Ekielskiego na rogu ulicy Piłsudskiego i alei Krasińskiego widziałem w całości ostatni raz chyba w zeszłym stuleciu. Inne budynki, z których pościągano szmaty, nie są może aż tak wybitne, ale po prostu są. Nieraz pełne zacieków i poszczerbione – ale taki właśnie jest świat życia codziennego i nigdy nie będzie inny: niedokładnie prosty, zabrudzony i wyboisty.

Może i drugie moje miasto się wreszcie ogarnie, a warszawski Ratusz łaskawie dokończy prace nad własną – jakiś czas temu zawieszoną przez sąd – uchwałą, coby zmniejszyć mieszkańcom codzienną dawkę sztucznych światów z fotoszopa. I tak pochłaniamy tego coraz więcej w każdym aspekcie życia. Nawet kilo ziemniaków, gomółka twarogu czy ćwiartka śmietany trafiają do nas coraz częściej jako produkt szczelnie opakowany w stosowne dla danej kategorii złudzenia. W tych szczęśliwych miesiącach, kiedy ziemia rodzi i targi są nareszcie pełne wszystkiego, podejmijmy prosty detoks: bierzmy luzem, nie w paczce, ze straganu, nie ze sklepu, bez kodu kreskowego, za to ze spojrzeniem w twarz.

Detoks podwójny: po pierwsze, od mikroplastików i innych potencjalnie szkodliwych drobin materii z wszelkich folii i styropianów. Ale po drugie i ważniejsze – chodzi o to, co przyswajamy przez oczy: o podstępne molekuły wyobrażeń zamulających obcowanie z jedzeniem, nanowarstwy reklamowych bodźców deformujących system nerwowy. Kiedy straganiarz pisze przy skrzynkach sakramentalne zachęty w rodzaju „bez łyka" (fasolka i pomidory), „słodkie" (morele albo brzoskwinie) czy „pestka odchodzi" (śliwki), to przez proste doświadczenie rozpoznajemy grę z oczekiwaniami. Nie jesteśmy w niej całkiem bezbronni – dobrze wiemy, że jakieś łyko zawsze się znajdzie, a słodycz owocu jest rzeczą względną. Nasze archaiczne mózgi nie są bezbronne wobec naciąganej obietnicy namazanej na tekturce – ale na tym chyba nasze zdolności samoobrony się kończą. ©℗

Coraz częściej widuję na straganach mangold, czyli burak liściowy. Przeważnie czerwony, ale czasem też żółty, a nawet białawy. Odpowiecie: a cóż nam po obcych wynalazkach, nami rządzi botwina! No może, ale chciałbym was skłonić do mniej pracochłonnej niż zupa formy użycia tego liścia, który smakuje trochę inaczej niż nasze buraczane, ma więcej goryczki. Znakomicie syci w upalne dni w połączeniu z ziemniakiem, w postaci dania znanego w wiejskiej tradycji północnych Włoch jako coste e patate. Myjemy gruby pęk mangolda, oddzielamy łodygi od liści, łodygi drobno kroimy – jeśli są bardzo grube i łykowate, możemy je zblanszować dwie minuty. Na dużej patelni podgrzewamy na oliwie czosnek, wrzucamy łodygi, dusimy co najmniej pięć minut, podlewając ewentualnie odrobiną wody. Dodajemy poszarpane liście, mieszamy, dusimy pod przykryciem dalsze pięć minut, wciąż podlewając odrobiną wody lub bulionu warzywnego. Dodajemy uprzednio ugotowane w mundurkach, obrane i pokrojone ziemniaki (1 ziemniak na 2-3 liście), pozwalamy im dojść i zmięknąć na patelni kilka minut. Z ziół i przypraw ten rodzaj buraka szczególnie lubi tymianek i biały pieprz.

PAWEŁ BRAVO

BRATERSTWO LINY

Na szczycie było całkiem ciemno, jedynie w oddali dało się zobaczyć łunę znad Anchorage. Kiedy księżyc w pełni wędrował przez szczyty i doliny, miałem wrażenie, że całe pasmo oddycha.

ADAM ROBIŃSKI

Wiadomość była lakoniczna: pierwszy zimowy zdobywca Denali, najwyższego szczytu Ameryki Północnej (6190 m n.p.m.), na chwilę zajrzy do Warszawy. Nie zdąży spotkać się z czytelnikami książki „Minus 100 stopni", w której opisał wspinaczkę, ale zgodził się na wywiad i wyznaczył termin.

Nie ma co ukrywać: imię i nazwisko Art Davidson nic mi nie mówiło. Również informacje w serwisach były skromne.Ograniczały się do ciągle tych samych faktów: że w marcu 1967 r. Davidson wraz z dwoma towarzyszami stanął na szczycie Mount McKinley, która z czasem zmieniła nazwę na Denali. I nic więcej. Bartek Dobroch, ekspert „Tygodnika" od spraw wysokogórskich, tylko potwierdził przypuszczenie: pomijając epizod związany z Denali, Davidson jest w środowisku wspinaczkowym postacią nieznaną. Intuicja mówiła więc „nie". A jednak palce wystukały na klawiaturze odpowiedź: „tak, chętnie".

Potem Amerykanin zapadł się pod ziemię. Nie odpisywał na maile ani na wiadomości wysyłane na alaskański numer telefonu. Trochę mi nawet ulżyło – z czego uszyć wywiad z człowiekiem, o którym wie się tylko tyle, że zdobył wysoką górę? Ale w przeddzień terminu do mojej skrzynki wpadła odpowiedź: „Jest wtorek wieczór, zameldowałem się właśnie w hotelu w centrum Warszawy, uruchomiłem laptop i znalazłem twoją wiadomość. Chętnie się jutro spotkam. Zadzwoń do mnie rano, najlepiej po dziesiątej, bo mam okropny jetlag".

Deszczowe popołudnie, warszawski Muranów. O umówionej godzinie starszy, siwy pan w czapce z daszkiem wchodzi do księgarni, i jakby nigdy nic zaczyna oglądać okładki książek. To on? Nie on? Kiedy napotyka kilka utkwionych w nim zdziwionych spojrzeń, zaczyna się śmiać. Zupełnie jakby spłatał właśnie najlepszy psikus świata. Siadamy we czworo – z Janem Dzierzgowskim, autorem polskiego przekładu „Minus 100 stopni", oraz Julitą Różak z wydawnictwa Czarne. Oboje wpadli na chwilkę, bo chcieli się z Davidsonem tylko przywitać. Zostaną do końca rozmowy. Ja po piętnastu minutach zorientuję się, że listę pytań, które naprędce przygotowałem, mogę wyrzucić do kosza. I że dyktafon powinienem był włączyć już dawno temu. Opowieść szła tak:

ANCHORAGE DAILY NEWS / GETTY IMAGES

KAŻDA GÓRA MOŻE ZOSTAĆ CZYIMŚ EVERESTEM – wyzwaniem, które pozwoli przeżyć to, czego najwięksi wspinacze doświadczają w Himalajach. Poznać majestat góry, kaprysy jej pogody, ale też piękno współpracy z przyjaciółmi, z którymi odbywa się wspinaczkę. Są oczywiście szczyty wyższe od Denali. Ale niewiele jest na świecie gór o większej wysokości względnej, mierzonej od podstawy do wierzchołka. Na Everest startuje się z poziomu ponad 5 tysięcy metrów nad poziomem morza. Denali ma swą podstawę o wiele niżej, a szczyt na ponad 6 tysiącach. Naprawdę ogromna góra. To zresztą znaczy jej nazwa w miejscowych językach: Denali, czyli wysoka. Ale przecież góra to nie tylko skały i śnieg. To również lodowce, rzeki, doliny z jeziorami, rzeki, zwierzęta, które ją zamieszkują: grizzly, łosie, karibu, wilki, lisy, ptaki. One też składają się na górę.

Wychowałem się na równinach Kolorado. Na horyzoncie widziałem Góry Skaliste, które mnie przyzywały. Ale zanim na dobre w nie wsiąkłem, pomieszkiwałem w Europie. Jeszcze w szkole założyliśmy z przyjaciółmi organizację działającą na rzecz pokoju na świecie. Przemawialiśmy, organizowaliśmy konferencje, chcieliśmy zmienić świat na lepsze. No ale przecież nie byłem ani bogaty, ani sławny, więc szybko mój entuzjazm zmienił się w wielkie rozczarowanie. Wyzbyłem się wszelkich złudzeń co do kierunku, w którym zmierza świat.

Park Narodowy Denali, w tle szczyt Denali. Stany Zjednoczone, 2006 r.

Przez jakiś czas mieszkałem nawet na ulicy i robiłem rzeczy, które mogły źle się dla mnie skończyć. A potem trafiłem na Alaskę. Ona mnie uzdrowiła. Spędzałem całe dnie w górach, samemu lub z przyjaciółmi, wspinając się na szczyty, które były dosłownie *terra incognita.* Wiele z nich nie miało jeszcze nazw. Po prostu pokazywaliśmy sobie palcem jakąś górę i zaczynaliśmy się zastanawiać, czy dałoby się tam wejść. Denali była już zdobyta, sam pewnego lata też stanąłem na jej szczycie. Ale nikt nie zrobił tego w zimie. Jak jesteś młody, to tego typu wyzwania przemawiają. Jak zimno będzie na szczycie? Jakie jest światło? Czy da się to w ogóle zrobić przy tym wietrze i temperaturach? Te niewiadome bardzo nas pociągały.

Współczesna wspinaczka to rywalizacja. Zawody. Wyścig o to, kto trafi na okładkę kolorowego magazynu albo dostanie sponsora. A my nie mieliśmy z kim rywalizować. Byliśmy grupą facetów, którzy rzadko się kąpali, więc nawet specjalnie nie imponowaliśmy kobietom. Ale przygotowaliśmy się najlepiej, jak się dało. Trenowaliśmy, biegaliśmy z kamieniami w plecakach. I, przyznaję, mieliśmy dobry sprzęt.

NA SZCZYCIE BYŁO CAŁKIEM CIEMNO, jedynie w oddali dało się zobaczyć łunę znad miasta Anchorage. Kiedy całą grupą doszliśmy na 5100 metrów, czułem się słabo. Kręciło mi się w głowie. Z parą przyjaciół zszedłem więc na 4200, gdzie jest więcej tlenu, żeby się zregenerować. Kiedy już nabrałem sił i wracaliśmy na górę do obozu, warunki były idealne, niebo czyste. Powiedziałem przyjaciołom, żeby szli sami, a ja zostanę na noc trochę niżej, na grani. To było jedno z najwspanialszych przeżyć w moim życiu. Przez większość nocy nie spałem, tylko gapiłem się w niebo. Patrzyłem, jak księżyc w pełni oświetla doliny, przenika przez szczyty, wędruje. ↦

↦ Miałem wrażenie, że dzięki temu poruszającemu się światłu całe pasmo oddycha.

Ostatecznie na szczyt weszło trzech z nas. Stało się to po tym, jak jeden z naszych przyjaciół zginął w szczelinie. Kiedy w lecie wędrujesz po lodowcu, widzisz je gołym okiem. Możesz ocenić ich rozmiar i głębokość. W zimie wszystko jest zakryte. Szliśmy na Denali z romantyczną wizją odkrywania nieznanego, i to nieznane zabiło jednego z nas.

Mimo to uznaliśmy, że chcemy iść dalej. Kiedy trzech z nas stanęło na szczycie, była zimna, bezchmurna noc. Minus 49 stopni Celsjusza. Byliśmy bardzo zmęczeni. Bardziej niż się spodziewaliśmy. To wynikało ze specyfiki Mount McKinley. Ziemia nie jest idealną kulą. Spłaszcza się przy biegunach. Na szczycie naszej góry było tlenu tyle co w Himalajach na wysokości mniej więcej 7 tys. metrów. Mimo tego zmęczenia byliśmy pewni, że decyzja o zejściu na przełęcz jest najlepszą z możliwych.

Podejmowanie decyzji to bardzo interesujący proces. Przez resztę życia miałem wiele wystąpień publicznych na temat tej wspinaczki. Dla dzieci szkolnych, ale i żołnierzy idących na wojnę, których interesowała przede wszystkim praca zespołowa w tak skrajnych warunkach. Ale najbardziej lubię wykłady w jednej ze szkół w Kolorado, gdzie jestem każdej jesieni. Rozmawiamy wtedy o wyprawie na Denali przez pryzmat decyzji, które podejmowaliśmy tam na górze. Za każdym razem opieraliśmy je na najlepszych informacjach, jakie w danej chwili mieliśmy. Tak samo było wtedy, gdy uznaliśmy, że będziemy biwakować na przełęczy.

Są jednak zmienne, których nie jesteś w stanie przewidzieć. Jak to, że nagle wzmoże się wiatr i przyjdzie największa burza od lat. Jedyne, co mogliśmy w tej sytuacji zrobić, to wykopać jamę w śniegu i się w niej schować. Miała długość ciała, więc nasze stopy były przy samym wyjściu. I na tyle wysoka, że dwóch z nas leżało płasko, a trzeci siedział skulony. Byliśmy przekonani, że wiatr uspokoi się za parę godzin albo następnego dnia. A on wiał dzień za dniem. Stawaliśmy się coraz słabsi.

Po trzech dniach nasi przyjaciele, którzy byli 300 metrów niżej od nas – w normalnych warunkach dałoby się tę wysokość pokonać w godzinę – uznali, że umarliśmy. Nie widzieli dla nas szans na przeżycie w tak skrajnych warunkach. Zeszli więc jeszcze niżej, a my zostaliśmy pod lodem. W śpiworach, ale i tak zamarzały nam stopy i dłonie. Nie mieliśmy co jeść, kończyło się picie. Wreszcie, bodaj po pięciu dniach, wiatr ustał. Byliśmy wyczerpani, odwodnieni, a nasze mięśnie zastałe. Umysły też, bo z uwagi na małą ilość tlenu ledwie mogliśmy myśleć. Zupełnie jakbyśmy byli pijani.

Wyczołgaliśmy się z jamy i zobaczyliśmy, że górę spowija mgła. Widoczność była zerowa. Trzeba było podjąć jeszcze jedną trudną decyzję. Schodzimy po stromym zboczu w stanie skrajnego wyczerpania, niczego nie widząc? Czy wracamy do jaskini, wiedząc, że już z niej nie wyjdziemy? To byłoby jak położenie się we własnym grobie. Ostatecznie udało nam się znaleźć odrobinę jedzenia. Spędziliśmy na przełęczy jeszcze jedną noc. Przeżyliśmy ją, a potem wróciliśmy do domów.

Niektórzy żartują, że podczas czytania „Minus 100 stopni" łatwo przegapić moment, w którym zdobywamy szczyt. A to dlatego, że ostatecznym celem wyprawy okazało się przeżycie tych sześciu dni pod lodem. Gdyby nie nadeszła burza, to następnego dnia po wejściu na wierzchołek bylibyśmy na dole, a ja nigdy nie napisałbym książki.

Doświadczenie z pogranicza śmierci mnie zmieniło. I to na paru poziomach. Nabrałem przekonania, że potrafię coś zdziałać. W obliczu trudnej sytuacji znaleźć wyjście. Druga sprawa to głębokie zespolenie z naturą, wynikające zresztą nie tylko ze wspinaczki na Denali, ale przede wszystkim z samotnych dni spędzonych w górach. Najważniejsze jednak było to, czego przez wiele lat nie umiałem ubrać w słowa.

W górach mówi się często o braterstwie liny. Dziś, kiedy wspinają się również kobiety, to powinno być braterstwo i siostrzeństwo. Chodzi o to, że jesteśmy tam dla siebie wzajemnie. Łączy nas lina. Jeśli się potknę, to ty jesteś na jej drugim końcu, po to, by mnie uratować. I zrobisz wszystko, by mnie ocalić. A jeśli ty upadniesz, to ja podniosę ciebie. Na Denali dostałem wymowną lekcję tej życiowej prawdy. Miałem wtedy 22 lata.

PO EKSPEDYCJI NIE CHODZIŁEM JUŻ W GÓRY JAK DAWNIEJ. Nie dlatego, że się bałem czy że przestałem je kochać. Przecież przez resztę życia w nich mieszkałem. Zająłem się pracą w ochronie przyrody. Alaska to był wielki, dziewiczy obszar. Dopiero co została czterdziestym dziewiątym stanem. Nie było więc tam ani jednego stanowego parku. Planowano wycinki.

Któregoś dnia usłyszałem, że dolina, do której trafiłem podczas swojej pierwszej alaskańskiej wycieczki, zostanie wylesiona. Uznałem, że coś trzeba z tym zrobić. Udało się. Dzięki zaangażowaniu grupy osób wycinka została zatrzymana. Z rozpędu utworzyliśmy też pierwszy stanowy park na Alasce, Chugach State Park. Był wtedy największy w całych Stanach Zjednoczonych. Sukces sprawił, że przez lata zajmowałem się głównie powoływaniem kolejnych obszarów chronionych. Miałem poczucie, że robię coś naprawdę ważnego. Jeśli coś kochasz, to chcesz to chronić. Góry, potoki, wilki, łososie, ptaki.

Mój umysł działa bardzo powoli. Przez długie lata zastanawiałem się, dlaczego ja, rudy, piegowaty chłopak z małego miasta, zająłem się pracą z rdzennymi mieszkańcami Alaski. Dopiero parę dekad później zrozumiałem, że to przeżycia na Denali – trudy, które sam na siebie sprowadziłem – pozwoliły mi współodczuwać ich cierpienie. Ich codzienne zmagania, walkę o lepsze jutro w świecie, który obchodzi się z nimi wyjątkowo brutalnie. Odbiera im ziemię, walczy z ich tradycjami. Kiedy w latach 90. zaczęto mówić o tym, że coraz więcej gatunków zwierząt jest zagrożonych wyginięciem, napisałem książkę o zagrożonych wyginięciem ludach. O dziesiątkach tradycyjnych kultur, które stały się ofiarami naszej cywilizacji.

IM JESTEM STARSZY, TYM WIĘCEJ SIĘ UCZĘ. Kiedy byłem młody, chciałem zapobiec wojnie nuklearnej. Uratować świat. Ale co może jeden człowiek? Gdy wybuchła wojna w Iraku, zrozumiałem, że każdy z nas może zrobić coś mniejszego. Pomóc choćby jednej osobie. W tamtych latach miesiącami łożyłem na utrzymanie pewnej irackiej dziewczynki, która straciła ojca. Na imię miała Ghufran. To po arabsku „przebaczenie". Ale potem Ghufran zniknęła.

Przy pomocy młodego irackiego dziennikarza, nazwijmy go Yusuf, choć nie jest to jego prawdziwe imię, znalazłem sposób, by pomagać grupie wojennych sierot. Słałem mu w tajemnicy pieniądze, a on, ryzykując własnym życiem, kupował ubrania, koce, wszystko, co było im potrzebne. Nikt nie

Mam 78 lat, jestem tu, w Warszawie, a jutro będę we Lwowie, ponieważ ponad **50 lat temu przez kilka dni i nocy witałem się na szczycie Denali ze śmiercią.**

ALASKA SPORT HALL

Art Davidson (trzeci z prawej) i uczestnicy wyprawy na Denali. Alaska, 1967 r.

mógł się jednak dowiedzieć, że tym dzieciom pomaga ktoś z Zachodu. To trwało sześć lat i w końcu stało się dla Yusufa zbyt niebezpieczne. Porwano jego syna, jego kuzyn został zamordowany. Grożono mu, podpalono jego dom. Ostatecznie uciekł do Stanów Zjednoczonych.

Za to znalazła się Ghufran. Ją również udało się ściągnąć do Stanów. Pomagałem jej na wiele sposobów, przede wszystkim zachęcając do nauki. Dziś kończy studia magisterskie z literatury angielskiej na Uniwersytecie Wiktorii w Kanadzie. Jest moją rodziną.

W lutym, pierwszy raz od początku pandemii, pojechaliśmy na narty. Wszyscy – ja, moje dzieci, Ghufran z mężem. Nie widzieliśmy się w tym gronie od dwóch lat! Wieczorami siadaliśmy przed telewizorem i patrzyliśmy, jak wybucha wojna w Ukrainie. W takich sytuacjach po prostu zaczynasz płakać. Po kilku bezsennych nocach zadzwoniłem do Yusufa. Płakaliśmy.

Ale potem wykonałem jeszcze dwa telefony. Ann Garrels to wieloletnia dziennikarka radia NPR, była korespondentka w Rosji, Iraku i wielu innych miejscach. Drugą osobą był mój przyjaciel z dzieciństwa, który potem dokonał zupełnie innych wyborów życiowych niż ja. Służył w Wietnamie jako pilot, za co dostał wszystkie możliwe odznaczenia. Z kolei ja powołałem się na klauzulę sumienia, co zwolniło mnie przed służbą w armii. Powiedziałem, że sumienie nie pozwala mi jechać do Wietnamu, żeby zabijać.

Przez 40 lat się nie widzieliśmy, a dziś jesteśmy sąsiadami i bliskimi przyjaciółmi. Więc kiedy przestaliśmy płakać, we troje powiedzieliśmy, że zrobimy, co w naszej mocy. Był 5 marca. Rozmawialiśmy z ludźmi, zbieraliśmy pieniądze, wydawaliśmy własne, staraliśmy się dowiedzieć, co konkretnie przyda się Ukraińcom walczącym o swój kraj.

NIEDAWNO MIAŁEM ODCZYT W ASPEN, POŁĄCZONY ZE ZBIÓRKĄ. Podeszła po nim do mnie pewna kobieta, ukraińska Amerykanka. Powiedziała, że ma w Georgii mnóstwo sprzętu medycznego, który jest potrzebny we Lwowie, gdzie w służbie zdrowia pracuje jej krewny. Szukała sposobu, jak przetransportować te leki, bandaże, strzykawki. Nie umiałem jej pomóc. Ja tylko organizuję zbiórkę – odpowiedziałem. Ale następnego dnia do niej zadzwoniłem i powiedziałem, że to załatwimy. Jeden z moich synów pojechał do Georgii po ten sprzęt i zawiózł go do Miami. Tam odebrał go drugi syn i poleciał z tym wszystkim do Warszawy. Było tego trzynaście pokaźnych kartonów.

Na lotnisku zaczepili go celnicy. Zapytali, czy to, co wiezie, jest warte więcej niż 10 tys. dolarów. Joe nie miał pojęcia, nie był przygotowany na takie pytanie. „Być może" – odpowiedział. Celnicy wiedzieli, co jest w tych pudłach. Spojrzeli mu w oczy i powiedzieli: „Nie, proszę pana, nie jest. Niech pan idzie dalej". Wszystkie kartony trafiły potem do Lwowa. To było dziesięć dni temu.

Zrozumieliśmy, że mamy skuteczny i tani sposób na transportowanie potrzebnego sprzętu bezpośrednio na wojnę. Zaczęliśmy dzwonić po znajomych, pisać do gazet, wykupywać ogłoszenia. To było wzruszające. Nie miałem pojęcia, że znam tyle osób gotowych w jednej chwili oddać mnóstwo pieniędzy na pomoc anonimowym ludziom. Przychodziły przelewy na 10, 20 tysięcy, ale też mniejsze, na 20 czy 50 dolarów. Nieważne ile, ważne, że ludzie się przejęli. Udało się za to kupić sporo sprzętu.

Zapytałeś mnie, Adam, prawie dwie godziny temu, co robię w Warszawie. Długa ta moja odpowiedź. Przyleciałem razem z córką i dwudziestoma dziewięcioma kolejnymi pudłami ze sprzętem medycznym, które jutro zawieziemy do Lwowa. Przynajmniej wiedzieliśmy już, co powiedzieć na lotnisku polskim celnikom.

Kierkegaard napisał kiedyś, że żyć możesz tylko do przodu, ale zrozumiesz to życie jedynie wstecz. Mam 78 lat i wiem, że jestem tu, w Warszawie, a jutro będę we Lwowie, ponieważ ponad 50 lat temu przez kilka dni i nocy witałem się na Denali ze śmiercią. To mnie zmieniło, wyleczyło z odrętwienia, dało mi umiejętność współczucia. Każdy dochodzi do tego momentu inną drogą. Ja musiałem wejść na najwyższą górę Ameryki Północnej.

Czy przez resztę życia pozostawałem w jej cieniu? Nie sądzę. Robiłem zawodowo masę różnych rzeczy. Założyłem rodzinę, potem drugą. Odniosłem nawet z tą książką pisarski sukces, a potem wydałem jeszcze kilka innych. Jestem szczęściarzem. Piszę teraz zresztą coś na kształt autobiografii. Nie czuję potrzeby publikacji kolejnej książki, która będzie miała moje nazwisko na okładce. Art Davidson dziś jest, jutro go nie będzie. Być może jednak część mojego doświadczenia będzie miała znaczenie dla innych. Być może moje zmagania i to, co z nich wynikło, komuś się przydadzą. Bo jestem zwykłym człowiekiem, jak my wszyscy. © Wysłuchał ADAM ROBIŃSKI

ART DAVIDSON *(ur. 1943) – wspinacz, pisarz, alaskański działacz na rzecz ochrony przyrody. W 1967 r. w trzyosobowym zespole jako pierwszy zdobył zimą Denali, najwyższy szczyt Ameryki Północnej. Opisał to potem w książce „Minus 100 stopni". Polskie tłumaczenie (Czarne, 2021) jest jedynym przekładem tej książki na język obcy.*

STANISŁAW

Mancewicz:
O walizkach

My, naród, a ściślej ujmując, jego element animalny i senioralny, z dozą dziaderskiej pobłażliwości przyglądamy się szalejącej inflacji, a zwłaszcza partyjno-rządowym tłumaczeniom sytuacji kochanej złotówki. Dystans wynika z doświadczenia. Schyłkowy Peerel – przypominamy – opowiadał o inflacji toczka w toczkę to samo i nie chodzi tu o brak zdolności do znalezienia oryginalniejszej paraboli, ale po prostu tak było. Peerele kołem się toczą. Oto winni są zawsze niewinni – to zgrabne zdanie powinno się w Polsce wykuć na fasadach parlamentu, ministerstw, organizacji siejących propagandę i zakładów karnych. W ten sposób kraj nasz stanąłby wreszcie w awangardzie państw słynnych z prawdomówności. Na razie jednak, póki prawda nas nie wyzwala, wyzwólmy się sami, mimo upału przejdźmy się po mieście i oddajmy się wakacyjnemu sentymentalizowaniu.

Co widzimy? Zewsząd, aż po nieboskłon, otaczają nas przedmioty i podmioty kodeksu karnego, cywilnego i handlowego – to jasne. Wszędzie – to osobliwość epoki – tłoczą się ludzie chętniej fotografujący się z tzw. paragonami grozy niż z człowiekiem miśkiem, człowiekiem sarną (widzieliśmy) bądź z Lajkonikiem. Jest za ciepło, to wiemy wszyscy, a ciepło ewidentnie nie jest dobre na głowę. Literackie obrazowanie upałów jest ograniczone do kilku przymiotników i związków frazeologicznych, ale ostatnio w kolejce po bardzo już tanie tzw. czereśnie grozy usłyszeliśmy, że trzeba uważać z kupowaniem mleka. Zsiada się w siatce, zanim człowiek zdąży dojść do domu. Tekst ten nastroił nas sentymentalnie, któż teraz stawia mleko na kwaśne? Nikt. Zsiada się samo. Idźmyż więc tym tropem. W ramach sentymentalizowania musimy tu dziś wrzucić kilka słów o walizkach, a idzie nam o walizki nuklearne.

Wszystkim oderwanym i zajętym czym innym wypada wyjaśnić, że w walizkach tego rodzaju znajdują się guziki uruchamiające bomby atomowe. Wyjaśniamy to zatem osobom izolującym się od doczesności i bieżączki, które herboryzują, szukają grzybów bądź wpatrują się w nieruchome spławiki (tu wtręt – ryby już prawie nie biorą, bo najmniej inteligentne okazy zostały wyłowione na sztuczne robaki i muchy, IQ reszty jest teraz imponujące, wędki można wyrzucić). Oto dowiedzieliśmy się dopiero co, że człowiek noszący za prezydentem Rosji taką właśnie walizkę podupadł na zdrowiu. A ściślej rzecz ujmując, został znaleziony w kałuży krwi w swoim moskiewskim mieszkaniu. To nas oczywiście bardzo zdziwiło, zmieszało, ale też drgnęła w nas także struna, która wydała dźwięk słodki.

Od najmłodszych lat, gdyśmy sobie mozolnie projektowali wizję ciekawego życia z niezłą pensją, bez traum i stresu przepracowania, posada noszącego walizkę nuklearną w dowolnym państwie wydawała nam się wymarzona. Uszyta jakby dla nas. Człowiek taki – popatrzmy – ma zapewnione całodzienne, smaczne wyżywienie, jeździ wszędzie dobrym autkiem bądź lata samolotem specjalnym. Bez tłoku, przepychania i bez obaw, że mu walizka zginie. Jak chodzi, to w dobrych butach i w wygodnym garniturze. Odpowiedzialność? Zerowa. Konieczność decydowania? Żadna. Poczucie bezpieczeństwa? Sto procent. Nie da się wyjąć człowiekowi noszącemu walizkę nuklearną portfela ani dać mu – jak mawia młodzież – z liścia. Człowiek noszący walizkę nuklearną jest strzeżony jak źrenica oka przez ludzi ogromnie wysportowanych. Nie zdarza mu się, by np. na lotnisku, w kolejce do odprawy, podszedł doń ktoś i powiedział: „Kupa lat! Znamy się z akademika, były jaja, co?”. Każdy wie, że podobne sytuacje, ba! nawet ich wyobrażenie, powodują ból brzucha. Otóż człowiek noszący walizkę nuklearną nie ma tych problemów. Nie ma przypadkowych spotkań, ani z ciekawymi, ani z nieciekawymi ludźmi, nie musi nic mówić, nie musi myśleć, nie musi kombinować, nie musi nic kupować – wszystko robią za niego departamenty obrony narodowej, dodajmy, że niebiedne. Nie trzeba chyba dodawać, że człowiek ten nie ma nic wspólnego z funkcjonowaniem walizki nuklearnej. Guzik się zaciął? „Nie moja sprawa” – powiada. „Nie moja broszka” – powiada, gdy ktoś ma pretensje. „Dzwońce po elektryka, jakby co, jestem na zewnątrz, na papierosku” – idzie i, mimo przykucia do walizeczki, pali sobie, myśląc o niebieskich migdałkach. Nie szarpie się i nie wysila. Dlatego tak nas zdziwiły kłopoty zdrowotne owego rosyjskiego funkcjonariusza. Nadeszły czasy, gdy biją takich ludzi. Za co? Niefajnie. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

weź, słuchaj!

JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – w jednym podkaście
rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story
TygodnikPowszechny.pl/podkast

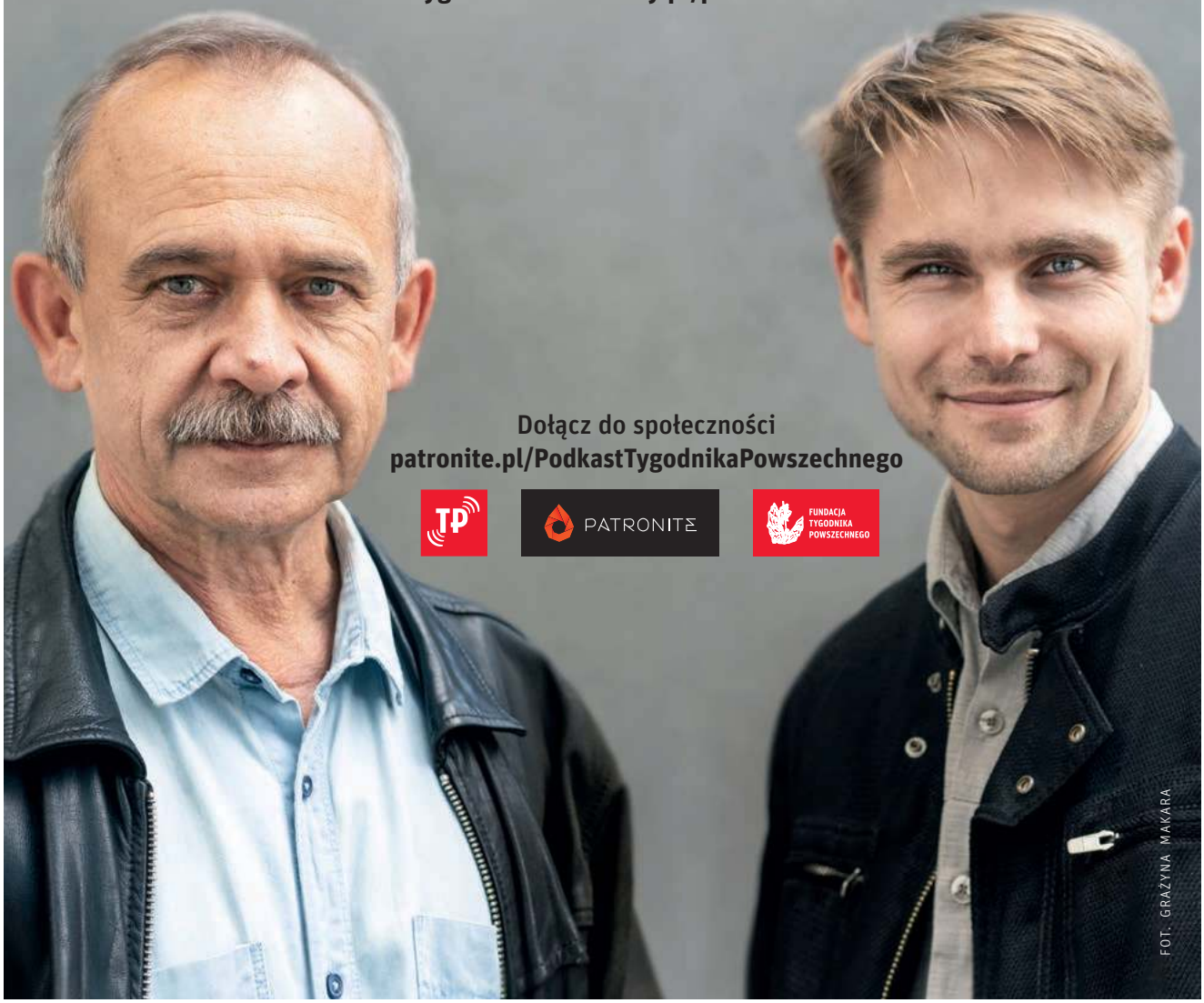

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

TP

PATRONITE

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

FOT. GRAŻYNA MAKARA

REKLAMA

BIAŁO-SZEW-SKI NIEOSO-BNY

CHOIŃSKI

CZACHOROWSKI

HERING

MURAWSKA

SOLIŃSKI

STEFAŃSKI

MUZEUM WARSZAWY

WYSTAWA 30.06–11.12.2022

Muzeum Woli, oddział Muzeum Warszawy

ul. Srebrna 12

muzeumwarszawy.pl

PATRONI MEDIALNI

teatralny.pl

SZUM

POLSKIE RADIO RDC Radio dla Ciebie

TVP KULTURA

wyborcza.pl WARSZAWA